

TESSA HADLEY



BLIŻEJ SIEBIE

Prószyński i S-ka

Tessa Hadley

Blżej siebie

Przełożył Jan Hensel

Wydawnictwo Prószyński i S-ka

POCIĄG DO LONDYNU

I

Zanim Paul zdążył dotrzeć do Domu, ciało matki zostało już zabrane przez firmę pogrzebową. Pośpiech wydawał się nadmierny i niestosowny. Paul nie krył oburzenia. Przecież wyjechał natychmiast po tym, jak zadzwoniono, z pewnością można więc było poczekać te trzy czy cztery godziny, aż dojedzie na miejsce (na autostradzie M5 był duży ruch). Pani Phipps, właścicielka Domu, zaprowadziła go do gabinetu, gdzie ewentualna awantura, którą by jej zrobił, nie zdenerwowałyby pensjonariuszy. Pani Phipps była drobna i energiczna, miała brązową skórę i ślady południowoafrykańskiego akcentu w głosie, a on nie mógł powiedzieć, że jej nie lubi; uważał, że prowadzi zakład opieki o wysokim standardzie, jego matka z wdzięcznością zdawała się na jej skuteczność i pośpieszne monologi wygłaszane tonem, jakim mówi się do małego dziecka. Ale nawet teraz napięta, promienna maska dobrego humoru na twarzy pani Phipps, taktownie przygaszona ze względu na okoliczności, nie zdradzała ani krztyny autentycznych emocji. Gabinet był przyjemnie urządzone. Przez otwarte na ogród okno wpadało wiosenne słońce. Na ścianie za biurkiem wisiał wielobarwny kalendarz na cały rok, gdzie prawie każdy z kwadracików był wypełniony odręcznymi notatkami z listą zajęć i obowiązków. Paul wyobraził sobie miejsce, od którego opieka nad zajmującą jeden z pokoi matką gwałtownie się kończy, pozostawiając po sobie pustkę.

Jeżeli pragnie zobaczyć matkę, powiedziała mu pani Phipps z odpowiednio dobraną żalobną nutą w taktownie ściszonej głosie, to może zadzwonić do grabarzy, na pewno mu to umożliwią. Paul zdawał sobie sprawę, że najbliższe godziny wymagać będą od niego skrupulatności i czujności; musiał postępować jak należy, ale nie był pewien, na czym to by miało polegać. Poprosił o adres i numer telefoniczny domu pogrzebowego, i dostał je.

– Powinnam pana powiadomić – dodała pani Phipps – bo nie chciałabym, żeby dowiedział się pan o tym jakąś określną drogą, że wczoraj wieczorem Evelyn dokonała jednego ze swoich zrywów na wolność.

– Zrywów na wolność?

W pierwszej chwili pomyślał, że to jakiś dziwny eufemizm oznaczający śmierć, ale pani Phipps wyjaśniła, że jego matka wstała wieczorem z łóżka i w koszuli nocnej wymknęła się do ogrodu. Było tam pewne miejsce, gdzie zwykle jej szukano, ilekroć się zgubiła – kryjówka Evelyn wśród krzewów.

– Przykro mi, że do tego doszło. Ale ostrzegaliśmy pana, po prostu nie jesteśmy w stanie zapewnić pensjonariuszom całodobowego nadzoru podczas choroby. Moje dziewczyny

wielokrotnie odwiedzały ją tego wieczoru w pokoju, sprawdzając, jak się czuje. Szybko się zorientowałyśmy, że wydostała się na zewnątrz. Szczerze panu powiem, była bardzo słaba, nikt z nas nie przypuszczał, że zdołałaby choćby wstać z łóżka. Mogła wyjść najwyżej dziesięć, piętnaście minut przedtem, zanim ją znalazłyśmy. No, może dwadzieścia.

Przyprowadzono ją z powrotem do domu i położono do łóżka. Całą noc czuła się dobrze i dopiero rano, po śniadaniu, jej stan się pogorszył.

Paul się zorientował, że pani Phipps obawia się, że złoży skargę.

– Nic nie szkodzi. Jeżeli to właśnie chciała zrobić, cieszę się, że mogła wyjść na dwór.

Pani Phipps ulżyło, chociaż nie zrozumiała, o co mu chodzi.

– Oczywiście, martwiłyśmy się, że się przeziębii. Wiosenne wieczory są bardzo zdradliwe. Opatuliłyśmy ją ciepło i podałyśmy coś gorącego do picia, a potem przez całą noc miałyśmy ją na oku.

Paul zapytał, czy może posiedzieć przez chwilę w pokoju matki. Z łóżka ściągnięto już pościel i nakryto materac czystą kapą ze standardowego kwiecistego materiału, który był w Domu wszechobecny. Nie dostrzegł żadnych śladów tego, co mogło się tu być wydarzyć. Pani Phipps go zapewniła, że matka „odeszła w pokoju”, ale przyjął to jako nic nieznaczącą formułkę. Siedział przez jakiś czas w fotelu matki, rozglądając się po jej rzeczach: ostatnich skondensowanych resztkach przedmiotów, które jej towarzyszyły, gdy najpierw przeprowadziła się do małego mieszkanka w domu z dodatkową opieką, a później tutaj. Część z nich rozpoznawał tylko dlatego, że pomagał jej w obu przeprowadzkach, inne znał jeszcze z dzieciństwa i młodości: majolikową misę na owoce, figurkę dziewczyny z niebieskiego szkła, która kiedyś była przytwierdzona do wazonu, czerwony stolik z laminatu, który zawsze stał przy jej fotelu, z wbudowaną popielniczką na chromowanym słupku.

*

Po opuszczeniu Domu pojechał do zakładu pogrzebowego i długo siedział w samochodzie na niewielkim parkingu przed budynkiem. Musiał wejść do środka i porozmawiać z grabarzami o przygotowaniach do pochówku, ale była jeszcze kwestia obejrzenia zwłok. Był jedynakiem. Przy śmierci ojca dwadzieścia lat temu, kiedy miał dwadzieścia parę lat, to, co najgorsze, przyjęła na siebie Evelyn; teraz wszystkie linie zbiegały się w nim. Oczywiście żonie będzie przykro i dzieciom też, chociaż w ciągu ostatnich kilku lat umysł Evelyn coraz bardziej szwankował, więc stała się dla dziewczynek postacią dosyć odległą i przywoził je do niej w odwiedzinie tylko raz na jakiś czas. Wciąż je poznawała, ale kiedy wyszły pobawić się do ogrodu albo tylko do toalety, czy choćby stanęły po drugiej stronie fotela, zapominała, że już je widziała, i za każdym razem, gdy wracały, witała je z tym samym promiennym uśmiechem i radością.

Ojciec zmarł na zawał w szpitalu. Evelyn była przy nim, a Paul mieszkał wtedy w Paryżu i przyjechał dopiero nazajutrz. Możliwość obejrzenia zwłok jakoś się nie nadarzyła, zresztą był wtedy tak skupiony na cierpieniu matki, że prawdopodobnie uznałby to za nieważne. Teraz zaś nie wiedział, czy to ważne, czy nie. Spojrzał na witrynę zakładu pogrzebowego, na tę kiczowatą dyskrecję, na urny, jedwabne draperie i sztuczne kwiaty. Gdy wreszcie wysiadł z auta, żeby wejść do środka, zdał sobie sprawę, że jest już po szóstej. Na drzwiach wisiała tabliczka z napisem „zamknięte” i numerem, na który można było zadzwonić w nagłych przypadkach, ale Paul nawet go nie zanotował. Uznał, że wróci tu jutro rano.

*

Przyzwyczał się, że kiedy odwiedzał matkę i musiał nocować w Birmingham, korzystał z sieci Travelodge. Na szczęście jeden z hoteli znajdował się dziesięć minut drogi od Domu. Paul rozpakował się, wyjmując z torby czystą koszulę i parę skarpet, szczoteczkę do zębów, zeszyt i dwa tomiki poezji, które miał zrecenzować – kiedy ruszał rano w drogę, nie wiedział, jak długo będzie musiał tu zostać. Potem zadzwonił do Elise.

- Umarła, zanim dotarłem na miejsce – powiedział.
- Och, biedna Evelyn.
- Pani Phipps powiedziała, że odeszła w pokoju.
- Paul, tak mi przykro. Jak się trzymasz? Gdzie jesteś? Chcesz, żebym do ciebie przyjechała? Jestem pewna, że uda mi się namówić kogoś do zaopiekowania się dziewczynkami.

Zapewnił ją, że czuje się dobrze. Nie był głodny, ale szwendał się po ulicach, aż znalazł pub, gdzie wypił dwa kufle piwa, przeglądając egzemplarz „Birmingham Mail”, który leżał na stole. Skupił myśli bez reszty na słowach, przeczytał każdą stronę w całości, chłonąc artykuły w najdrobniejszych szczegółach bez cienia refleksji: dział kryminalny, rozrywkę, nekrologi. Obawiał się, że dostanie jakiegoś rozzwierającego napadu żalu w miejscu publicznym. Po powrocie do pokoju nie chciało mu się czytać ani jednego tomiku poezji, ani drugiego. Kiedy się rozebrał, zajrzał do szafki nocnej w poszukiwaniu Biblii, ale znalazł tylko wydanie New International Version, dla niego zupełnie bezużyteczne. Zgasił światło i leżał w pościeli bez kołdry, bo przy włączonym ogrzewaniu w pokoju było gorąco i duszno, a okna można było tylko leciutko uchylić. Przez te szpary przedostawało się wiosenne powietrze o zapachu zazielenionych roślin zmieszanym ze spalinami z przebiegającej obok szosy, która nie cichła nawet późną nocą. Ulżyło mi, pomyślał. To, co się stało, było czymś zwyczajnym, czymś, czego należało się spodziewać. Śmierć starego i niedołęznego rodzica, uwolnienie od brzemienia ciągłej opieki. Nie chciał, żeby żyła dłużej w takim stanie jak ostatnio. Nie odwiedzał jej tak często, jak powinien. A kiedy już przyjeżdżał, szybko się nudził.

Gdy zamknął oczy, pod powiekami zjawił się niechciany obraz matki w ciemnym ogrodzie Domu, ubranej w koszulę nocną. Był tak wyrazisty, że Paul zerwał się gwałtownie i usiadł w pościeli. Wydawała się tak bliska, wręcz na wyciągnięcie ręki, że rozejrzał się dookoła, szukając jej wzrokiem. Miał dojmujące, chociaż niejasne przekonanie, że czas można by zagiąć niczym kartkę i obecna chwila by przylegała do tej z wczorajszej nocy, tak przecież nieodległej, kiedy matka wciąż żyła. Widział nie przygarbioną staruszkę, w którą się zmieniała, lecz dojrzałą kobietę z czasów, gdy był nastolatkiem: ciemne włosy splecione w warkocz, który ścięła dawno temu, okulary o grubych szklach w czarnej oprawie, które wtedy nosiła, jej jakby niezdatną wysoką postać, pełne siły nogi i ramiona. Kiedy wciąż żyła, czasami trudno mu było przypomnieć sobie jej dawniejsze „wcielenia” i obawiał się, że stracił je na zawsze, ale to wspomnienie było wyraziste i kompletne. Zapalił światło, wstał, włączył telewizor i obejrzał wiadomości – urywki z wojny w Iraku.

Ponownie wyciągnął się w mroku na plecach, nagi, przykryty tylko prześcieradłem, ale nadal nie mógł zasnąć. Żałował, że nie pamięta lepiej tych ustępów „Eneidy”, gdzie Anchizes wyjaśnia synowi, jak to zmarli w zaświatach stopniowo pozbywają się lepkiego brudu, którym zarosli w doczesności, aż wreszcie, całe tysiąclecia później, ich dusze, znowu czyste, z utęsknieniem oczekują powrotu do cielesnego życia, żeby zacząć wszystko od nowa. Paul uważał, że nie ma współczesnego języka, który wiernie opisałby cios, jakim jest odejście matki. Przeszłość, w której język mógł mieć w sobie taką godność jak wersy Wergiliusza, zdawała mu się czasami tylko sennym marzeniem.

*

Nazajutrz rano, przed wejściem do zakładu pogrzebowego, powiedział sobie, że musi poprosić o pokazanie zwłok. Gdy jednak zajął się ustalaniem szczegółów pochówku, w ogóle trudno mu było mówić, nawet po to, by wyrazić zgodę na przedstawiane propozycje. Niemota brała się nie z głębokich emocji, lecz przeciwnie, ze znajomej odrętwiającej awersji, jaka ogarniała go, ilekroć zmuszony był do fałszywych, nieszczerých kontaktów ze światem zewnętrznym. Przypuszczał, że młody mężczyzna, z którym rozmawia, został wyszkolony do tego, by zwracać uwagę na potknięcia i rozkojarzenie pogrążonych w żałobie członków rodziny, więc starał się zachować zimną powściągliwość. Elise powinna była mu w tym pomóc, miała dryg do załatwiania podobnych życiowych spraw. Sam na sam z młodym mężczyzną nie mógł się zdobyć na intymne wyznanie, że pragnąłby po raz ostatni dotknąć matki, zresztą może wcale nie chciał jej dotykać.

Później, zgodnie z ustaleniami, udał się do Domu, żeby załatwić papierkową robotę i zabrać rzeczy po matce, chociaż pani Phipps zapewniała, że nie ma pośpiechu, wszystko może poczekać w pokoju aż do zakończenia uroczystości pogrzebowych. Znowu usiadł w fotelu Evelyn. Pokój

był naprawdę mały, lecz akurat kiedy przyjechali, żeby go obejrzyć, na dole ktoś grał na fortepianie, co wystarczyło, by Paul nabrał przekonania, że pensjonariuszy traktuje się tutaj po ludzku i że w Domu można prowadzić pełne życie. Podczas późniejszych odwiedzin rzadko słyszał fortepian. Po zapakowaniu kilku rzeczy do pudeł poprosił panią Phipps o pozbycie się reszty, a także o to, by pokazała mu miejsce w ogrodzie, które nazwała kryjówką Evelyn. Zauważył, że zareagowała z pewną obawą, jakby zastanawiała się, czy jednak nie narobi jej kłopotów.

Dom znajdował się w późnowiktorjańskiej plebanii zbudowanej na niewielkim wzniesieniu. Świeciło słońce. W nudnym zadbanym ogrodzie, zaprojektowanym tak, by był jak najłatwiejszy w utrzymaniu, było gwarno od świergotu żeb i kosów i gruchania synogarlic. Hałas ruchu samochodowego nie był zbyt natrętny. Beżowe zamszowe buty pani Phipps pociemniały od rosy, gdy szli przez trawnik, a obcasy zapadały się w ziemi. Paul zauważył, że ją to irytuje. W głębi ogrodu Phipps pokazała mu krzaki, gdzie załamuje się stary kamienny mur, a za nimi wydeptany placyk nagiej ziemi i niszę między gałęziami na tyle dużą, że można w niej stanąć z wyprostowanym grzbietem. Mur był za wysoki na to, by starsza pani mogła na nim usiąść albo wdrapać się i przejść na drugą stronę, ale mogła się wychylić i obserwować, czy ktoś nie nadchodzi. Kiedy Evelyn była dzieckiem, a w plebanii wciąż był pleban, za murem rozciągały się tylko pola i lasy; teraz jak okiem sięgnąć wszystko było zabudowane. Paul sam wepchnął się w krzaki i wyjrzał na zewnątrz, podczas gdy pani Phipps czekała z uprzejmym zniecierpliwieniem, kiedy będzie mogła wrócić do swoich zajęć. Paul zobaczył rozległe cmentarzysko Longbridge, gdzie w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych przy taśmach produkcyjnych pracowali bracia Evelyn, montując austiny princessy, riley i mini. W nocy ten ogromny, oświetlony tysiącami lamp teren z domami, zespołami sklepowymi i złomowiskami mógł wyglądać tajemniczo, ale w dzień był opustoszały, a rzeka ruchu samochodowego opływała go jak piaszczystą łachę.

Nie był w stanie poczuć w kryjówce matki nic szczególnego, nie udało mu się powtórzyć wrażenia jej obecności, którego doświadczył w nocy, ostatecznie więc niepotrzebnie naprzykrzył się pani Phipps, prosząc, by go tu przyprowadziła. Ale po południu, kiedy jechał z powrotem do domu w walijskiej dolinie Monnow, w pewnym momencie na autostradzie M50 naszło go silne przekonanie, że pudła z rzeczami po Evelyn na tylnym siedzeniu przemieniły się w nią samą. Bał się odwrócić głowę. Wydawało mu się, że usłyszał znajomy szelest sukienki i westchnienie, kiedy matka usadowiła się wygodniej, i zdretniał, spodziewając się, że zaraz coś powie. To, że wie o jej śmierci, wydawało się wstydliwym tematem między nimi; czuł się tym zażenowany. W przeszłości często woził ją tędy do swojego domu na weekendy, do czasu, gdy straciła orientację do tego stopnia, że nie chciała już przyjeżdżać. Podobał jej się pomysł, że syn wozi ją do rodziny

na wieś; mimo że całe życie spędziła w mieście, z czułością pielęgnowała w sobie staromodne marzenia o wiejskim życiu.

*

W pokoju Evelyn różnaitość należących do niej rzeczy zdawała się bogata w skojarzenia i konsekwencje, ale obawiał się, że po przetransportowaniu tutaj, do Tre Rhiw, staną się stertą śmieci. Nie był w stanie wyobrazić sobie, gdzie postawić brzydką misę na owoce czy stolik z laminatu. W domu nie wolno było palić. Córki stanowczo tego zabraniały, szkolna indoktrynacja sprawiła, że uważały palenie za zło nie mniejsze od dźgnięcia kogoś nożem albo molestowania seksualnego nieletnich. Paul zresztą i tak rzucił papierosy, ale kiedy jego przyjaciel Gerald wpadał do nich wieczorami, dziewczynki czujnie go nadzorowały i bez względu na wiatr czy słońce wyrzucały „na dymek” do ogrodu. W rewanżu Gerald karmił ich ukochane kózki petami.

Dziewczynki wciąż były w szkole, ich autobus przyjeżdżał dopiero o wpół do piątej. Elise pracowała w swoim warsztacie, ale przyszła do kuchni, gdy tylko usłyszała, że wrócił. Była w pończochach i legginsach, z metrem krawieckim na szyi i czerwono-żółtymi nitkami z tkaniny obiciowej na czarnej koszulce z krótkimi rękawami. Prowadziła z koleżanką własny biznes – restaurowanie i sprzedaż antyków. Z powodu szerokich kości policzkowych Paul przezywał ją Kałmuczka. Miała cerę barwy jasnego złota, orzechowe oczy i szerokie usta o delikatnych, czerwonych, domkniętych wargach. Była o trzy lata starsza od niego, skóra pod jej oczami zaczynała się marszczyć. Jakiś czas temu zaczęła farbować włosy na kolor ciemnego miodu, ciemniejszy od naturalnego blond.

– Przywiozłeś część jej rzeczy.

– W samochodzie czeka ich więcej. Powiedziałem pani Phipps, żeby resztę wyrzuciła.

Elise zaczęła po kolei wyjmować przedmioty z pudła, przyglądając się z uwagą bakelitowej kosmetyczce wypełnionej różnaitą biżuterią.

– Biedna Evelyn – powiedziała i oczy zaszyły jej łzami, mimo że nigdy nie zbliżyła się szczególnie do jego matki. Denerwowało ją, kiedy Evelyn, jeszcze przy zdrowych zmysłach, zaczynała panikować, pełna obaw przed tym, co działo się w świecie poza obrębem jej ciasnego doświadczenia. Matka po paru dniach nieodmiennie traciła chęć do pozostania u nich i gwałtownie dawała wyraz wrogości wobec synowej, zarzucając Elise nieporządne prowadzenie domu i niepunktualność. Nudziło ją życie na wsi, bała się rzeki i kóz. Posiłki zawsze jedli za późno, co wywoływało u niej niestrawność.

Elise objęła Paula i pocałowała go w szyję.

– To takie smutne. Przykro mi, kochanie.

– Żałuję, że przy niej nie byłem. To wszystko wydaje mi się nierzeczywiste.

– Widziałeś ją?

Pokręcił głową.

– Zabrano ją już do zakładu.

– To okropne. Powinieneś był ją zobaczyć.

Tuliła się do niego jeszcze przez chwilę, a potem zniosła czajnik do zlewu, napełniła go wodą z hałaśliwego starego kranu, który piszczał i się krztusił, a następnie uniosła pokrywę fajerki.

– Nie wiem, co zrobić z tymi wszystkimi rzeczami – powiedział.

– Nie przejmuj się. Pomyślisz o tym później. Dobrze, że będziemy tu mieli jej rzeczy. Będą nam o niej przypominać.

Paul zaniósł pudła do swojego gabinetu, który przylegał do kuchni od strony przeciwnej niż warsztat Elise i znajdował się w miejscu starego wychodka; zapadł się tak głęboko w strome zbocze pagórka, że ogródek od frontu był na poziomie połowy jego okna. Przez drugie okno widać było rzekę. Ściany miały prawie pół metra grubości i Paul lubił wrażenie, że pracuje we wnętrzu ziemi.

Po powrocie do domu dziewczynki były przez pewien czas smutne i przerażone śmiercią babci. Popłakały się prawdziwymi łzami. Becky nieśmiało schowała twarz, przytulając się do matki. Miała dziewięć lat i wrażliwe usposobienie, jej piegowata buzia zawsze była zamysłona. Dziesięć minut później obie zapomniały o śmierci i bawiły się w ogrodzie. Paul widział przez okno ich stopy i nogi, kiedy Becky skakała na skakance, a sześciolatka Joni tupiała i śpiewała głośno: „Banany w panamach schodzą po schodach”.

II

Na koniec wszystkich telefonów, które musiał wykonać następnego dnia, zamierzał zadzwonić do swojej pierwszej żony, Annelies. Zanim zdążył to zrobić, ona zadzwoniła do niego, co było dosyć niezwykle; często nie rozmawiali całymi miesiącami. Odezwała się takim tonem, jakby się na niego obraziła, ale do tego akurat już się przyzwyczył. Wypracowali sobie taki model, pojedynku piekającej urazy i zimnej niewzruszoności, odkąd po raz pierwszy znaleźli się w tej niezręcznej sytuacji – dwojga obcych ludzi, których łączy wspólne dziecko. Jego najstarsza córka miała teraz prawie dwadzieścia lat. Sam był niewiele starszy, kiedy się urodziła.

– Jak dawno temu widziałeś się z Pią? – zapytała z wyrzutem Annelies, gdy tylko odebrał.

– Właśnie miałem zamiar do ciebie zadzwonić – powiedział. – Mam smutną nowinę. Wczoraj zmarła mama.

Starł się nie czerpać zbytnej satysfakcji z tego, że zatamował strumień słusznego oburzenia.

– Och, Paul. Jaka szkoda. Naprawdę smutne. Tak mi przykro. To będzie dla Pii straszny cios, tak bardzo kochała babcię.

Paul często woził Pię w odwiedziny do babci w Birmingham. Między innymi w ten właśnie sposób zapełniał czas spędzany z najstarszą córką i rzeczywiście Pia zdawała się do Evelyn autentycznie przywiązana. Zaskoczyła go tym, była niezwykle cierpliwa, nie przeszkadzało jej, że staruszka tak często się powtarza, i raz za razem czule ścisnęła jej dłoń na powitanie.

– Porozmawiać z nią?

– Nie ma jej. Właśnie dlatego do ciebie dzwonię.

– Chcesz powiedzieć, że wyszła?

– Nie. Chcę powiedzieć, że się wyniosła. Zabrała swoje rzeczy i odeszła. Oczywiście nie wszystkie. W jej pokoju wciąż panuje potworny bałagan.

– Wyniosła się? Dokąd?

– Nie wiem.

Pia wyprowadziła się z domu po awanturze z matką jakiś tydzień temu. Nie było powodu, by wszczynać alarm czy wzywać policję, bo dwukrotnie zadzwoniła do Annelies, zapewniając, że jest cała i zdrowa i nic jej nie grozi. Powiedziała, że zatrzymała się u znajomych.

– To chyba nie ma się czym przejmować. Jest już dorosła. Może mieszkać, gdzie chce.

– Ale u których znajomych, Paul? Czy żądam zbyt wiele, chcąc się tego dowiedzieć?

Pia powinna być na pierwszym roku w Greenwich, chociaż nie pamiętał, co studiowała: medioznawstwo, kulturoznawstwo, socjologię? Zaprosił ją parę tygodni temu na obiad, kiedy był

ostatnio w Londynie. Usiłował sobie przypomnieć, o czym rozmawiali. Zamiast tego przypomniał mu się nowy stalowy ćwiek w jej dolnej wardze. Wsysała go za każdym razem, gdy rozmowa się urywała, czyli często. Naciągała wtedy na niego górną wargę, co wyglądało bardzo nieatrakcyjnie. Paul starał się wykrzesać z niej jakąś iskierkę zainteresowania tym, co studiuje, ale mówiła o wszystkim z tą samą posłuszną obojętnością. Jej mocno zarysowane usta o pełnych bladych wargach były takie jak jego, wiedział o tym; wyglądała jak on – wysoka, jasnowłosa i chuda, miała skórę podatną na podrażnienia i wysypki, jak on, kiedy był nastolatkiem. Tymczasem duchowo nie mogłaby się wydawać odleglejsza od niego w jej wieku: jego trawił zimny ogień idei i polityki, podczas gdy ona była lękliwie nieśmiała, ograniczona do małego światka znajomych i ich mód, pozbawiona intelektualnej ciekawości.

– Wkrótce wróci – zapewnił Annelies. – Jak tylko się zorientuje, że sama musi sobie prac i gotować.

*

Annelies przyjechała na pogrzeb w czarnym przyciasnym kostiumie. Ostatnimi czasy zrobiła się z niej matrona, w zestawieniu z nią Elise, mimo że starsza, była lekka i gibka niczym podlotek. Elise uznała, że czerń nie liczy się już tak jak dawniej, i pozwoliła córkom włożyć sukienki koktajlowe, więc Becky i Joni frygały, kolorowe niczym elfy w słońcu, między brzydkimi posągami w krematorium. Elise i Annelies nigdy nie były rywalkami, pierwsze małżeństwo Paula zakończyło się kilka lat przedtem, zanim poznał Elise, a ona postarała się przekonać do siebie jego bezpośrednią i wybuchową pierwszą żonę. Teraz pożyczaly jedna drugiej chusteczki higieniczne i szeptały sobie na ucho, ściskając się i dotykając, jak to kobiety mają w zwyczaju. Czuł się od Annelies odległy. Zaczynała wyglądać jak własna matka, tęga i rozsądna holenderska nauczycielka podstawówki.

Podczas sztamkowego obrządku Paul nie mógł się skupić. Pastor był obcym człowiekiem, zaopatrzonym zawczasu w garść banalnych informacji: Evelyn przez całe życie ciężko pracowała, przede wszystkim w piekarni Wimbush; poświęciła się również rodzinie; po przejściu na emeryturę podróżowała po Wielkiej Brytanii i Irlandii, a także za granicę. Paul nie potrafił odpowiedzieć, jakie hymny najbardziej lubiła. Rzadko chodziła do kościoła, chociaż kokieterijnie, niemal zalotnie interesowała się ideami religijnymi. Paul musiał zgadywać, zdając się na wspomnienia z dzieciństwa, i zacytował *There Is a Green Hill* oraz *To Be a Pilgrim*. Na koniec ceremonii trumnę zasłonięto firanami i wsunięto do pieca.

Kuzynka Paula, Christine, zaproponowała, że zorganizuje stypę w swoim domu, który znajdował się niedaleko od, jak się obcesowo wyraziła, „kremika”. Wzruszyło go, że na pogrzebie i stypie zjawilo się dużo rodziny, mimo że Evelyn była ostatnią ze swojego pokolenia,

a on prawdopodobnie nie odwiedziłby nikogo z obecnych. Chris specjalnie usiadła koło niego, stykali się kolanami i ścisnęła go za ręce. Podobała mu się jej zwyczajna, pociągła twarz w okularach, krótko obcięte siwe włosy i jedwabny szal, którego nie potrafiła właściwie zawiązać, zarzucony na jedno ramię. Była pewna siebie i zabawna. Większość kohorty kuzynów z jego pokolenia dobrze się w życiu urządziła. Jak na dzieci z wyżu demograficznego przystało, awansowali ponad klasę społeczną rodziców, działali we władzach lokalnych, pracowali w szpitalach albo na średnim szczeblu kierowniczym. Chris była szkolną sekretarką, a jej mąż kierownikiem w firmie zajmującej się serwisem fotokopiarek. Mieszkali w wygodnym i starannie urządzonym domu.

Paul i Chris nie mieli specjalnie o czym rozmawiać oprócz przeszłości. Jej rodzinne wspomnienia były znacznie pełniejsze niż jego, jakby wbrew pozorom oddaliła się od tamtego świata tylko o krok. Nie traktowała go z nostalgią, raczej mówiła o nim tak, jakby jeszcze nie zaniknął, mimo że jej rodzice od dawna nie żyli. Pamiętała, jak korzystało się ze sławki w ogrodzie na tyłach domu i jadło się ze stołu nakrytego gazetą. Jej rodzina wyprowadziła się z centrum miasta w ramach porządkowania slumsów, gdy Chris miała dziewięć lat – podobnie jak rodzice Paula, gdy był małym dzieckiem. W domu komunalnym na nowym osiedlu matka Chris nagle wyciągnęła obrusy, zasłony, dywany... chomikowała je od dawna i cały czas trzymała w foliowych opakowaniach, ponieważ były zbyt porządne, by ich używać. Chris opowiedziała tę historyjkę z rozbawieniem, ale i oburzeniem – nawet po tylu latach – jaką było stratą to „obywanie się bez”, to „odkładanie na później”.

*

Przez parę dni po pogrzebie Paul godzinami siedział bezowocnie w gabinecie, na pozór pracując nad recenzją, pisząc, a później kasując, łudząc się, że dokonuje przełomu, a potem odkrywając, że każdy z tych przełomów jest w rzeczywistości ślepą uliczką. Po pewnym czasie przechodził przez ogród do warsztatu Elise. Przerobiła starą walącą się stodołę na pracownię, gdy tylko przeprowadzili się do Tre Rhiw; znała się na murarce, hydraulice i tynkowaniu, do wszystkich pobocznych zabudowań poprowadziła elektryczność. Kiedy zamieszkali razem, była zaskoczona, że Paul zupełnie nie radzi sobie z majsterkowaniem i domowymi naprawami – przecież jego ojciec był robotnikiem, nie? Jej ojciec natomiast był generałem, a później doradcą wojskowym w Waszyngtonie. Paul wyjaśnił jej, że jego ojciec, nastawiacz w fabryce śrubek, w domu nigdy nic nie robił i nie tknąłby roboty należącej do kogoś innego. Specjalizacja tak wąska jak w jego przypadku – jedna maszyna, jeden produkt – sprawiała, że nabyte w pracy umiejętności nie przydawały się do niczego innego. Zresztą szwajcarskie maszyny, które nadzorował przez ostatnie lata pracy, były w pełni zautomatyzowane.

W boczny mur stodoły były wprawione ogromne przeszklone drzwi, żeby wpuszczać do środka jak najwięcej dziennego światła. Za nimi, od brzegu rzeki aż do drogi przed domem, ciągnął się rząd giętkich, pełnych gracji osik tworzących barierę, która rozpraszała blask słońca, a częściej przełamywała pęd wiatru i siłę deszczu padającego na dom. W stodole w plamach słońca fruwały drobne kłaczki malinowego aksamitu z delikatnym wzorkiem w kształcie listków, którym Elise obijała wczesnowiktorjański szezlong. Jej współpracowniczka w interesach, Ruth, przeczesywała aukcje i wyprzedaże w poszukiwaniu niezwykłych przedmiotów, znajdowała kupców na odrestaurowane meble i dostarczała je na miejsce, natomiast Elise zajmowała się niezbędnymi naprawami, obijaniem i lakierowaniem. Miały dar do wyszukiwania zniszczonych rupieci i dostrzegania ukrytego w nich piękna, po odnowieniu ich meble zawsze miały w sobie urok czegoś przemyconego wprost ze świata „Alicji w Krainie Czarów”, były pełne magii i specyficznego humoru. W Tre Rhiw roiło się od skarbów; po jakimś czasie zaokrąglone, miękkie kanapy, zamglone lustra i małe biurka na wrzecionowatych nóżkach, do których Paul się przyzwyczaił, zostawały sprzedane, a ich miejsce zajmowały nowe osobliwości.

Elise przerwała szycie na maszynie, zdjęła okulary, których od niedawna potrzebowała do prac wymagających precyzji, i uśmiechnęła się, wycierając rękawem twarz.

– Może zaparzysz kawy? – zaproponowała pocieszająco.

Nie chciał rozmawiać z nią o tym, co czuje, ale nie mógł się powstrzymać.

– Utknąłem. Nie potrafię już nic sklecić.

– Czemu nie napiszesz o Evelyn? No wiesz, o jej życiu, o tym, jak prawie wyemigrowała, a potem pracowała w piekarni i tak dalej. To przecież bardzo interesujące, prawda?

Myśl o wykorzystaniu życia matki jako materiału literackiego napawała go odrazą. Czułby się tak, jakby pysznił się ciężką dolą proletariackiej rodziny, z której pochodził, podczas gdy w rzeczywistości świadomie i stanowczo ją odrzucił, wraz z modelem życia matki. Nie zamierzał jednak dyskutować o tym z Elise. Nie po raz pierwszy zasugerowała mu ten temat. Przypuszczał, że środowisko społeczne, w którym się wychował – klasa robotnicza z wielkiego ośrodka przemysłowego, wydawało się jej równie obce i egzotyczne jak jemu jej doświadczenia z dzieciństwa: skoki przez przeszkody, szkoły z internatem i dom we Francji. Na początku związku ekscytowała ich ta odmienność i odgrywali swoje role klasowe, jakby urodzili się w poprzednim stuleciu; on był jej sługą, a ona wielką panią, która uznawała jego akcent i nieokrzeseanie za barierę nie do przebycia, większą od wszelkiej sympatii i wysiłków wyobraźni. „Nie, nie byłabym taka – upierała się Elise. – Na pewno nie. Nie wszyscy tacy byli, niektóre uczucia zawsze pokonywały te bariery”.

Dzień był pogodny i upalny. Paul wybrał się z Geraldem na jeden z ich częstych wiejskich spacerów. Szli w dół rzeki Monnow, która szumiała, płynąc bystrym nurtem po wygładzonych głazach nabrzmiewających pod grubą soczewką wody. Ścieżka wiodła najpierw wzdłuż brzegu, a potem oddalała się od rzeki, wijąc się wśród zagonów poprzecinanych żywopłotami gęstymi od śpiewu ptaków i brzęczenia pszczół. Kwiecie obsypało gałęzie gorzkiej tarniny niczym śnieg, smukłe pąki buków były jak gienza, wciąż nagi jesion potrząsał pękami nasion niczym kluczami. Jeden z wielkich buków runął w poprzek drogi podczas wichury zaledwie parę tygodni wcześniej, wyrwany z korzeniami, które sterczały nagie z ziemi, podczas gdy pąki na gałęziach wciąż lśniły iluzorycznym życiem, tajemna dziupla dzięcioła znalazła się na poziomie wzroku i widać było świeże pęknięcie masywnego pnia w miejscu, gdzie uderzył o ziemię. Musieli przejść nad nim, podziwiając grube sęki w beżowym drewnie, skąd wyrastały konary.

Paul powiedział, że zastanawia się nad starożytnym pojęciem czasu jako odwrotności postępu, czyli następstwie epok, z których każda jest gorsza od poprzedniej, coraz odleglejsza w swej intensywności i jakości od pierwotnej siły życiowej. Kultury stawały się z biegiem czasu coraz bardziej zaawansowane technicznie, ale wraz z przyjmowaniem coraz bardziej skomplikowanych form pierwotna energia życiowa rozlewała się coraz szerzej i wyczerpywała, traciła swój impet i piękno.

– I co potem? – zapytał Gerald.

– Stoicy uważali, że tak jak drzewo, które wyrasta z nasiona, tak u swojego kresu życie wewnętrznie obumiera, forma ulega zniszczeniu niczym martwa skorupa i pozostaje tylko naga siła. Żyjemy u kresu czegoś, w epoce wyczerpania.

– Bardziej prawdopodobne wydaje się, że życie na ziemi będzie po prostu pędziło wciąż naprzód, dalej, niż nam się śni. Będzie tworzyło nowe zawirowania i problemy, popełniając kosztowne i bolesne błędy, by je później naprawiać, przetwarzając wszystko na nowo, nie do poznania. A przy tym każde pokolenie będzie nadal utrzymywało, że to już koniec, że tym razem naprawdę się doigraliśmy.

Gerald był subtelnie inteligentny, sceptycznie nastawiony do świata, zwalisty, o grubo ciosanej, dziobatej twarzy, wydatnej szczęce i długich włosach, które zatykał za uszy. Miał ułamek etatu (tyle, ile chciał) jako wykładowca literatury francuskiej na Uniwersytecie Glamorgan i mieszkał samotnie w zabałaganionym mieszkaniu w Cardiff. Jego dywan był usiany brązowymi plamami po herbacie z czajnika, który Gerald co rusz strącał i przewracał. Powietrze w mieszkaniu cuchnęło marihuaną, a gospodarz żywił się głównie humusem, chlebem pita i jajkami po szkocku. Zupełnie nieudomowiony, był panem swojego czasu i mógł gubić się w labiryntach książek i rozmyślań. Gerald i Paul pracowali razem, zrywami, nad tłumaczeniami belgijskiego

poety, Guy Goffette'a. Czasami Paula nachodziła refleksja, że wolność Geralda jest tym, czego sam najbardziej pragnie i czego najbardziej mu brakuje, bo rozprasza go rodzina. Ale jednocześnie wzdrygał się na tę myśl, gdyż więź z dziećmi zdawała mu się zbawienna. Uważał córki za błogosławieństwo równoważące przyprawiającą o zawroty głowy niestabilność życia przeżywanego w myśli.

Paul uskarżał się na remonty w dolinie, na brzydkie stodoły przerabiane na jeszcze brzydsze hoteliki. Chałupy, w których kiedyś mieszkali parobkowie, osiągały teraz kosmicznie wysokie ceny, jakby na wieś padł zły urok, w którym istotę rzeczy podmienia się systematycznie na jej podróbkę, symulakrum. Gerald odparł na to, że jego żal ma charakter romantyczny, i zapytał, czy Paul rzeczywiście chciałby wrócić do epoki pozbawionych wszelkich wygod, niehigienicznych domów wiejskiej biedoty.

– Rozmawiałeś z Geraldem? – spytała później Elise. Wpatrzona w lustro zmywała makijaż, siedząc przy toalecie w długiej bawełnianej koszulce, której używała jako pizamy.

– O czym?

– O Evelyn. O tym, co czujesz. Chociaż to raczej mało prawdopodobne. Wy dwaj nigdy nie rozmawiacie o sprawach rzeczywistych.

– Ależ one są rzeczywiste.

Elise robiła miny, napinając skórę i przecierając ją wacikami nasączonymi balsamem. Włosy miała zaczesane do tyłu i ułożone pod opaską. Kiedy skończyła, stanęła nad Paulem, który siedział na brzegu łóżka, i zmierzwiła mu palcami włosy, odgarniając je ze zmarszczonego czoła. Zajrzała mu pytająco w oczy.

– To mnie powiedz, jak się czujesz – poprosiła. – No?

– Nic mi nie jest.

*

Obudził się w nocy, przekonany, że matka jest blisko niego w sypialni. Jasne zasłony w oknie wydymały się i falowały na wietrze, a on miał niejasne wrażenie, że jest chory i pozwolono mu spać w jej łóżku, jak zdarzało się czasem, kiedy był małym dzieckiem. Evelyn budziła go, chodząc późną nocą po pokoju i rozbierając się do snu, cicha i władcza. Zdawało mu się, że czuje zapach starego pieca naftowego. Usiadł z wysiłkiem w pościeli, z wyrzutami sumienia, oblany zimnym potem i bez tchu. Elise spała odwrócona do niego plecami, z wachlarzem włosów rozsypanych na poduszce. Światło z półpiętra przekradało się przez szparę przy zepsutym zamknięciu, które sprawiało, że drzwi nigdy się nie domykały. Lustro toaletki odbijało je, świecąc niczym tafla stojącej wody.

Jako nastolatek Paul uważał matkę za kobietę wyjątkową, jedyną w swoim rodzaju, która

mogłaby osiągnąć znacznie więcej, gdyby nie ograniczały jej okoliczności i brak życiowych perspektyw. Była dosyć niezdarna, ładna, ale mało towarzyska, zazwyczaj odnosiła się do ludzi z nieśmiałą wywyższością. Jakby to coś wyjaśniało, często opowiadała mu o tym, jak po śmierci rodziców o mały włos nie wyemigrowała do Kanady; wcześniej była przykładną córką i opiekowała się obojgiem podczas długiej choroby. Wypełniła już nawet wszystkie formularze, opowiadała. A potem, w ostatniej chwili, tuż przed czterdziestką, wyszła za mąż i urodziła Paula, choć już dawno straciła nadzieję na macierzyństwo. Kiedy był chłopcem, brała jego twarz w dłonie i zaglądała mu w oczy, a on wyczytywał w jej spojrzeniu swoją obiecującą przyszłość, zaskakującą i radosną. Widziała w nim talenty, których pochodzenia nie potrafiła sobie wytłumaczyć.

III

Pia nie wróciła do domu, choć wciąż dzwoniła do matki, zapewniając, że wszystko jest u niej w porządku. Kiedy jednak Annelies skontaktowała się z uczelnią, dowiedziała się, że córka zrezygnowała ze wszystkich zajęć. Paul pojechał do Londynu, nie wiedząc, jak może pomóc. Annelies od lat mieszkała w kamieniczce obok Green Lanes w Haringay. Mógłby uwierzyć, że znalazł się w Istambule albo Ankarze, szyldy sklepów były dla niego niezrozumiałe i obce jak nadmierne bogactwo owoców i warzyw oświetlonych lampami elektrycznymi pod zielonymi plastikowymi markizami, kawiarnie z wystawionymi w oknach blachami bakławy i mosiężnymi dżezwami, a wszystko wciąż otwarte o siódmej wieczorem, spowite zapachem jagnięciny i czosnku. Domek Annelies był przeładowany meblami i duszny, pot lśnił na opalonej, piegowatej skórze jej biustu. Miała na sobie kwiecistą sukienkę na ramiączkach, złociste refleksy w jej falujących włosach mieszały się ze srebrem. Usiadła w kuchni i otworzyła butelkę gewürztraminera, którego nie lubił, ale wypił, bo nie było nic innego. Na ścianach kuchni i na ławie, która stała przy stole, widniały malowane od szablonu serduszka. Serca były wszędzie, gdzie spojrzal – jako magnesy na lodówce, na pocztówkach, na ściereczkach, nawet kamyki zebrane na plaży miały ten kształt. Annelies pracowała w Komitecie Obrony Uchodźców i pomagała osobom ubiegającym się o azyl składać apelacje od decyzji o deportacji. W porównaniu z tym połowicznie zrealizowana kariera pisarska Paula zdawała się głupim nieporozumieniem.

– I co my teraz zrobimy, Paul? Rozmawiałeś z nią?

– Kiedy widzi, że to ja, nie odbiera telefonu. Poprosiłem Becky, żeby wysłała jej esemesa, a ona odpisała to samo: że wkrótce się odezwie i żeby się nie martwić.

– Ale jak tu się nie martwić, skoro zrezygnowała ze studiów? Jak ona się odżywia, chciałabym wiedzieć! Jak zapłaci czynsz, gdziekolwiek mieszka? Kiedy dzwoni, nie chce odpowiedzieć na żadne z tych pytań! Szkoda, że jej nie słyszałeś, Paul! Mówi inaczej niż zwykle. Coś jest nie tak. Na pewno. Błagam ją, żeby mi powiedziała, gdzie mieszka, a ona się rozłącza.

Osobiście Paul uważał, że przerwanie przez Pię studiów nie ma specjalnego znaczenia. Może nawet wyjdzie jej na dobre, córka posmakuje świata wolnego od ograniczeń narzucanych przez system kształcenia i bezpieczeństwo matczynego domu. Przeszła przez szkołę, rysując idealne marginesy, podkreślając tematy lekcji w zeszycie na czerwono i ściągając wypracowania z Internetu na zasadzie kopiuj-wklej. Jednak współczuł Annelies, która była tak zrozpaczona i wytrącona z równowagi, że przestała się do niego odnosić zgodnie ze swoim zwyczajem.

Normalnie nigdy nie wezwałaby go na pomoc ani nie dała po sobie poznać, że się boi. Zdawała się rozkojarzona, jakby nie mogła się odnaleźć w domu, gdzie wszędzie wokół były ślady Pii: jej dziecięce rysunki oprawione w ramki i powieszona na ścianach, jej zdjęcia z różnych lat przypięte do tablicy, dziewczęca biżuteria wisząca na hakach na kubki, czerwone buty na szpilkach, które nie mogły należeć do Annelies, stojące w kącie. Aura córki zdawała się w tym domu wyraźniejsza pod jej nieobecność, niż wtedy gdy Pia tu mieszkała.

Zapytał Annelies o ich kłótnię.

– To nic takiego. Weszłam do jej pokoju bez pukania i tyle. Co niby tam takiego robiła? Nic, co by trzeba było przede mną ukrywać. Chyba się malowała. Zapytałam ją, czy nie powinna się uczyć.

Annelies nie widziała potrzeby, by zamykać na klucz drzwi do łazienki. Gdy byli małżeństwem, często patrzyła Paulowi przez ramię, kiedy pisał, i nie rozumiała, dlaczego go to denerwuje. I z początku to właśnie w niej kochał: jak bez lęku się przed nim rozbierała; te wakacje w Szwecji, kiedy bez obaw zanurkowała do lodowatej wody przy kamienistych brzegach wysepek, do których płynęli kajakiem, podczas gdy on dreptał ostrożnie po kamieniach.

– Jestem liberalna – powiedziała teraz – przecież wiesz. Ale co z narkotykami, z chorobami wenerycznymi? To musi mieć związek z jakimś chłopakiem, jestem pewna, z kimś, kogo Pia woli mi nie pokazywać.

– Ona nie jest głupia. To rozsądna, trzeźwo myśląca dziewczyna. Musisz jej zaufać, tylko tyle możemy zrobić. Pogadam z działem opieki nad studentami w Greenwich, chociaż wątpię, żeby cokolwiek tam wiedzieli. Spróbuję znaleźć jej znajomych.

Ledwo Pię znał, mimo że godziny, które spędzili wspólnie w jej dzieciństwie, kiedy opiekował się nią w weekendy, zdawały się czasem tak niemiłosiernie dłużyć, że gorąco pragnął wrócić do swojej pracy, swoich książek. Z pewnością wyrwałby się z odrętwienia – nawet w tamtych czasach, jako zbyt młody ojciec źle czujący się w nowej roli – gdyby miał do czynienia z dzieckiem żywym, otwartym, trochę postrzelonym. Szukał tych cech u Pii, ale żadnej nie znalazł, czy to dlatego, że ich nie miała, czy też skrzętnie je skrywała przed nim. Ospala i uparcie obojętna snuła się za nim po muzeach, po National Gallery, podnosiła wzrok na obrazy, gdy mówił, żeby na nie patrzyła, ale nawet nie starała się niczego na nich zobaczyć. Nie czytała książek, które jej kupował. W muzealnych kioskach z pamiątkami pragnęła zawsze miękkich zabawek z komiksowymi buziami. Zdawało się, że bardziej zależy jej na kupowaniu rzeczy niż na patrzeniu na nie i ich poznawaniu.

*

Przenocował u znajomych w Londynie i nazajutrz udał się do Greenwich, uznawszy, że lepiej

dogada się osobiście niż przez telefon, ale w dziale do spraw studentów okazało się, że nie są upoważnieni do udzielania żadnych informacji. Nawet o planie zajęć, co pozwoliłoby mu popytać o nią znajomych z grupy. Młoda kobieta popatrzyła na niego ze zniecierpliwieniem.

– Wiem, że to dla rodziców trudne, lecz studenci są dorośli. Gdyby pan tutaj studiował, nie chciałby pan, żebyśmy udostępniali pańskie dane każdemu, kto o to poprosi.

– Ale powiedzieliście jej matce, że Pia zrezygnowała ze wszystkich zajęć.

– Nie wiem, kto podał tę informację.

Z zaskoczeniem stwierdził, że niczego nie wskóra, choć liczył na potęgę swojej pewności siebie i troski, a także na urok, jaki próbował roztoczyć przed tą młodą pyzată okularnicą. Teraz, gdy poszedł z powrotem na dworzec Paddington i zobaczył niknące w przejściach podziemnych tłumy, pomyślał, że umysł człowieka nie jest zdolny do ogarnięcia tak ogromnej rzeszy ludzi, skupionych w metropolii niczym góry złożone z żywych atomów. W tym wielkim mrowiu Pia była nie do odnalezienia – chyba że sama sobie tego życzyła. Telefon komórkowy to jedyna wąta nić, która ich jeszcze łączyła. A gdyby Pia przestała dzwonić albo zgubiła aparat? Jak wtedy mieliby ją odszukać?

Idąc w tłoku w kierunku wejścia do metra na dworcu, zerknął na przeciwległy peron i, o dziwo, nagle zdało mu się, że widzi Pię. Czekwała tam, wyższa od ludzi przed sobą, wpatrzona w dal, skąd nadjeżdżał pociąg. Miała na sobie czarną kurtkę zapiętą pod samą szyję i jasne włosy związane w dwa luźne kucyki opadające na ramiona. Gdyby jej nie znał, ujrzałby poważną i rozmarzoną dziewczynę, ładną, ale staromodną, jakby bezbronną i nazbyt wrażliwą. Zawołał ją po imieniu, zaburzywszy kolejkę do wyjścia, przepychając się do krawędzi peronu i machając, żeby zwrócić na siebie uwagę. Wydawało mu się, że odwróciła się i spojrzała w jego stronę – ale właściwie wszyscy zrobili to samo – a po chwili zasłonił mu ją pociąg, który z łoskotem wjechał na peron. Paul poczuł się od niej odcięty, a zarazem wystawiony na widok publiczny jako obiekt zainteresowania znużonych podróżnych.

Na wypadek, gdyby jednak zaczekała – czy to na inny pociąg, czy na niego – pobiegł na drugi peron, ale oczywiście, zanim tam dotarł, pociąg zdążył odjechać razem z Pią, jeżeli to w ogóle była ona. Od razu zaczął w to wątpić. Musiała to być jakaś inna dziewczyna, wysoka i jasnowłosa jak Pia, która pojawiła się tylko w odpowiednim momencie, by skupić na sobie jego lęki. Był wzburzony swoją nadmierną reakcją i późniejszym rozczarowaniem, z którego popadł w błędne koło trosk i obaw. W pociągu do domu przez całą drogę siedziała obok niego kobieta, której nie widział, ale słyszał, jak rozmawia przez komórkę podniesionym głosem, który wdzierał się we wszystkie zakamarki jego prywatności i nie pozwalał mu się skupić na książce. „Myślę, że to piękne uczucie... powiedziałaś, że chcesz od życia czegoś innego... dla każdej osoby

dojrzewającej emocjonalnie... to inny rodzaj bólu, ból gojenia...”.

*

Kiedy dotarł z powrotem do Tre Rhiw, ogród za domem oświetlały jeszcze ostatnie, padające ukośnie promienie słońca, ozłacając trawę i krzewy, które wyglądały jak skąpane w bursztynowym oleju. Czar pięknej wiosennej pogody trwał, przyprawiając dobry nastrój domowników odrobiną nerwowości związanej ze zmianą pór roku. Dziewczynki bawiły się z kozami na polu, karmiąc je resztkami warzyw. Joni traktowała zwierzęta ze śmiałą poufałością – obejmowała ich karki ramieniem i tuliła nos do ich uszu, całując je w różowe, pokryte szarymi plamkami wargi, z poczuciem bezceremonialności i efektywności własnego występu. Becky była bardziej oględna, niepewna, gdy ostrożnie wyciągała otwartą dłoń, podając im jedzenie tak, jak ją uczono. Zwierzęta tolerowały je, przeżuając, aż trzęsły im się brody, i przewracały oczami, jakby doznawały nieprzyjemnych narkotykowych wizji. Na tarasie Elise w okularach przeciwsłonecznych, dzwoniąc kostkami lodu w szklance campari, siedziała na jednym z leżaków, które odnowiła, używając tkanin pozostałych po pracy. Krzew winorośli o fantazyjnych kształtach zdawał się wyrastać jej z głowy, uginając się pod kiściami owoców. Pomachała do Paula swoim drinkiem i powiedziała, żeby przyniósł sobie z domu drugi leżak. Kiedy się zwierzył, że chyba widział Pię na dworcu w Paddington, uznała, że to prawdopodobne; w końcu rzeczywiście nosiła czarną kurtkę, mogła też właśnie wracać z południowej Walii, z odwiedzin u znajomych ze wsi.

– I nie dałaby nam znać, że tu jest?

– Możliwe. Jeżeli nie chce, żebyśmy wiedzieli, co robi. Może nie chce, żebyśmy naciskali w sprawie powrotu na studia.

– Ale z jakimi znajomymi?

– Kumpluje się z chłopakiem Willisów.

– Jak to możliwe?

Paul nie przepadał za Willisami.

– Pia i James są do siebie dosyć podobni, nie sądzisz? – zauważyła Elise.

Zapewniła go, że nie ma powodu do obaw.

– Jestem przekonana, że nic jej nie jest. Potrzebuje tylko trochę więcej przestrzeni, jak przypuszczam. Annelies, Bóg mi świadkiem, potrafi być przytłaczająca.

Podkasła sukienkę, żeby opalić sobie uda, i strząsnęła ze stóp klapki, rozczapierzając swoje silne brązowe palce z paznokciami pomalowanymi karminowym lakierem.

– Czy przypadkiem nie martwisz się tak bardzo dlatego, że masz wyrzuty sumienia? Po tych wszystkich latach, kiedy musiałam ci przypominać, żebyś chociaż do Pii zadzwonił?

Poszedł zrobić sobie drinka. W podłużnej, niskiej kuchni z kamienną posadzką, zbudowanej niczym forteca przeciwko żywiołom, gęśniał już mrok, podczas gdy we wprawione we wnęki okna wciąż świeciło słońce. W powietrzu unosił się aromat leżącej na stole pokrojonej pomarańczy. Paul starał się nie myśleć o tym, jak zaniedbywał Pię. Rozpamiętywanie własnych błędów było bezsensowne, w niczym Pii by nie pomogło. W gabinecie zaczął przeglądać zawartość pudeł, które przywiózł z pokoju Evelyn. Niektóre przedmioty, gdy je wyciągał, przywoływały aurę dzieciństwa: porcelanowy słój na herbatniki z wiklinowym uchwytem, lakierowana szkatułka na biżuterię, która po otwarciu wieczka grała melodyjkę. Oba przedmioty stały w salonie, prawie niczym święte ikony, w szafce za szybą. Spakowane wspólnie w jednym pudle wciąż zdawały się leciutko pachnieć zielonym filcem, którym wyłożone były półki kredensu, mimo że samego mebla od lat już nie było, bo Evelyn pozbyła się go przy pierwszej przeprowadzce.

Na dnie jednego z pudeł leżały książki jego autorstwa – ta o powieściach Hardy'ego, która powstała na podstawie dysertacji doktorskiej, ta o ogrodach zoologicznych i ostatnia, o zwierzętach w baśniach dla dzieci. Dawał je matce tuż po wydaniu, a ona z dumą wystawiała je na półce, zapewniając, że je przeczytała, chociaż wyobrażał sobie, jak z poczuciem obowiązku ślęczała nad każdą ze stron i wzdychała z ulgą po dobrnięciu do końca, jakby odbywała przymusowy kurs dokształcający z dziedziny, która pozostała dla niej czarną magią.

*

Teren za Tre Rhiw opadał ku rzece – najpierw był ogród, potem zarośnięty chaszczami skrawek łąki, gdzie znajdowała się zagroda dla kóz i gdzie Elise hodowała kury, a także uprawiała trochę warzyw. Kiedy się tutaj przeprowadzili, ich posesja graniczyła z trzema zagonami pól należących do małżeństwa starsuszków, którzy nie mieli już siły do pracy na roli i wypasali tu tylko parę sędziwych koni i osła. Te dawne pola były usiane starymi półkulistymi kopcami mrowisk, jakie spotyka się na ziemiach nietkniętych ciężkimi maszynami rolniczymi. Kępy rozkrzewionych leszczyn były oblepione pajęczyną porostów, wiosną i latem śmiałki darniowe falowały na wietrze wraz z bodziszkami, lnicami i chabrami.

Kiedy starsuszek zmarł, a wdowa przeprowadziła się do córki w Pontypool, ich dom i ziemię kupił Willis, rolnik z drugiego krańca wsi. Wyrwał całe starodawne żywopłoty, aby scalić zagony w jedno pole, po czym zaorał rozkrzewione leszczyny i mrowiska. Paul zrobił mu z tego powodu awanturę, grożąc, że pójdzie do sądu, chociaż nie było prawdopodobnie żadnych paragrafów, które by czegoś takiego zabraniały. Elise powiedziała, że co się stało, to się nie odstanie, więc równie dobrze mogą odpuścić i nie załazić Willisowi za skórę, są przecież sąsiadami. Zresztą żadna siła nie odtworzy żywopłotów, które prawdopodobnie rosły całe stulecia. Od tamtej pory

zdawało się, że Willis nawozi pole gnojem albo opryskuje je środkiem chwastobójczym za każdym razem, gdy organizowali przyjęcie na świeżym powietrzu; Elise była pewna, że robił to tylko dlatego, że Paul z nim wtedy zadarł. Wyglądało na to, że Willis we wsi też nie jest zbyt lubiany. Był Anglikiem, który wżenił się w miejscową rodzinę.

Elise powiedziała, że Paul powinien zapytać syna Willisa, czy Pia się z nim kontaktowała. Zwlekał z tym przez kilka dni, ale wciąż nie było od niej żadnych wieści, więc przełamał się i pewnego ranka poszedł do Blackbrook. Wcześniej był to zmurszały stary dom zarośnięty jabłonią, z omszałym łupkowym dachem i izbami niezmienionymi od półwiecza. Willis skuł wszystko do nagiego kamienia, wstawił nowe okna z PCV, położył gładź gipsową na sufitach osmalonych na brązowo dymem tytoniowym, przytwierdził białe rzeźbione końskie łby na szczycie słupów bramy i wysoko na jednym z murów zamocował talerz anteny satelitarnej. Teraz dom nijaki i nagi wydawał się nierzeczywisty jak ze snu albo filmu. Kiedy Paul przemierzył rozległe wybetonowane podwórze, zobaczył Willisa, który uruchomił traktor i wysiadł z klimatyzowanej kabiny, wsłuchując się w warkot silnika; był jasnowłosym, krępy facetem o potężnych rękach i rysach twarzy prawie niewidocznych pod mnóstwem piegów.

– Łoskocze skubaniec – powiedział. – Coś się zacina.

– Jest James?

– A co niby zmalował?

– Nie zrobił nic złego. Chcę go poprosić o przysługę.

Willis skinął głową w stronę ogromnej obory z blachy falistej.

– Ze szlauchem w oborze. Uważaj na laczki, byłoby ich szkoda. Mnie nie robi nigdy żadnych przysług.

Stąpając ostrożnie, żeby ominąć strumienie łajna, które płynęły betonowymi rynnami, Paul ruszył w kierunku syku tryskającej pod ciśnieniem wody. Obora była ciemna, a smród zwierząt przytłaczający. Kiedy się zbliżył, chłopak zakręcił wodę. Oczy Paula przyzwyczyły się do mroku. James miał jasne włosy i piegi ojca, ale był wyższy i chudy. Na widok Paula zeszywniał, zaniepokojony.

– Jak miała się Pia, kiedy ją ostatnio widziałeś?

– A co?

– Martwimy się o nią.

Wzruszył ramionami.

– Zupełnie w porządku.

– Kiedy to było? Odwiedziłeś ją w Londynie? A może ona przyjechała tutaj?

Chłopak znowu odkręcił wodę, kierując strumień w kąty boksów.

- Nie pamiętam kiedy.
- Wiedziałaś, że zrezygnowała ze studiów?
- Może coś o tym wspomniała. Nie pamiętam.

Paul zapytał, czy wie, gdzie mogliby ją znaleźć, ale James odpowiedział, że ma tylko numer jej komórki.

Pia chodziła do Willisów z początku po to, żeby pograć na konsoli PlayStation. Nudziło jej się na wsi, a nie lubiła czytać ani spacerować, więc Paul i Elise cieszyli się, że przynajmniej kogoś poznała. Później, kiedy podrosła, Elise zaczęła podejrzewać, że musi coś być między nią a Jamesem, ale Pia zaprzeczyła stanowczo i przekonująco; James jej się nie podobał, byli tylko kumplami, rozumieli się nawzajem. I prawda, że kiedy grali w kręgle albo leżeli rozwaleni na kanapie, oglądając telewizję, sprawiali wrażenie tak swobodnych, jakby byli rodzeństwem – ich luźne w stawach, patykowate ciała były odprężone, pozbawione seksualnego napięcia. Paul nie wyobrażał sobie, o czym mogli rozmawiać. James, milczek, skrywał się w gęstwinie swoich kompleksów. Jeździli pociągiem do Cardiff do klubu nocnego albo spędzali razem wieczory w Blackbrook. Willis przerobił starą stodołę, żeby jego synowie mogli tam samodzielnie mieszkać, z pokojem gier i kuchnią. W sezonie wakacyjnym ich matka organizowała tam teraz pokoje dla letników, odkąd dwaj starsi synowie opuścili gospodarstwo. Willis chciał, żeby zostali i pomogli mu w interesach (oprócz uprawy ziemi wytwarzali także lody i sprzedawali choinki na święta, zatrudniając kilku ludzi ze wsi). Według Ruth, współpracownicy Elise, krążyły plotki o kłótniach chłopaków z ojcem i w końcu synowie wyjechali.

*

Elise zorganizowała proszoną kolację.

– Tak dobrze? – Masowała naprężone mięśnie na jego karku i barkach. – Jesteś już gotowy do życia towarzyskiego?

Myślał, że jest gotowy, ale kiedy zjawili się goście, stracił na to ochotę. Byli znajomymi Elise, a nie jego (odmówiła zaproszenia Geralda: „Uwielbiam go, ale nie jest specjalnie udomowiony, jeśli wiesz, co mam na myśli. Nie nadaje się na towarzyskie okazje”). Przyszła Ruth z mężem oraz inna para, którą poznali, gdy wspólnie czekali na szkolny autobus. Większość osób, które znali we wsi, była przyjezdna, ale Ruth urodziła się tutaj, a jej brat odziedziczył gospodarstwo, w którym się wychowała. Była drobniutka i zaradna, miała drobne, regularne rysy i upięte z tyłu ciemne kręcone włosy. Paul uważał ją za cokolwiek purytańską i niewyzwoloną. Poróżnił się z nią kiedyś straszliwie w sprawie języka walijskiego. Był pewien, że żona się jej skarży, że jest zbyt zaabsorbowany swoimi książkami i pisaniem, a za mało wykonuje obowiązków domowych, chociaż to ona więcej dokłada do rodzinnego budżetu.

Elise ostrzegła go, że nie wolno mu podczas kolacji „wszystkiego zepsuć”: miał się nie alienować i brać udział w konwersacji. Rozmowa jednak okazała się nudna. Wszyscy przy stole, mężczyźni i kobiety, byli trochę po czterdziestce i nie mógł nie dostrzec pierwszych oznak starości na ich twarzach, obwisłej skóry wokół ust i szczęki, podpuchniętych powiek, początków procesów starzenia, które zmieniają ich w rozpadające się, pomarszczone wersje dawniejszych siebie. Rozmawiali o dramatach kostiumowych w telewizji. Ktoś powiedział, że nic się tak naprawdę nie zmienia, że wystarczy zajrzeć pod peruki i starodawne stroje, by zobaczyć te same, ponadczasowe sytuacje i zachowania, tę samą naturę ludzką. Paul odparł, że jego zdaniem jest tak tylko dlatego, że dramaty kostiumowe w telewizji mają na celu przekonanie widzów do istnienia takiej natury, że to tylko pocieszające złudzenie – zwyczajna bujda.

Na policzku Ruth zadrgał pod skórą mięsień; wyraźnie przygotowała się do rozprawy z Paulem, dziobiąc widelcem ryż.

– Co masz na myśli?

– Kultury ludzkie zmieniają się z biegiem czasu, jak powietrze przechodzące przez zawór, który nie dopuszcza drogi powrotnej. Substancja doświadczenia ulega ciągłym zmianom, bez możliwości powrotu do tego, co było, ani odzyskania tego, co się utraciło. Historia ludzkości jest historią utraty.

– Ale są też pewne zdobycze – zauważyła z naciskiem Elise.

– Jak prawa człowieka i status kobiet. Jak zniesienie niewolnictwa.

– I antykoncepcja.

– Czy wolno stąd wnosić – odparł Paul – że zyski i straty koniecznie się równoważą? Kto miałby zdecydować, że zyskaliśmy więcej?

– Albo że więcej straciliśmy.

– A gdyby uznać, że degradacja świata przyrody odzwierciedla postęp historyczny naszej kultury, unieważniając kolejne możliwości i jakości jedne po drugich, aż zostaje ich w sumie mniej, znacznie mniej?

– Czy to znaczy, że wszyscy powinniśmy palnąć sobie w łeb? – zapytała Ruth.

Wszyscy zdawali się na niego źli, zarzucali mu nostalgię, wsteczność w upodobaniu do wszystkiego, co stare, obojętność na to, co było niesprawiedliwe albo wywoływało cierpienie w przeszłości.

– Jeszcze jedna ponadczasowa postawa – powiedział mąż Ruth. – Każde pokolenie uważa, że to, co dawne, było z konieczności lepsze. Kiedy byłem chłopcem, można było wyjść z domu i nie zamykać drzwi na klucz, rock'n'roll był lepszy i tak dalej.

Paul nie potrafił znaleźć w sobie dość energii, by wyjaśnić, że chodziło mu tylko o to, że

przeszłość jest cenna, ponieważ była inna, a nie lepsza. Kiedy goście wyszli, razem z Elise w zmęczonym milczeniu zabrał się do sprząwania. Nie mieli zmywarki; stał przy zlewie i ze stoickim spokojem mył najpierw kieliszki, potem talerze, a na koniec ciężkie garnki. W wodzie zaroilo się od pływających ziarenek ryżu i żółtych od kurkumy oczek tłuszczu. Elise popakowała resztki jedzenia, wytarła i schowała na miejsce talerze i kieliszki, przywracając pomieszczenia do ich dziennego ładu, ze zgrzytem przesunęła ciężki stół po kamiennej posadzce. Jej strój przywiął trochę od czasu starannie przygotowanego rozkwitu – czerwona elastyczna sukienka obwisała na brzuchu, skóra na policzkach lśniła tłusto w świetle górnej lampy, którą włączyli po wyjściu gości. Paul uważał, że jeśli wziąć pod uwagę to, w jak parszywym był przez cały wieczór nastroju, całkiem nieźle sobie poradził w zalewie błyskotliwego, pozbawionego celu gadania, z którego nazajutrz nie pamięta się ani słowa. Elise postrzegała życie towarzyskie jako serię skomplikowanych zobowiązań, wymianę grzeczności i przyjemności, podczas gdy on uważał rozmowę za bezsensowną, jeśli nie mówi się tego, co się myśli. Na ironię zakrawał fakt, że poznali się na imprezie, kiedy Elise ocaliła go przed kłótnią, która o mało nie przerodziła się w bijatykę. Dlaczego kobiety uważają takie tarcia między mężczyznami za pociągające, a następnie starają się załagodzić?

Zła i wyczerpana Elise po położeniu się do łóżka odwróciła się do Paula tyłkiem. Zwykle zasypiał przyciśnięty do wyspy jej ciała, a teraz, odrzucony, dryfował na zimnym marginesie materaca, nie wiedząc, jak wygodnie się ułożyć. Czasami żona wydawała mu się mała i próżna. Kiedy indziej przewyższała go i nad nim przeważała, to on był mniejszy, to on był ułomny. Może mylił się, jeśli chodzi o proszone kolacje. Może liczyło się tylko to, żeby być miłym.

IV

Paul próbował pracować, gdy nagle coś rozproszyło go, zasłaniając w oknie światło. Becky, przykucnąwszy, zapukała w szybę, wzywając go pilnie do ogrodu. Pomyślał, że córka chce mu pokazać coś, co zrobiła; miała zręczne dłonie, podobnie jak matka. Ale kiedy wyszedł, chodziła tam i z powrotem po trawniku, rozmawiając przez różową komórkę, którą dostała na Gwiazdkę. Mówiła z wyraźną dykcją, jakby udawała dorosłą, a przy tym wymachiwała rękami, strojąc nadmiernie ekspresyjne miny. Paul nie chciał dawać jej tego różowego telefonu, była na taki prezent stanowczo za mała.

– To co tam u ciebie w ogóle słyhać? – zapytała serdecznym tonem do aparatu.

Przewracając oczami, skinęła wolną ręką na komórkę i wymówiła coś bezgłośnie.

– Zarąbicie – powiedziała. – Gdzie mieszkasz? To jakieś fajne miejsce? Chcesz pogadać z tatą? Mogę go zaraz poprosić.

Paul zorientował się, że ona rozmawia z Pią.

– Martwią się – wyjaśniała Becky Pii. – Ale nie świrują.

Przywołała Paula do siebie, a potem szybko przycisnęła mu telefon do ucha, jakby wystarczyła chwilką, żeby utracić z Pią kontakt. Paul obawiał się z początku, że się rozłączyła.

– Pia? Jesteś tam?

Nie wiedział, co powiedzieć. Czy powinien wspomnieć, że widział ją niedawno na stacji? Mogłaby się wystraszyć, pomyśleć, że ją śledzi. Kiedy była młodsza, potrafił nie rozmawiać z nią całymi tygodniami; teraz gęstość jej milczenia po drugiej stronie słuchawki zdawała się drogocenna i obawiał się wtrącić jakieś niewłaściwe słowo.

– Jesteś tam?

– Cześć, tato.

Jej głos brzmiał tak jak zwykle, ale w tle słyhać było nieznanome echo miejsca, w którym przebywała. Próbował zachęcić ją do rozmowy, starając się nie robić z tego wielkiej sprawy. Zapewniła go, że wszystko u niej w porządku, oboje przemilczeli temat jej rezygnacji ze studiów, nie zapytał też, z kim teraz jest ani jakie ma plany, i nie chciał jej mówić przez telefon o śmierci babci. Nawet wtedy, gdy próbował ją ugłaskać i ośmielić, poczuł starą, znajomą irytację, że musi wyciągać z niej każde słowo. Mówiła krótkimi, niepewnymi zdaniami w niedbałym slangu, jakiego nabywają dzieci z klasy średniej.

– Żeby było zabawniej – powiedział – i tak muszę być w czwartek w Londynie. – Była to nieprawda. Wymyślił to kłamstwo na poczekaniu. – Może się wtedy zobaczymy? Moglibyśmy

się spotkać, gdzie tylko chcesz. Piu, jesteś tam?

– Tylko jeśli obiecasz, że nie powiesz mamie. Ani Elise.

Jest dorosła, pomyślał. Ma prawo do swoich tajemnic.

– Dobrze.

– W takim razie zadzwonię do ciebie w czwartek – oznajmiła.

Czy rzeczywiście zadzwoni? Zaczął w to wątpić, gdy tylko się rozłączyła.

Becky zapytała, czy umówił się z Pią na spotkanie. Odpowiedział, że Pia ma się dobrze, ale nie jest jeszcze gotowa na rozmowę twarzą w twarz. Becky zarumieniła się pod piegami na różowo. Może zgadła, że skłamał. Ale jeśli miał przed Elise zachować sprawę w tajemnicy, nie mógł zdradzić jej Becky. Jeżeli Pia nie przyjdzie na spotkanie, wtedy im powie.

– Dobrze, że cię zawołałam, kiedy zaczęłyśmy rozmawiać?

– Bardzo dobrze. – Podniósł ją i pocałował. Serce mu się ścisnęło, gdy uświadamiał sobie, jaka jest wrażliwa i pełna lęków. – Zachowałam się jak detektyw w telewizji.

Tamtej nocy znowu przyśniła mu się Evelyn. Czekali godzinami w kotłującym się, anonimowym tłumie, popychani i szturchani w kolejce do czegoś, do czego nigdy nie dotrą, niespokojni, czy mają dobre papiery. We śnie uświadomił sobie w końcu, że matka chce wyemigrować i że czarne górujące nad nimi masywne kształty to kadłuby statków. Kiedy się obudził, poczuł się samotny, wspominając niewymuszoną, zażyłą bliskość ze snu.

*

Powiedział Elise, że spotka się ze Stellą, co było dość prawdopodobne – Stella była jego starą znajomą z BBC i zrobił z nią kilka programów. Gdy tylko dotarł do Londynu, zadzwonił do Pii. Odebrała dopiero po dłuższej chwili.

– Nie wiem, tato, czy to dobry pomysł.

Sprawiła wrażenie, jakby się dopiero obudziła, jej głos był lepki i rozleniwiony. Paul nie spał już od wielu godzin, pół dnia miał za sobą.

– A co z tym, co masz do zrobienia? – zapytała. – Może spotkamy się potem?

– To będzie dopiero wieczorem.

– Wieczór byłby dla mnie lepszy. Mam jeszcze sprawy do załatwienia.

Nie uwierzył jej.

– Gdzie jesteś? Podaj mi adres, a od razu przyjadę. Nie zostanę na długo. Dotrzymałem swojej części umowy, nie powiedziałem ani słowa twojej mamie ani Elise.

Była na tyle ospała, że zabrakło jej refleksu, by go splawić, i podała adres, który zanotował sobie na marginesie gazety. To było gdzieś przy Pentonville Road, powiedziała, że powinien wysiąść na stacji metra King's Cross. Po zakończeniu rozmowy kupił plan miasta, żeby się

zorientować, dokąd dokładnie ma dotrzeć. Z zaskoczeniem stwierdził, że Pia mieszka w centrum Londynu; spodziewał się, że zaszyła się gdzieś na przedmieściach. W końcu dotarł przed brzydki blok mieszkań komunalnych, który wznosił się na usypanej wyspie pośrodku nieustępliwie ryczącego ruchu ulicznego. W upale spaliny samochodowe były gęste jak szkło i zajęło mu kilka minut, zanim znalazł właściwy system przejść, aby dotrzeć do drzwi budynku. Blok miał trzy albo cztery kondygnacje i okalał go wysoki mur, który sprawiał, że całość, otynkowana na biało-niebiesko, przypominała stary kontenerowiec na morzu.

Przy wejściu był domofon. Pia otworzyła mu i powiedziała, żeby poczekał za drzwiami. Stróż w szklanej budce czytający „Daily Mirror” nie zwrócił na niego uwagi. Gdzieś na klatce schodowej rozległ się łoskot drzwi przeciwpożarowych, a potem usłyszał kroki Pii niosące się echem po betonowych korytarzach. Kiedy tak na nią czekał, poczuł niespodziewane wzruszenie. Nie spodziewał się po swojej najstarszej, trzymanej przez matkę pod kloszem córce, że znajdzie ją w takim miejscu: w miejscu, gdzie pomimo domofonu i stróża mogło być niebezpiecznie. Zaintrygowała go myśl, że Pia wybrała ten dom świadoma istniejącego ryzyka. Otworzyła ostatnie drzwi. Stróż w budce powiedział coś z tak mocnym karaibskim akcentem, że Paul w ogóle go nie zrozumiał. Zdawało się, że Pia nie ma z tym żadnych kłopotów, i odpowiedziała szybko, ale tak jakby nie chciała wdawać się w rozmowę. Ton jej głosu zrodził w Paulu podejrzenie, że może nie powinna mieszkać w tym budynku i unika niewygodnych pytań.

Gdy tylko ją ujrzał, zdał sobie sprawę, że faktycznie widział ją parę tygodni wcześniej na stacji Paddington. Włosy miała związane w takie same luźne kucyki, przypominające mu dziewczyny z filmów z trudnych lat sześćdziesiątych o brytyjskiej klasie robotniczej, z oznakami zmęczenia i kłopotów już wypisanymi na młodych twarzach, co stanowiło część ich seksapilu. Była blada i nieumalowana. Owinęła się starym czarnym kardiganem ze zwisającym luźno paskiem, który przytrzymała rękami skrzyżowanymi na piersi. Wyglądała znacznie dojrzalej, niż gdy ostatnio się z nią widział; wtedy poszli do restauracji, a on wciąż traktował ją jak dziecko. Mimo że próbowała się z tym kryć, na pierwszy rzut oka dostrzegł, że jest w ciąży. Brzuch nie był ogromny, ale przy jej chudej, kanciastej figurze dosyć widoczny. Nie mógł go dostrzec na dworcu, ponieważ wtedy zasłaniała ją inni podróżni.

Nie wyobrażał sobie, jak to możliwe, że nikt z nich w ogóle o tym nie pomyślał.

*

Pia z nieśmiałym niepokojem poprowadziła ojca przypominającą więzienie, poprzedzielaną ciężkimi metalowymi drzwiami klatką schodową. Próbując zagadać własną nerwowość, opowiedziała mu, jak w latach osiemdziesiątych roilo się tu od narkomanów i dilerów, a w latach dziewięćdziesiątych wyremontowano blok, zbudowano ogrodzenie i zatrudniono stróża przy

wejściu. Na razie o ciąży nie było ani słowa, chociaż gdy Paul pocałował ją na powitanie, poczuł dotyk jej twardego brzucha. Pia może nawet wierzyła, że niczego nie zauważył. Wstydził się poruszyć ten temat i czekał, aż będą rzeczywiście sami. W końcu stanęli przed pomalowanymi na czerwono drzwiami na drugim piętrze. Pia wyjęła z kieszeni swetra klucze i tuż przed otwarciem drzwi szepnęła mu pośpiesznie do ucha:

– Pamiętaj, obiecałeś, że nikomu o niczym nie powiesz.

Nie był to moment na protesty, że wymogła tę obietnicę, nie wyjaśniając w pełni okoliczności. Przeszli przez wąski przedpokoik do niedużego pokoju z oknami ciągnącymi się przez całą długość jednej ściany. Żaluzje były zasunięte, więc w mieszkaniu panował półmrok poprzecinany gdzieś tam snopami białego światła z miejsc, gdzie poszczególne blaszki się wykrzywiały. Duży telewizor z płaskim ekranem był włączony na program z wiadomościami dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ktoś nie zdążył zasłać rozłożonej sofy. W całym mieszkaniu czuć było zaduch nieświeżej pościeli, dymu z papierosów i marihuany. Uchylone drzwi prowadziły do drugiego pokoju, przypuszczalnie sypialni, gdzie również było ciemno. Łazienka i kuchnia wielkości kanciapy znajdowały się po drugiej stronie przedpokoju. Drzwi do łazienki zdjęte z zawiasów stały oparte o ścianę.

– Trochę tu bałagan – powiedziała Pia, jakby dopiero teraz to zauważyła.

Zaczęła zbierać z podłogi kubki i talerze.

Paul pomyślał, że musi ją stąd wyrwać, to nie jest odpowiednie miejsce dla rozwijającego się w jej łonie dziecka. Już miał powiedzieć coś na ten temat, kiedy z sypialni wyszedł mężczyzna.

– To jest Marek – oznajmiła Pia. – A to mój tata.

Marek wyciągnął rękę.

Kiedy Paul się domyślił, że Pia mieszka z chłopakiem, wyobraźnia podsunęła mu obraz kogoś w jej wieku, kogoś takiego jak James Willis albo może kolegę, który rzucił niedawno studia, ale na pewno nie kogoś dorosłego. Mężczyzna, którego zobaczył, był średniego wzrostu i drobnej budowy ciała, ale nie miał w sobie nic chłopięcego czy niewydarzonego. Jego szczupłe ciało zdawało się pełne skumulowanej energii i stanowczości, na jaką Paul nie był przygotowany. Włosy miał ciemne i kręcone, ostrzyżone krótko, przylegały do głowy niczym wełniany czepek. W półmroku wyglądał na co najmniej trzydzieści lat. Szybko i mocno uścisnął Paulowi dłoń, a potem ją puścił. W drugiej ręce trzymał bibułkę z tytoniem. Zwinął skręta, szybkim, wyćwiczonym ruchem polizał i skleił papier, po czym zaoferował tytoń i bibułki Paulowi.

– Pali pan?

Paul powiedział, że rzucił już dawno temu.

– Ma pan coś przeciwko?

Marek zapalił, nie czekając na pozwolenie; jeden papieros mniej czy więcej i tak nie miał w tym pokoju znaczenia. Jeżeli był Polakiem – to chyba polskie imię? – może nigdy nie słyszał o szkodliwym wpływie palenia na rozwój płodu. Może z polskiej perspektywy wszystkie te obawy zdawały się tylko przesadnym panikarstwem. Czy to naprawdę był kochanek Pii? Przecież ktoś spał na sofie. Może Paul źle odczytał sytuację.

– Nie mamy mleka. – Pia wciąż trzymała brudne talerze. – Ale mogę zrobić kawę, jeżeli wypijesz czarną.

– Zrób kawy, tak – powiedział Marek.

Był pieszczotliwy, nieznośnie poufały. Pia uśmiechnęła się mimowolnie.

– Ale w tym mieszkaniu gorąco! – powiedziała. Z pewnym wysiłkiem uniosła żaluzję do połowy, a następnie otworzyła okno. – Na dachu jest podobno ogródek. Ale nikt go nie pielęgnuje.

Nagle do mieszkania wdarł się miejski hałas i jaskrawe światło, które obnażyło ich twarze, jakby zdarło z nich skórę. Głowa Marka była okrągła i foremna, a w drobnych, kształtnych rysach pomimo uśmiechu widać było napięcie. Oczy miał niezbyt duże, ale bardzo ciemne i okolone gęstymi rzęsami – czarne węgle osadzone w bladej twarzy. Na ścianie pod dziwnym kątem wisiała reprodukcja obrazu Jacka Vettriano, para tańcząca na plaży pod parasolem. Obok była też fotografia żyraf na sawannie. W sztucznej skórze, którą obito sofę, były rozdarcia. Okno wychodziło na parking i drugie skrzydło bloku. Przestrzeń między dwoma chodnikami została wypełniona ziemią, gdzie rozrosły się wysokie chwasty i obumarły, spalone w upale na słomę.

– To pana mieszkanie? – zapytał Marek.

– Mojej siostry. Pozwoliła nam się tutaj zaczepić. Kiedy Pia wyprowadziła się od matki, nie mogłem zabrać jej tam, gdzie wtedy mieszkałem. Nie było tam miło.

– To bardzo dziwna sytuacja – powiedział Paul. – Zdaje się, że moja córka jest w ciąży. Czy może mam przywidzenia? Co się tu dzieje?

Pia zarumieniła się i z zażenowaniem zakryła brzuch swetrem.

– Nie wiedziałam, że tak widać.

– Zrób kawy – rzekł Marek. – A ja porozmawiam.

– I wyjęłaś ćwiek z wargi.

Pia skinęła głową w stronę Marka.

– Nie podobał mu się.

– Mnie też się nie podobał – zauważył Paul. – Ale dla mnie go nie zdjęłaś.

Marek się roześmiał.

– Tak naprawdę chciałbym porozmawiać z Pią na osobności – stwierdził Paul. – Może

wyjdziemy we dwoje i wypijemy kawę gdzieś na mieście?

Miał wrażenie, że Marek i Pia komunikują się ukradkowo za pomocą spojrzeń.

– Tu jest dobrze – oznajmił Marek. – Pia chce zostać tutaj.

Paul poszedł za córką do maleńkiej kuchni. W zlewie wznosił się stos brudnych garów, a kosz był tak wypchany śmieciami, że nie chciał się domknąć.

– Mamy myszy – zagadnęła odwrócona plecami, gdy nalewała wodę do czajnika. – Są naprawdę urocze.

– Nie możemy jednak gdzieś wyjść? Powinniśmy porozmawiać.

– Nie ma po co, tato.

– Co się tutaj dzieje, kochanie? W co ty się wpakowałaś?

– Wiedziałam, że nie zrozumiesz. Ale tego właśnie chcę.

– Wypróbuj mnie. Postaraj się mi wyjaśnić.

Nie widział jej twarzy, ale napięcie widać było w przygarbionych plecach. Przypomniało mu się, jak snuła się za nim na ostatnich nogach przez bezkres lodowatych posadzek w muzeach, do których ją kiedyś zabierał, i jak wbrew woli podporządkowywała się, gdy zalewał ją swoją wiedzą, która musiała się zdawać nieskończona.

– Okej – powiedział. – Jeżeli tego właśnie chcesz, to w porządku.

Szybko przygotowała kawę rozpuszczalną, opłukawszy brudne kubki pod kranem i wytarłszy ciemne kręgi palcem. Zapytał, czy była już u lekarza, i odpowiedziała, że tak i że idzie w przyszłym tygodniu z Anną, siostrą Marka, na umówioną wizytę do szpitala.

– Nie masz chyba na myśli aborcji?

– Nie! – oburzyła się. – Zresztą już na to za późno. O wiele za późno!

Nie jest do końca jasne, powiedziała, jak ciąża jest zaawansowana. Najwyraźniej nie mogła dokładnie tego ustalić.

– Czekamy na USG – wyjaśniła. – Wtedy będzie wiadomo.

Sprawiała wrażenie, jakby poddała się temu procesowi – datom, wizytom i nieuchronnym zmianom – pogrążona w sennej bierności. Miał ochotę potrząsnąć nią, żeby się obudziła. Podczas całej rozmowy Marek ich bez wątpienia słyszał z drugiego pokoju. Paul czuł, że musi powiedzieć jej o babci, ale nie potrafił się na to zdobyć przy kimś obcym. Kiedy usiedli, rozmawiając przy ohydnej kawie w saloniku, wśród pościeli i popielniczek przepelnionych popiołem i petami, próbował ustalić, jak Marek zarabia na życie i jak zamierza utrzymać Pię i dziecko. W czasie całej ich rozmowy telewizor wypluwał kolejne porcje najnowszych wiadomości: o Iraku, o rezygnacji Blaira, o robotniku kolejowym, który zginął na torach, o dziecku porwanym w Portugalii, którego wciąż nie odnaleziono. Paula to rozpraszało, ale innym zdawało się wcale nie

przeszkadzać. Czuł absurd sytuacji – odgrywał rolę urażonego opiekuńczego ojca, mimo że jego stosunki z Pią wcale tego nie uzasadniały. Zdawało się, że Marek też to rozumie, z rozbawieniem zapewniając, że będzie jej pomagał.

– Pieniądzy będzie dość, proszę się nie martwić. Znajdzie się też lepsze mieszkanie, znacznie lepsze. Wszystko będzie dobrze.

Powiedział, że robi interesy, zajmuje się importem i eksportem, dostarcza towar do polskich delikatesów. Liczył, że się obłowi, polskie sklepy otwierały się w każdym mieście, na każdej ulicy. Był oszustem, a może fantastą? Stan mieszkania bynajmniej nie sugerował człowieka sukcesu, chyba że był dilerem narkotykowym, i to na drobną skalę. Paul bywał już w gorszych spelunach niż to mieszkanie, dwadzieścia lat temu, kiedy obracał się w tym półświatku. Wszystko, co tu widział, budziło w nim obawy. A mimo to, kiedy tak rozmawiali, zaczynał rozumieć, czym ten mężczyzna zdobył zaufanie Pii. Uśmiechał się z papierosem dyndającym z kącika ust, dużo gestykulował i był zabawny, mimo że nie mówił niczego szczególnie śmiesznego. Jednocześnie udawało mu się wywrzeć wrażenie powagi i kompetencji, jakby komunikował inny przekaz, smutny i melancholijny, za budzącą niedowierzanie fasadą, za powierzchownym znaczeniem tego, o czym opowiadał.

Podobno poznali się poprzez siostrę Marka. Jako studentka Pia dorabiała, pracując w tej samej kawiarni co ona. Paul przypomniał sobie, że Annelies szukała córki w tej kawiarni i usłyszała, że Pia odeszła z pracy. A odeszła, dowiedział się teraz, dlatego że na początku ciąży cały czas wymiotowała.

– Ale teraz już mi przeszło, czuję się dobrze, naprawdę. Powinam się za coś rozejrzeć.

Marek pociągnął ją czule za włosy, jakby czymś się Paulowi chwalił, odgrywając rolę tego, który wie najlepiej.

– Wolałbym, żeby po prostu została tutaj, dbała o siebie i postarała się, żeby w domu było miło.

Zdawało się, że jej starania, żeby w domu było miło, na razie szły na marne. Ale najwyraźniej oboje dopiero co wstali z łóżka. Może później w mieszkaniu zapanuje większy porządek.

*

Wychodząc, Paul poprosił Pię, żeby odprowadziła go do bramy. Kiedy znaleźli się na półpiętrze betonowej klatki schodowej, gdzie unosił się zapach taniego detergentu, powiedział jej o śmierci babci. Wygięła usta w bezradnym, brzydkim płaczu. Pomyślał, jak bardzo różni się od przyrodnych sióstr. Obie odziedziczyły po matce rodzaj światowego obycia, polor wykwintności. Pia wychowała się w wielkim mieście, ale była niezdarna i niewyrafinowana z włosami jak słomiana strzecha i dłońmi o grubych stawach. Przyrodnie siostrzyczki kochały ją czule, może

właśnie dlatego, bardzo też interesowały się jej wejściem w dorosłe życie. Starając się nad sobą zapanować, znalazła w rękawie chusteczkę i wytarła twarz.

– Już w porządku.

– Nie mogę zostawić cię w takim stanie. Może jednak wyjdź ze mną? Kupmy sobie po dobrej kawie.

– To był po prostu duży wstrząs. Nie miałam pojęcia.

– Nie mogliśmy ci raczej zostawić takiej wiadomości na poczcie głosowej.

Czy to możliwe, by jej żal był szczery – z powodu śmierci staruszki, której od miesięcy nie odwiedzała? W dzieciństwie płakała gorzko nad zdechłymi chomikami. Prawdopodobnie z tego samego zasobu gotowych emocji czerpała wyobrażenia o dziecku, jakby to był kociak albo lalka do zabawy. Nie mógł jej przekonać do wyjścia, rozstali się przy drzwiach bloku. W ostatniej chwili uczepliła się go jeszcze, błagając, żeby nie mówił nic matce. Paul nie chciał nawet myśleć, jak zareagowałyby Annelies, gdyby usłyszała całą prawdę o sytuacji córki. Obawiał się angażowania jej w tę sprawę, ale tak samo obawiał się ukrywania przed nią prawdy.

– Nie mów jej jeszcze, proszę, jeszcze nie teraz. Przecież obiecałeś.

Po powrocie z Londynu codzienne zajęcia, które przed wyjazdem zdawały się Paulowi dość satysfakcjonujące – godziny pracy w gabinecie, długie spacery, odbieranie dzieci z przystanku autobusowego po szkole, lekcje języka dla obcojęzycznych studentów na uniwersytecie – w jednym konwulsyjnym ruchu stały się nagle puste. Nosiło go, nie mógł usiedzieć przed komputerem. Elise pracowała nad kompletem zmysłowych, delikatnych krzeseł z czasów Edwarda VII; ustawione na brukowanej podłodze w jej warsztacie, zdawały się bawić na własnym dekadentckim przyjęciu, podzielone na plotkujące grupki, pochylone do siebie nawzajem, podczas gdy przez rozdarcia w starym brudnym purpurowym aksamicie wylewały im się wnętrzności.

– Co się z tobą dzieje? – Popatrzyła na niego ze zmarszczonymi brwiami, odkładając młotek z pazurem, którym wyciągała gwoździe tapicerskie. Na twarzy miała brudne zacieki potu, powietrze było gęste od kurzu, który zbierał się w krzesłach przez sto ostatnich lat. – Co się stało w Londynie? Nie spodobał im się twój pomysł na audycję?

– Nie, to nie to.

Na razie nie mówił nic o spotkaniu z Pią, chociaż wolałby pozbyć się problemu, przerzucając go na inne barki. Kiedy zadzwoniła Annelies, powiedział jej tylko, że Becky rozmawiała z Pią i wygląda na to, że wszystko jest u niej w porządku. I że Pia wciąż mieszka u znajomych.

– To dlaczego nie chce się ze mną zobaczyć? Paul, co ja jej takiego zrobiłam?

Zamierzał w następnym tygodniu znowu odwiedzić Pię w Londynie. Chciał jej powiedzieć, że musi porozmawiać z matką, że on nie jest w stanie dłużej milczeć.

Pojechał do Cardiff odwiedzić Geralda. Chaotycznie pobudowane przedmieścia zdawały się wyblakłe i obnażone w słonecznym blasku: szopy z blachy falistej, tyły nowego osiedla domków, nowy tani hotel z czerwonej cegły. Czasami żałował, że nie mieszkają w mieście, i uważał za błąd, że wybrali życie na wsi. Mieszkanie Geralda znajdowało się na najwyższym piętrze wysokiej wiktoriańskiej kamienicy obok jednego z miejskich parków. Całe gorąco z domu unosiło się na poddasze, a w dodatku dachówki rozgrzewały się na słońcu. Mimo szeroko otwartych okien było duszno. Kiedy Gerald parzył herbatę, Paul stał przy oknie, spoglądając w cienistą, rozłożystą koronę buka, jednego z tych, którymi obsadzona była alejka na skraju parku. Ciężarówka złomiarza przejechała powoli na drugim biegu, a chłopiec stojący między rdzewiejącymi lodówkami a kuchenkami zawołał: „Stare żelazo zbieramy, stare żelazo!”. Paul powiedział, że to ostatni ze starych miejskich okrzyków, dźwięcznych i przenikliwych niczym

głos muezina. Gerald stwierdził, że szukają tylko okazji, jak by tu okpić starsze panie z pieniędzy, ale nie zdołał zepsuć Paulowi nastroju – niecierpliwego podniecenia wyrastającego z bolesnych komplikacji przeszłości. Na wpół świadomie Paul się spodziewał, że za oknem zaraz zobaczy dziewczynę, z którą się spotykał, a która mieszkała niedaleko i często spacerowała po parku. Traktowała literaturę z nabożnym szacunkiem. Wydało mu się, że znowu ją zobaczył – wysoką i poważną, ładną, o wąpiących brązowych oczach. Ale prawdopodobnie sprzedała już swój dom i się wyprowadziła.

Gerald usiadł po turecku, żeby wypić herbatę i zapalić skręta, używając jako blatu książki, którą właśnie czytał, ułożonej na kolanach. Książka była o neoplatonikach z epoki wczesnochrześcijańskiej, o Plotynie i Porfiriuszu. Wyjaśnił Paulowi ideę, o której tam właśnie przeczytał – że w wytworach swojej wyobraźni, w wymyślaniu form ludzki umysł powtarza albo kontynuuje pracę duszy świata wytwarzającej formy natury. Paul od lat rzadko palił trawkę – Elise tego nie lubiła, uważała, że jest potem nudny i chrapie – ale dzisiaj jej potrzebował. Senny skwar i marihuana przywołały wspomnienia lat między pierwszym a drugim małżeństwem, kiedy był nauczycielem w szkole językowej. Gdy przeprowadził się do Paryża, Gerald pojechał za nim. Nawyki snu, jakie się u Paula rozwinęły w tamtych czasach, były, jak twierdziła Elise, „katastrofalne”. W szkole pracował tylko po kilka godzin dziennie, a potem czytał do późnej nocy lub dyskutował w gronie znajomych do trzeciej albo czwartej nad ranem.

Podczas gdy Gerald mówił, Paul zaczął myśleć o ciąży Pii nie po prostu jak o trudności i katastrofie. Uzmysłował sobie, jakie to niesamowite: Pia na początku była maleńką, niewidoczną formą zwiniętą w ciele swojej matki, a teraz jej rozwinięta, dorosła postać nosi w sobie nową załączkową formę, stając się kolejnym ogniwem w procesie multiplikacji form zwiniętych w formach. Jakże inne było w porównaniu z tym życie mężczyzny, poczucie, że forma rozwija się i znajduje zwieńczenie, ostateczne spełnienie biologiczne we własnym ciele, którego nie można podzielić. Rola mężczyzny w tym powtarzającym się w nieskończoność cyklu była aktem wiary, bez względu na stanowczość odkryć nauki. Pewien Francuz powiedział mu raz, że udział mężczyzny w robieniu dzieci jest tylko „taki” – i splunął na chodnik.

Możliwe, że ten ciąg myśli był tylko skutkiem upalenia ziołem.

– Oczy wywracają ci się do góry – powiedziała mu Elise, kiedy wrócił do domu. – Towar, który Gerald teraz pali, jest dla ciebie za mocny. Nie jesteś do niego przyzwyczajony.

*

Pewnego popołudnia, kiedy Elise była z Ruth na targu antyków, a dziewczynki nie wróciły jeszcze ze szkoły, do Paula zaszedł James Willis. Paul przygotowywał sobie właśnie w kuchni lunch – przetrząsając zawartość lodówki w poszukiwaniu resztki pasztetu i czytając z

roztargnieniem „Guardiana”, byle tylko nie wracać jeszcze do komputera – kiedy chłopak zjawił się nagle w drzwiach i stanął przygarbiony na wycieraczce, żeby nie ubrudzić butami podłogi. Wtedy w stodole było zbyt ciemno, żeby Paul mógł mu się przyjrzeć – jego niezgrabnej, przygiętej wysokiej sylwetce, cerze obsypanej trądzikiem, od którego puchły mu wargi, zamglonym oczom, zwisającym ciężko rękoma. James był wysoki i blady, a kiedy się odezwał, zwrócił się do własnych butów. Miał w dolnej wardze ćwiek, zauważył Paul, podobny do tego, który Pia niedawno sobie wyjęła.

James powiedział, że przychodzi z wiadomością od ojca, który chciałby, żeby przycięli osiki rosnące na granicy ich posesji. Okazało się, że na leżącym obok polu Willisowie posiali w tym roku trawę słoniową na biopaliwo. Willis uznał, że przez te drzewa kombajnowi nie uda się zakreślić i dotrzeć na kraniec pola.

– Jeżeli nie macie piły łańcuchowej, to tata powiedział, że wam pożyczę.

– Żartujesz chyba – odparł Paul. – Twój tata zwariował, naprawdę zwariował. Te osiki w niczym nie przeszkadzają. Czy w ogóle im się przyjrzał?

Chłopak wzruszył ramionami.

– Powtarzam tylko, co powiedział.

– Powiedz mu, że zwariował. I niech się nie waży tknąć tych cholernych drzew. Są na mojej ziemi.

– Tata mówi, że nie.

To, że Willis wysłał syna z tą wiadomością, samo w sobie było okrucieństwem; musiał mieć mu za złe związek, choćby tak wąły, z domem wroga. Paul zaprosił chłopaka do środka i wyjął z lodówki po piwie. James zbliżył się niepewnie do stołu, pijąc na stojąco.

– Twój ojciec naprawdę nie ma racji z tymi drzewami, wiesz? Bez względu na to, czy rosną na jego ziemi, czy na mojej. Jest mnóstwo miejsca, żeby kombajn mógł obrócić.

– To duża maszyna.

Paul zaczął wyjaśniać, dlaczego biopaliwa to w ogóle zły pomysł. Zauważył w oczach Jamesa błysk – bez wątpienia błysk rozbawienia głupim gadaniem mieszcucha, tak jakby jego ojca w ogóle interesowało, czy jakaś uprawa jest dobra z etycznego punktu widzenia. Paul powiedział mu, że widział się z Pią. James już o tym wiedział, musiał rozmawiać z nią przez telefon.

– Wiesz coś o tym facecie, Marku? – zapytał Paul. – Co o nim myślisz? Kto to taki?

James dopił piwo i wytarł rękawem usta.

– Powiedziała mi tylko, że z nim jest. Nic więcej.

– Myślisz, że jest bezpieczna? Możemy mu zaufać?

– To nie moja sprawa.

– Nie? Nie przyjaźnicie się?

– To jej sprawa.

– A to drugie? O tym też wiesz?

James zrobił zdumioną minę.

– Nie spodziewałem się, że powie panu o tym tak szybko.

– Nie trzeba było nic mówić. Sprawa jasna jak słońce.

– Aha. Nie pomyślałem o tym.

Nic dziwnego, że Pia wybrała mężczyznę zamiast tego chłopaka, który z trudem znosił ciężar pełnej cierpienia młodości, rumienił się, w drodze do wyjścia potykał o własne nogi, wepchnął rękę głęboko w kieszenie i zapomniawszy nawet podziękować Paulowi za piwo. Prawdopodobnie wyobrażała sobie, że oddała problemy własnej młodości w ręce kogoś, kto sobie z nią poradzi w każdej sytuacji. Młodzi Willisowie zawsze byli jacyś dziwni, nie pasowali do reszty dzieciaków ze wsi. Wyrobili sobie kwękający amerykański akcent i trzymali się razem, szalejąc na quadach, które kupił im ojciec. Najstarszy skasował swój pierwszy samochód, jeszcze zanim opuścił rodzinny dom – wyrzucił go pijaku w drzewo. James przynajmniej, w przeciwieństwie do braci, nie był szpanerem.

Paul powiedział o Willisach i pile łańcuchowej bratu Ruth; kiedy razem z Geraldem wstąpili pewnego wieczoru na kufel piwa do pubu we wsi, Alun był akurat przy barze. Roześmiał się i powiedział, że Willis to świr, ale jeżeli drzewa są na jego ziemi, to Paul niewiele może na to poradzić, zresztą przycięcie gałęzi nie wyrządzi im krzywdy. Alun był przyjazny, ale Paul zawsze czuł, że trzyma się od niego trochę na dystans, może z powodu tego, co opowiadała mu siostra, a może po prostu wyobrażał sobie Paula jako aroganckiego Anglika, który uważa, że pozjadał wszystkie rozumy. W sporze z Willisem nie chciał jakoś stanąć po jego stronie.

Alun był niski, barczysty i przystojny, na wzgórzach wypasał stado owiec czarnych jak cukierki lukrecjowe, a krowy na lepszych polach z ziemią brunatną. Mieli też z żoną sklepik, gdzie sprzedawali owoce z własnych sadów. Mimo że Paul i Ruth nie dogadywali się najlepiej, Paul lubił jej brata za cichy spokój i uczciwość. Odkąd się tu wprowadzili, utożsamiał go z tutejszą ziemią i krajobrazem, co było prawdopodobnie romantyczne. W każdym razie Gerald uważał, że romantyzuje. Gerald też wychował się na farmie, na wrzosowiskach Yorkshire Północnego. Z ulgą opuścił rodzinne gospodarstwo i później nie miał z rolnictwem nic wspólnego, chociaż ku zaskoczeniu Paula umiał swobodnie rozmawiać z Alunem, czego Paul nie potrafił – głównie o pieniądzach... o pieniądzach i maszynach, o niesamowitych trudnościach, jakie mają rolnicy na wzgórzach, o niekończących się kłóskach, które zdawały się wyznaczać rytm ich życia. Teraz obawiano się suszy.

W następnym tygodniu Paul musiał pojechać do Londynu na nagranie pogadanki, którą napisał dla Programu 3. Późnym popołudniem, po zakończeniu nagrania, wybrał się do Pii. Po drodze zadzwonił do niej, ale nie odebrała. Kiedy przycisnął guzik domofonu przy niegościnniej bramie, z ulgą usłyszał trzask jej głosu, podejrzliwego i niepewnego.

– Pia? Tu tata.

– Cholera, tato. Nie jestem gotowa. To zły moment.

Za jego plecami ryczały pędzące samochody. Całe to miejsce wyglądało tak, jak wyobrażał sobie piekło: niepohamowany, niekończący się natłok pojazdów sunących ku celom, które razem wzięte były absurdalne, każdy powodowany własnym, zatomizowanym, odrębnym przymusem, połączony z innymi w tym brudnym nurcie zatruwającym powietrze spalinami i hałasem.

– Ale już tu jestem. Wpuść mnie.

Po chwili ciszy powiedziała z rezygnacją:

– Zejdę po ciebie.

Kiedy się zjawiała, miała na sobie ten sam czarny kardigan co poprzednio, a pod nim różową koszulę nocną i kapcie. Była opuchnięta na twarzy, nieuczesana. Zgadł, że właśnie wstała z łóżka. Pod koszulą nocną sterczał wydęty brzuch.

– Zapomniałam, że byliśmy na dzisiaj umówieni.

Gdy szedł za nią do mieszkania, coś w atmosferze budynku wprowadziło go w radosny nastrój, mimo że chciał przekonać Pię, żeby się stąd wyprowadziła. Był przygotowany do następnego spotkania z Markiem, zamierzał lepiej go wysondować, a kiedy okazało się, że w mieszkaniu nie ma nikogo prócz Pii, był prawie rozczarowany. Powiedziała, że wyszli.

– Wyszli? Oni?

– Marek i Anna.

Telewizor był, oczywiście, włączony. Mieszkanie wyglądało trochę lepiej niż ostatnio. Dodatkowe posłanie leżało na podłodze, a żaluzje były uniesione do połowy. Śmierdziało dymem z marihuany, ale okna były otwarte. Może Pia wcale nie spała, tylko sprzątała: w kuchni w misce ze świeżą wodą i płynem leżał stos naczyń, a w czasie gdy czekała, aż zagotuje się woda na herbatę, opłukała kilka talerzy i odstawiła je na suszarkę. Paul zapytał ją o ciążę, o wizytę w szpitalu. Znowu zrobiła taką samą niewyraźną minę jak poprzednio. Lekarze od USG uznali, że jest w dwudziestym ósmym tygodniu albo jakoś tak. Wszystko było w porządku.

– Widzisz. Mówiłam ci, że za późno na usunięcie.

– Zamierzasz dziecko zatrzymać? Czy oddać je do adopcji?

– Nie wiem. Zobaczymy. Jeszcze nie postanowiłam, co zrobię. – Powiedziała to z taką

nonszalancją, jakby chodziło o wybór przedmiotów na studiach.

– Czy dobrze się odżywasz? Nie powinnaś brać jakichś witamin?

– Anna o to dba.

– Dużo się w tym mieszkaniu pali. Na pewno wiesz, jak źle to wpływa na rozwój płodu.

– Och, tato.

– Co?

– Ty na okrągło przy mnie paliłeś, kiedy byłam dzieckiem. Tyle razy prosiłam cię i błagałam, żebyś przestał.

– Tak? Ale to nie to samo. Zresztą to, że byłem idiotą, nie znaczy, że masz powielać moje błędy.

Pia ubrała się w drugim pokoju, podczas gdy Paul popijał herbatę. Wróciła w nowej elastycznej koszulce, którą, jak powiedziała, kupił jej Marek; szarej z ogromnymi żółtymi kwiatami, opinającej ciasno brzuch, podkreślając go zgodnie z obecną modą dla ciężarnych. Potem usiadła obok niego na kanapie i zręcznymi, wyćwiczonymi ruchami, ze wzrokiem utkwionym w małym ręcznym lusterku, zaczęła nakładać na twarz zaskakujące ilości kosmetyków: puder na niedoskonałości cery, niebieskie kreski wokół oczu, niebieski tusz na rzęsy, cienie na powieki, jasną szminkę na wargi.

– Co? – zapytała z niepokojem, kiedy skończyła i schowała buteleczki i tubki do zapinanej na suwak kosmetyczki. – Za mocny ten makijaż?

Maska urody wymalowana na twarzy zdawała się do niej nie przywierać, jakby Pia nie mogła się w ogóle ruszyć, żeby jej nie strząsnąć i się nie obnażyć. Kiedy wstała, żeby wyszczotkować włosy, osłupiał, jakby zobaczył w pokoju nową osobę, która znalazła się między nim a córką. Wyobraził sobie, jak spędza kolejne dni – śpi do późna, trochę ogarnia mieszkanie, ubiera się i maluje, czekając, aż kochanek wróci do domu. Zapytał, czy nie tęskni za uniwersytetem. Wzdrygnęła się, jakby przypomniawszy jej o innym życiu.

– Boże, skąd. Byłam tam taka nieszczęśliwa.

– Potem już tak nie będzie – powiedział. – Przy dziecku nie będziesz mogła wstawać o trzeciej po południu.

– Jak zwykle nie wierzysz, że mogę być w czymś dobra.

Próbował wytłumaczyć, że nie o to mu chodziło: że po prostu nie chciał, by dziecko podcięło jej skrzydła i sprowadziło zbyt szybko na ziemię.

– No i muszę powiedzieć coś twojej matce. Jak sobie pewnie wyobrażasz, odchodzi od zmysłów, zamartwiając się o ciebie.

– Powiedz jej, że ze mną rozmawiałeś i że wszystko jest w porządku. Powiedz, że wkrótce się z

nią zobaczę.

– Dlaczego nie chcesz się z nią spotkać? Tylko żeby ją uspokoić.

– Ale to by jej wcale nie uspokoiło, prawda? Gdyby dowiedziała się, co jest grane, niepokoiłaby się jeszcze bardziej. Znasz ją.

Paul czuł się podle, dotrzymując jej tajemnicy, tak jakby tanimi chwytami próbował odnieść małoduszne zwycięstwo nad Annelies, rywalizując z nią o zaufanie córki, podczas gdy – jeśli wziąć pod uwagę przeszłość – zupełnie sobie na nie nie zasłużył. Opór Pii wobec matki był dla niego zaskoczeniem.

– Twoja matka rozumie, że jesteś dorosła. Masz prawo robić ze swoim życiem, co chcesz.

Rozczesując szczotką włosy, Pia spojrzała na niego, odwracając wzrok od lusterka.

– Tego właśnie chcę. I spotkam się z nią, ale później.

*

Gdy tylko Marek i Anna weszli do mieszkania, Paul przekonał się, że Anna ma w sobie nie mniej energii niż brat. Oboje mieli szybkie, pełne werwy ruchy i od razu w mieszkaniu zrobiło się tłoczno. Paul rozpoznał siłę ich osobowości, mimo że nie był pewien, czy ich polubi, i nie rozumiał jeszcze, co łączyło ich z jego córką ani czy jest z nimi bezpieczna. Marek powitał Pię tym samym gestem co ostatnio, czułym pociągnięciem za włosy, a Pia popadła w jego obecności w stan oszołomionej uległości. Paul dostrzegł, że w tej kwiecistej koszuli, z umalowaną twarzą, blond włosami i wiotką figurą, wystraszona ciążą, może być atrakcyjna.

Anna, szczupła, w obcisłych dżinsach i białej koszulce z krótkimi rękawami, była pewnie niewiele starsza od Pii, ale wszystko w niej zdawało się skończone i zahartowane. Jej proste, równo obcięte włosy, ufarbowane na kasztanowy kolor z czerwonym połyskiem, sięgały do ramion. Twarz miała pociągłą, ładną, chłopięcą, o cienkiej, lekko sinej skórze pod oczami, z ciemnym pieprzykiem na policzku. Kiedy ich sobie przedstawiono, Paul pomyślał, że może zorientowałyby się po samym dotknięciu jej ręki, że nie jest Brytyjką; pod delikatną skórą wyczuł kości, jakby lżejsze – stanowiły delikatniejszy mechanizm wprawiający ciało w ruch. Paznokcie miała pomalowane na czarno, a palce zażółcone od nikotyny. Zaczęła z miejsca sztorcować Pię. Czy odpowiednio się odżywia? Powinna jeść zarówno śniadanie, jak i lunch.

– O której wstałaś? Nie śpij za dużo. Potrzebujesz ruchu.

Pia broniła się słabo, w gruncie rzeczy zadowolona z okazywanego zainteresowania.

– Mamy spotkanie rodzinne, co? – Marek przyniósł z lodówki butelkę przezroczystego alkoholu i trzy małe kieliszki. – Nowej rodziny. Dobrze, że się spotykamy.

– Niezła rodzina – powiedziała Anna. – Bez własnego domu.

– Anna ma nas czasem dość – powiedział jej brat pobłaźliwie. – Robimy w jej mieszkaniu

bałagan.

– Nie dziwię się – przyznał Paul. – To małe mieszkanko.

– Niedługo, niedługo będziemy mieli większe. Zejdziemy ci z głowy, Anno, i wtedy za nami zatęsknisz.

Pia powiedziała, że wróci do pracy w kawiarni i dorzuci się trochę do budżetu. Potrzeba więcej pieniędzy niż z kawiarni, przekomarzał się z nią czule Marek, znacznie więcej. Śliwowica, której Pia nie piła, była smakowicie zimna, dając orzeźwienie w tym gorącym pokoju, nagrzewanym przez nisko stojące słońce za oknami. Paul przyjechał tu, żeby namówić Pię do powrotu do domu, przynajmniej na jakiś czas, żeby przemyślała, co chce zrobić, ale odnosił wrażenie, że jej tutejsze życie coraz bardziej go wciąga, mimo że nie uzyskał żadnych wyjaśnień. Zdawało się, że nikt nie uważał, by cokolwiek wymagało wyjaśnienia. Paul nie miał pojęcia, czy możliwości omawiane z entuzjazmem przez Marka i Annę są realistyczne. Powiedzieli, że szukają lokalu na sklep, chociaż zdawało się, że rozmawiali również z właścicielami sklepów, proponując dostawy towarów. Marek poprosił Paula o wyjaśnienie umowy najmu, ale on nie potrafił tego zrobić, bo nie znał szczegółów. Czy ci dwoje rzeczywiście zarobią tyle pieniędzy i zaopiekują się Pią? Oboje dobrze mówili po angielsku, ale czasami przechodzili na polski i wtedy Paul patrzył to na jedno, to na drugie, jakby oglądał film bez napisów, który jednak mógłby zrozumieć, gdyby się dostatecznie skoncentrował. Co pomyślałaby Annelies, gdyby się dowiedziała, że on daje się tak uwodzić. Albo Elise? Marek kilkakrotnie dolewał mu śliwowicy.

Anna powiedziała, że chce rozwinąć własny biznes, sklep z biżuterią robioną przez znajomych: „bardzo oryginalną, dobrej jakości”. Uniosła włosy i pokazała Paulowi srebrne kolczyki, zygzakowate błyskawice z wprawionymi w nie maleńkimi kamieniami, jakie można kupić na każdym stoisku targowym. Paul zaczął się z obawą zastanawiać, czy nie wyobrażają sobie, że jest bogaty, licząc na to, że pomoże im w projektach. Nie mógł przecież wykluczyć, że Marek jest żonaty albo ma w Polsce inne kobiety. Wcześniej zadawał sobie nawet pytanie, czy Anna naprawdę jest jego siostrą, ale łączyło ich dziwne podobieństwo – nieoczywiste, ale niewątpliwe, gdy już się je zauważyło. Ciemne oczy mieli tak samo osadzone, nadawały im ten sam wyraz skupionej inteligencji.

Kiedy ich zapytał, odpowiedzieli, że pochodzą z Łodzi, ale nie zdawali się zainteresowani rozmową o swojej ojczyźnie. Paul był w Polsce dwukrotnie, dawno temu, lecz większość swojej wiedzy na temat kraju czerpał z poezji. Ci dwoje nie chcieliby, żeby wywlekał te wszystkie stare skojarzenia, nie chcieliby słuchać o tym, że kiedyś poszedł do szkoły ze znaczkiem Solidarności. Byli za młodzi, żeby pamiętać życie w tamtej dawnej Polsce, za żelazną kurtyną, a on nie wiedział zbyt wiele o życiu w tej nowej. Na razie byli zresztą londyńczykami, zaabsorbowani tym faktem,

bardziej zadomowieni w tej metropolii niż on. Gdy w końcu przypomniał sobie o pociągu i wyszedł, zdołał wyciągnąć Pię za drzwi, na korytarz. Pewnie pomyślała, że jest pijany.

– Musisz mi coś obiecać – powiedział natarczywym szeptem. – Jeżeli poproszą, żebyś zrobiła coś, na co nie masz ochoty, natychmiast do mnie zadzwonisz, dobrze?

Zobaczył, jak jej oczy rozszerzają się pod umalowanymi na niebiesko powiekami.

– Nie wiem, o co ci chodzi. Masz na myśli narkotyki?

– Niekoniecznie. Nie musisz robić niczego, czego nie chcesz.

Sam nie był do końca pewien, czego właściwie się obawia, i wstydził się trochę tego, skąd takie wyobrażenia mu się wzięły. Czyżby jedyny powód był taki, że mężczyzna, którego Pia wybrała, jest obcokrajowcem?

Strząsnęła jego dłoń z ramienia i zawróciła do drzwi.

– Mówiłam ci. Tego właśnie chcę.

VI

Znał na wylot przyzwyczajenia Elise związane z przygotowywaniem się do snu i wszystkie rekwizyty: ziewnięcia, płyn do demakijażu, szklankę wody, z której rzadko upijała choćby łyk, poduszkę, którą lubiła wsuwać sobie pod policzek, budzik nastawiony nieuchronnie na następny ranek. Jedynym nowym elementem były okulary, których zaczęła potrzebować do czytania. Widząc je, doznawał mieszanych uczuć. Z jednej strony, obawy przed nadejściem wieku średniego, w który wkroczyła trochę wcześniej od niego. Z drugiej strony, nagłej tkliwości, gdy myślał o żonie jako jednej z postaci ze środkowego okresu twórczości Bergmana, kobiet starających się zapanować nad samymi sobą, swoją przeszłością i seksualnością. Czy to właśnie robiła Elise? Trzymała przy łóżku stosik powieści współczesnych, do których rzadko zaglądał; wydawały mu się dosyć jednorodne, ludzie nazywają je „literaturą kobiecą”. Kłopot we wspólnym mieszkaniu polegał na tym, że brało się udział w jakiejś walce o uznanie, tak pokrętnej, że nie można było sobie pozwolić na spojrzenie na cokolwiek z punktu widzenia tej drugiej osoby.

Lekturę kończyła zwykle ze ściszym westchnieniem. Uśmiechała się przepraszająco, ale wydawała pomruk zmysłowej uległości, gdy zapadała w sen, pozostawiając go samego na brzegu niczym statek, który utknął na mieliźnie. Teraz w nocy było za gorąco, by mógł się do Elise przytulić. Jej piersi, gdy przyłożył do nich dłoń, zdawały się go parzyć. Z pomrukiem protestu odepchnęła go, nawet się nie obudziwszy. Skulony na drugim krańcu łóżka, odwrócony plecami do niej, próbował zasnąć, obchodząc w myślach pokoje domu, gdzie spędził dzieciństwo, przypominając sobie ciemne kąty, które kiedyś zdawały się banalnie znajome, a teraz były najbardziej tajemnicze. Nikt inny nie mógł ich już pamiętać. Tworzył więc inwentarz zawartości szuflad i szafek: spinki do włosów, gumki i kurz, kruszące się kostki do kąpieli, książeczki wypełnione do połowy znaczkami programu lojalnościowego Green Shield. Szpilki i igły były wbite w lśniący papierek w składanym na pół kartoniku w kształcie kosza z kwiatami. Stara brzytwa z kościaną rączką wisiała całymi latami w łazience, mimo że ojciec już dawno przerzucił się na maszynkę elektryczną. Sam dom już nie istniał – Paul próbował go znaleźć z pomocą Google Earth i chociaż większość ulicy wciąż stała, zobaczył wyrwę w miejscu, gdzie wyburzono cztery albo pięć z tamtych tanich domów, byle jak zbudowanych z cegieł gorszej jakości sześćdziesiąt lat temu, aby zlikwidować problem slumsów w centrum Birmingham. Nienawidził tamtego domu, ale odkrycie, że już go nie ma, okazało się przykre. Poczul, jakby z czegoś go ograbiono.

Pewnej nocy obudził się z koszmaru o umierającej w szpitalu matce – samej, przypiętej do metalowego łóżka i wstrząsanej konwulsjami, podłączonej do licznych rurek i monitorów. Jego głośny jęk przebudził Elise.

– Na pewno tak by się to nie odbyło – zapewniła, obejmując go i tuląc. – W szpitalach umieją zająć się chorymi, wiedzą, jak uśmierzyć ból morfiną. Kiedy tata umierał, pielęgniarki potrafiły odpowiednio go podeprzeć, zwilżały mu wargi, trzymały go za rękę i mówiły do niego. Tam naprawdę znają się na takich sprawach.

Nie uwierzył, ale był jej wdzięczny, łaknął pocieszenia, które wkrótce zmieniło się w seks, czuły i znajomy. W jego trakcie, bez zapowiedzi, zjawily się u Paula obrazy młodej Polki; zachowanie pełne wyższości, harde, pieprzyk na policzku, oczy czarne jak jagody, młode piersi pod obcisłą koszulką. Wyobraził sobie, jak dziewczyna daje się ponieść podnieceniu, a z jej gardła wyrrywają się okrzyki w niezrozumiałym języku. Była to ostra, nieco upokarzająca scena, jak gdyby karał ją albo coś jej udowadniał. Nigdy wcześniej, przez cały czas spędzony w obecności rzeczywistej Anny, nie zdawał sobie sprawy, że coś takiego w nim siedzi i ujawni się później. Zawstydział się. Jak stereotypowy facet w średnim wieku fantazjował o koleżance własnej córki, prawdopodobnie niewiele starszej od samej Pii. Próbował w zamian przywołać w wyobraźni dziewczynę z przeszłości, tę, którą, jak mu się zdawało, zobaczył z okna Geralda – ale wymykała mu się, jej rysy były zamglone i niewyraźne.

*

Między kuchnią a korytarzem, w małym pokoiku bez okna, stał telewizor i tam Paul z dziewczynkami oglądali programy przyrodnicze. Sadowili się skuleni na starej kanapie ze złamanym oparciem. Jeżeli Joni nie zaciekawiał program, kładła się na oparciu, przygryzała swój stary kocyk i szurała nogą o ścianę, kopiąc w krawędź plakatu z wystawy Luciana Freuda. Brak zainteresowania młodszej siostry rozpraszał Becky i często, kiedy po długim czasie kończyła jej się cierpliwość, dochodziło między nimi do bójk. Kotłowały się wtedy i szczypały, piszcząc i stękając. Rozdzielając je, Paul czuł bijące od nich ciepło, intensywne i bliskie, jak u szczeniąt w legowisku.

Niektóre z programów niepokoiły go ze względu na swój chłodny apokaliptyczny język. Chciał uchronić córki przed świadomością, że całe piękno świata ginie, że jego najcenniejsze zakątki się zabudowuje, a lasy wycina, że zwierzęta są zatrutowane przez zanieczyszczenia. Dziewczynki zdawały się tym nie przejmować, zachowywały optymizm. Może były znieczulone przez nadmiar podobnych wiadomości, ale może zaszczepiano im w ten sposób straszliwy nihilizm, który przetrwa w nich w stanie uśpienia i da o sobie znać w dorosłym życiu, kiedy zrozumieją, co to rozpacz. Paul pamiętał, jak w szkole uczono go na geografii o piętrach, na

jakich toczy się życie roślinne i zwierzęce w lasach równikowych – jego wyobraźnię owładnęła inspirująca myśl o zwierzętach, które całe życie spędzają w koronach drzew i nie muszą schodzić na ziemię. Nie miał specjalnej ochoty na wyprawę do dżungli, żeby zobaczyć to wszystko na własne oczy, ale świadomość, że takie lasy rzeczywiście istnieją, była pokrzepiająca. Dawała gwarancję, że to rozległe, bujne piękno gdzieś jest.

– Nie martwiłabym się tym – powiedziała Elise. – Wydaje się, że radzą sobie całkiem dobrze. Zresztą czy edukacja nie daje największej nadziei na zmianę? Ich pokolenie powinno wyrosnąć na zawołanych obrońców środowiska. Te programy unikają ponurego tonu, ale przecież muszą przekazywać dzieciom prawdę. Nie chciałbyś chyba, żeby dziewczynki były oszukiwane, że wszystko jest w porządku.

– Obawiam się, że stają się przez to bezradne. Żeby uporać się z wiadomościami, które się im przekazują, potrzebna jest znajomość skomplikowanych uwarunkowań.

– Tak myślisz? Mnie wydaje się to dosyć proste. Całe szczęście, że nie wszystko jest w rękach ludzi, którzy rozumieją skomplikowane uwarunkowania. W przeciwnym razie nikt nigdy niczego by nie dokonał.

*

Gerald często jadał z nimi kolację. Elise nie miała nic przeciwko temu, chyba że w grę wchodziło przyjęcie. Co więcej, otaczała go szczególną troską, gotowała jego ulubione potrawy i upominała go żartobliwie, że o siebie nie dba. Paul powiedział jej o humusie i jajkach po szkocku.

– Czy ty w ogóle u siebie sprzątasz? – zapytała. – Geraldzie, czy chociaż raz wyczyściłeś u siebie klozet?

Dziewczynki chichotały zachwycone. Gerald powiedział, że kupił raz płyn do WC i sika nim co jakiś czas do muszli. Czy to nie wystarczy? Paul był pewien, że przesadza dla żartu, nie pamiętał, żeby w ubikacji było aż tak źle. Gerald podzielił się też z nimi swoją teorią, według której po osiągnięciu pewnej granicy w mieszkaniu nie może już być brudniej. Wprawdzie nie robi się w nim czystiej, ale też nie brudniej.

Elise udała głęboko zbulwersowaną.

– Może pozwolisz, żebym do ciebie wpadła i posprzątała? To zajmie tylko parę godzin. Nie tknę żadnej z twoich drogocennych książek, obiecuję.

Paul stwierdził z zaskoczeniem, że mówiła prawie poważnie. Nie obchodziło jej sprzątanie, ale była zaintrygowana, jak wygląda to tajemnicze mieszkanie Geralda, chciała je zobaczyć. Joni objęła chudymi ramionami kolana Geralda, prosząc:

– Chcemy przyjść, chcemy przyjść do twojego śmierdzącego mieszkania!

Gerald odrzekł, że z radością zaprosi ją na herbatę, a nawet specjalnie kupi ciasto i herbatniki.

– Jeżeli oczywiście nie boisz się pajaków.

– Pajaków? Nie... – Joni się zawahała. – A jak są duże?

– A nietoperzy?

– Nie ma ich! – pisnęła Becky radośnie, ale niepewnie.

– Albo karaluchów?

Przekonał je, że mieszka z całą menażerią zwierząt, chociaż potem wyznał Paulowi i Elise, że karaluchy ma naprawdę. Po kolacji pomógł Elise podlać warzywniak. Był silny jak tur, z łatwością nosił dwie pełne konewki. W młodości z przyczepy traktora rozrzucał w zimie siano albo nożykiem oskrobywał przerośnięte kopyta owiec. Powiedział kiedyś Paulowi, że podczas pracy wymyślał rozwiązania zadań matematycznych. Dla oszczędności Elise zamontowała specjalną beczkę do zbierania wody z kuchennego zlewu i łazienki do powtórnego wykorzystania w ogrodzie. Po kilku wycieczkach z konewkami Gerald pociągnął od beczki do warzywniaka gumową rurę. Elise była zachwycona. Po pracach domowych, kiedy Becky i Joni poszły nakarmić kozy, we troje usiedli na dworze, w ostatnich promieniach słońca sącząc dżin z tonikiem.

– Dlaczego nie masz dziewczyny, Geraldzie? – zapytała Elise.

– Pewnie przez te karaluchy.

– Nie, serio pytam. Chociaż karaluchy rzeczywiście mogą stanowić problem. Co się stało z Katherine? Była fajna.

– No tak, była. – Gerald palił ukradkiem, między jednym machem a drugim trzymając skręta pod leżakiem, żeby dziewczynki nie zauważyły.

– A Martine, ta z Heidelbergu, też była fajna.

– Wróciła do Heidelbergu.

Elise roześmiała się, jakby był nie do wytrzymania, ale także jakby sprawiało jej przyjemność, że nie dawał się wyciągnąć na zwierzenia i bagatelizował sprawę.

– Dlaczego nigdy nie zostaje u nas na noc? – zapytała Paula, kiedy Gerald poszedł na stację. – To okropne, że musi wracać do tego ponurego mieszkania.

– Wcale nie jest ponure. A Gerald je lubi. Poza tym lubi być panem własnego czasu, czytać do późna, parzyć sobie herbatę w środku nocy, jeśli tylko ma ochotę.

– Mógłby to robić również tutaj, nie mielibyśmy nic przeciw temu.

Gerald powiedział kiedyś Paulowi, że wpada w panikę w miejscach, gdzie śpią inni ludzie – od razu wyobraża sobie, jak tamci oddychają, czy coś takiego. To przypuszczalnie jeden z powodów, dla których nie miał nikogo na stałe. Jeżeli mieszka się samotnie za długo, wysięk

związany z rozbijaniem wszystkich form własnego życia, żeby wspólnie z drugą osobą wytworzyć na ich miejsce nowe, bywa zbyt duży. Tamte dziewczyny, Katherine i pozostałe, doznawały wstrząsu, kiedy opuszczał je niewinny entuzjazm, z jakim rzucały się Geraldowi w ramiona. Było coś okrutnego w obojętności, z jaką je traktował, gdy uznał już, że czas się ich pozbyć.

– Dobrze się przy nim pracuje – powiedziała Elise. – Z początku człowiek czuje się dziwnie, bo Gerald nic nie mówi, ale potem się przyzwyczajasz. Kiedyś myślałam, że nie chce ze mną rozmawiać, bo nie mam intelektualnych aspiracji.

*

Paul skłamał, że znowu musi pojechać do Londynu, by spotkać się ze swoim agentem. Skrzywił się mimowolnie, bo tego samego kłamstwa używał, kiedy widywał się z tamtą dziewczyną w Cardiff – Elise jeszcze go nie rozgrzeszyła z kłamstw o dziewczynie z parku – ale przynajmniej teraz robił to nie dla siebie, tylko dla Pii. Nie uprzedziwszy córki, pojechał prosto do jej mieszkania. Przez całą drogę, gdy wyglądał przez okno pociągu na żółknące krajobrazy, i potem w metrze tworzył scenariusze, jak przekona Pię do powrotu do domu. Powinna o siebie dbać, bo w końcu jest w ciąży, powinna odpowiedzialnie pomyśleć o przyszłości, powinna być z rodziną, z ludźmi, którzy ją kochają i troszczą się o nią najbardziej. Może udałoby mu się ją przekonać, żeby od razu spakowała torbę i z nim poszła; wtedy zawiózłby ją do Annelies albo do Tre Rhiw, gdzie tylko by chciała. Myślał o triumfalnym przywróceniu jej na łono rodziny i naprawdę się wzruszył. Przejął się tą misją tak bardzo, że przestał zwracać uwagę na tłok w metrze, na ludzi, których wielojęzyczna paplanina ucichła w jego uszach, gdy kołysali się wszyscy w gorącu, uczepleni uchwytów nad głowami. Ich ciała w obojętnej intymności, twarze pozbawione wyrazu...

Wreszcie dotarł przed blok i zadzwonił przez domofon. Ktoś podniósł słuchawkę, ale gdy Paul się odezwał do mikrofonu, zamiast odpowiedzi usłyszał trzask kończącego połączenia. Kiedy tu jechał, nie wziął pod uwagę ewentualności, że nikogo może nie być w domu albo nikt nie będzie chciał się z nim zobaczyć. Zadzwonił drugi raz – bez skutku. Spróbował dodzwonić się do Pii, lecz jej komórka okazała się wyłączona. Głupio mu się zrobiło, nie był przygotowany na taki rozwój wypadków i teraz czuł się zupełnie zagubiony. Przez godzinę czytał gazetę w podrzędnej kawiarni przy Pentonville Road, a potem znowu zadzwonił na komórkę i do domofonu. Spróbował też przekonać stróża, żeby go wpuścił.

– Jestem pewien, że są w domu. Może domofon nie działa.

Stróż spróbował osobiście.

– Działa. Nikogo nie ma.

Paul spędził resztę dnia w British Library i wrócił pod blok wieczorem, gdy słońce opadło nad widnokrąg, a światło dnia zgęstniało i przygasło. Kiedy zbliżał się do budynku, próbował się zorientować, które mieszkanie należy do Anny. Może to na drugim piętrze, gdzie paliło się światło? Miało w oknach uniesione do połowy, podwinięte pod różnymi kątami żaluzje, ale nie był pewien, czy znajduje się w odpowiednim miejscu w stosunku do wejścia, a także ogrodu, którego suche badyle wystawały znad gzymsu dachu niczym grzywka na tle coraz bardziej granatowego nieba. Kiedy zadzwonił przez domofon, znowu nikt nie odpowiedział. Samochody ryczały za jego plecami, ulica tworzyła szeroką diabelską rzekę w potokach czerwieni i bieli. Przeszedł przez jezdnię, żeby przyjrzeć się oświetlonemu mieszkaniu z większej odległości. Ktoś zdawał się tam krzątać, przechodząc za żaluzjami to w tę, to we w tę, jakby sprzątał albo ubierał się do wyjścia. Mogła to być Pia, ale też mogła to być zupełnie obca osoba. Albo Anna czy jej brat. Mógł to być cień szczupłego młodego mężczyzny.

Paul zapomniał o planie ratowania Pii. Poczł się bezradny. Nie zaznał czegoś takiego od lat, myślał, że tego typu lęki skończyły się wraz z młodością, kiedy to pragnął w czymś uczestniczyć i czuł się wykluczony. Nie chciał wracać na spokojną wieś. A mimo to nic się tutaj nie działo. W czasie gdy obserwował blok, nikt z niego nie wyszedł ani tam nie wszedł.

*

Nie chciał jeszcze wracać do domu. Postanowił pojechać do Annelies. Powie jej wreszcie o Pii. Czas najwyższy. Jeżeli jeszcze nie jadła, może zaprosi ją na kolację do greckiej knajpki na Green Lanes. Jednak okazało się, że Annelies jest w trakcie jakiegoś przyjęcia. Poczł woń potraw, gdy tylko otworzyła frontowe drzwi, a z pokoju jadalnego usłyszał kobiece głosy i śmiech. Kiedy ujrzła go niezapowiedzianego na progu, zareagowała, jakby spodziewała się jakiegoś straszliwego ataku.

– Wszystko w porządku – zapewnił ją. – Nie martw się, wszystko jest dobrze. Chyba są u ciebie goście, więc nie wejdę, tylko zadzwonię do ciebie jutro.

– Masz wiadomości o Pii?

– Nic złego, nic, czym należałoby się martwić.

Zaciągnęła go do saloniku, który był pusty, ale wysprzątanym i przygotowanym na przyjęcie gości. Kwiaty na stole, poduszki w czerwono-białą kratę, dywan w paski i oprawione zdjęcia Pii na gzymsie kominka.

– Jakie wiadomości?

Powiedział jej, że Pia jest w ciąży, że widział to na własne oczy. Powiedział, że zamieszkała z mężczyzną, który jest ojcem dziecka. Nie wiedział czemu, ale mówił tak, jakby nie poznał Marka, i nie wspominał ani o jego narodowości, ani o siostrze.

– Skąd wiesz to wszystko? Kiedy się z nią widziałeś? Dzisiaj?

– Nie dzisiaj. W zeszłym tygodniu. Ale chciała, żebym na razie ci nic nie mówił.

– Od zeszłego tygodnia wiesz, że moja córka jest w ciąży, i mi nie powiedziałeś?

– Obawiałem się, że gdybym złamał obietnicę, znowu byśmy ją stracili. Zerwałaby z nami kontakty.

– Dobra, Paul. To jeszcze nie koniec świata. Nasz lekarz rodzinny zna Pię od lat, wszystko rozumie, możemy od razu załatwić jej zabieg, choćby prywatny, gdyby tak było szybciej. Co to w ogóle za facet? Wiesz, gdzie mieszkają?

W obliczu kryzysu i świadomości, że Paul ma z Pią lepszy kontakt, Annelies poczuła się zmuszona do obrony przed jego postrzeganiem świata, do unieważnienia go. Jej krępe ciało i sztywne niczym druty kręcone włosy, spuszczone głowa i przygarbione w napięciu plecy przywodziły mu na myśl stróżującego psa, psa przywiązanego do swojej wizji.

– Pia chce urodzić. Zresztą mówi, że już za późno na przerwanie ciąży.

– Żartujesz!

Głosy w pokoju obok ucichły. Parę kobiet zajrzało do salonu, pytając Annelies, czy wszystko w porządku, jak gdyby ze strony Paula cokolwiek jej groziło. Annelies oświadczyła, że jej córka jest w ciąży, a Paul nie chce powiedzieć, gdzie ją znaleźć. Paul usiłował przekonać byłą żonę, że więź, jaka łączy ich z Pią, jest zbyt wątła, by ryzykować jej zerwanie, i wyobrażał sobie, że wszystkie te kobiety – kimkolwiek były, koleżankami Annelies z pracy, z kółka dziewiarskiego czy klubu czytelniczego – staną przeciwko niemu.

– Kim jest ten facet? Czego chce od mojej córki?

Paul oświadczył, że Pia i Marek się kochają. Sam nie mógł uwierzyć, że palnął coś takiego. Pogarda Annelies była raniąca i bolesna.

– Myślisz, że to ma jakiegokolwiek znaczenie? Co to za miłość, jeśli Pia nie chce powiedzieć o niej matce? Podaj mi tylko adres, żebym mogła do niej pojechać. Proszę. Błagam.

Jedna z kobiet zasugerowała, że jeśli Pia eksperymentuje z wolnością, może najlepiej to uszanować. Annelies odrzuciła ten pomysł, gestykulując przy tym tak, jakby strzepywała z siebie pajęczyny. Paul nie był pewien, dlaczego tak się uparł, że nie powie, gdzie jest Pia. Może bał się zaangażowania Annelies w tę sytuację. Ze względu na swoją pracę doskonale wiedziała, w jakich warunkach muszą czasem mieszkać imigranci, a mieszkanie samo w sobie nie było złe. Natomiast dostałaby szalu na wieść o myszach, bałaganie, trawce, o tym, że Pia wstaje z łóżka po południu, i o nieprawdopodobnych planach, jakie snuje cała trójka.

Nazajutrz powiedział Elise to samo co Annelies.

– Będziesz musiał podać jej ten adres – stwierdziła Elise.

- Wtedy Pia nie będzie chciała się widywać ani z nią, ani ze mną.
- To jej córka, Paul! Wyobraź sobie, jakbym się czuła, gdyby chodziło o Becky albo Joni. Nigdy, przenigdy bym ci nie wybaczyła, gdybyś coś takiego przede mną ukrywał.
- Ale Pia ma dwadzieścia lat.
- To nie jest żaden powód. Chyba coś knujesz. Domyślałam się, że coś jest nie tak... te ciągle wyjazdy do Londynu były podejrzane. Myślałam, że to jakaś dziewczyna, a teraz okazuje się, że to tylko Pia. Pia w ciąży.

VII

Parę dni później obudził się rano od przenikliwego wycia i warkotu piły. Przez otwarte okno do pokoju wdarł się zapach rozgrzanego ciętego drewna. Paul, narzuciwszy na siebie szlafrok, pognał na dwór, gdzie Willis, w gęstej chmurze spalin i wiórów rozpryskujących się niczym krew, zdążył już przeciąć pół pnia pierwszej osiki. Towarzyszył mu James. Elise w swoim kimonie była już na zewnątrz, dziewczynki wstały od śniadania i przycupnęły zapłakane w drzwiach domu. Elise, wytracona z równowagi, zrozpaczona wydzierała się na Willisa. W twarzy Willisa – przefiltrowanej przez drżący wachlarz liści zamordowanego i na wpół powalonego drzewa – widać było, że po to właśnie wycina osiki: żeby wygonić ich oboje w nocnych strojach z domowych pieleszy i w piękny ranek sprowokować ich do absurdalnych krzyków zza muru, obnażyć ich jako nierobów, podczas gdy ludzie pracy w pocie czoła zarabiają na chleb. Zachowywał się, jakby był egzorcystą i zmusił ich, by wreszcie ukazali się w prawdziwej postaci.

To oburzające, krzyczeli. Osiki nie należą do niego, rosną na terenie Tre Rhiw (było to dyskusyjne, sprawy nie dawało się rozstrzygnąć na podstawie samego aktu własności), nie ma prawa tykać drzew bez ich pozwolenia, a oni nigdy go nie wydadzą. Wytoczą mu proces, wystąpią o zakaz sądowy. Zresztą czemu w ogóle chce je ścinać? Willis wysunął argument, że osiki przeszkadzają mu w użyciu maszyn rolniczych.

– Gówno prawda – skwitował Paul. – To tylko brutalny akt pierdolonego wandalizmu, ot co.

James tymczasem oparł się o piłę i rozbawiony uśmiechał się do trawy i wiórów pod stopami.

– Te drzewa są piękne, nie widzi pan? – pytała rozgorączkowana Elise.

– Drzewa to tylko drzewa – odparł Willis.

Ostatecznie z niechęcią zgodził się pozostawić resztę osik przynajmniej na ten jeden dzień; prawdopodobnie sam nie był pewien, do kogo należą. Kiedy Paul wrócił do domu, odprowadziwszy dzieci na przystanek, Elise w kimonie wciąż siedziała przy kuchennym stole, tuląc w dłoni kubek zimnej kawy. Zaskoczyło go, że płakała – rzadko jej się to zdarzało. Ścisnęła w garści wilgotną chusteczkę.

– Oni są tu u siebie, a my nie – powiedziała. – Bez względu na to, jak długo tu mieszkamy.

– On wcale nie jest u siebie, El. Jest Anglikiem, przyjechał tutaj. Sama mi mówiłaś, że nie jest tutaj lubiany. Inni rolnicy ze wsi nie są tacy jak on, kochają tę ziemię. A on robi błąd nawet z rolniczego punktu widzenia. Drzewa stanowią barierę dla wiatru i korzeniami konsolidują glebę. Wcale nie musi ich ścinać, robi to tylko po to, żeby nam dopiec.

– Ale powód, który za tym stoi, jest realny. Nienawidzi nas. Bo on pracuje na roli, a my kim

jesteśmy? Jesteśmy nikim, tylko się tutaj bawimy. Ziemia, na której on zarabia na życie, jest naszym placem zabaw. I on to wie, i wie, że to czujemy. Nawet jeżeli będziemy tu mieszkać całe życie, nie uda nam się na tę ziemię zasłużyć.

Paul się wściekł na jej fatalizm, bo sam był na niego podatny.

– Nie zamierzam czuć się winny – odparł z naciskiem. – A my niby tutaj nie pracujemy? Kto mówi, że jego praca, która polega głównie na zatruwaniu i niszczeniu dzikiej przyrody, daje mu prawo do wycinania drzew? My, podatnicy, dopłacamy do rolników takich jak on, żeby byli opiekunami środowiska na wsi. Dzwonię do adwokata, żeby załatwił zakaz sądowy.

– Nie rób tego, proszę. Nie pogłębiaj konfliktu. Nie chcę wdawać się z nimi w długoletni zatarg. Posadźmy nowe drzewa. Będą rosły po naszej stronie muru. Ruth mówi, że Willis chce zrobić sobie z nas wrogów.

– Co Ruth ma z tym wspólnego? Zadzwońiłaś do niej, kiedy mnie nie było?

– Jest stąd. Rozumie, jak się tutaj załatwia sprawy. Musimy szanować tutejszych mieszkańców. Nie zapominaj, że nie tylko Willis jest tu Anglikiem.

– Nie podoba mi się, że wprowadzasz Ruth w coś, co dotyczy tylko nas.

Pokłócili się po raz pierwszy od długiego czasu, a spór prawie od razu przerodził się w odwieczne, idiotyczne pretensje o to, kto robi najwięcej w domu, kto pracuje najciężej, komu jest najgorzej. W trakcie kłótni Elise sprzątała ze stołu, gniewnie zeskrobując resztki do wiadra na kompost i wylewając zimną herbatę do zlewu. Nikt dzisiaj rano nie zjadł porządnie śniadania. Paul coraz bardziej się nakręcał, wyładowując nagromadzoną złość. Zeszli na niebezpieczny temat rodziny Elise. Powiedział, że nigdy nie potrafił pojąć, co jej matka robiła całymi dniami oprócz wybierania sobie stroju i gnania służących do pracy.

– Nie bądź śmieszny, nie mieliśmy służących. Tylko kiedy byliśmy w Waszyngtonie.

Stwierdził, że jest coś niezdrowego w tym, jakie znaczenie jej rodzina przywiązuje do kufrów pełnych papierzysk: dzienników i pamiętników, pamiątek po psach i koniach, zdjęć domów, w których mieszkali, domowych nagrań filmowych. Jej siostry miały wielogodzinne nagrania, na których rodzice opowiadają swoje wspomnienia.

– Dla kogo to trzymacie? Kogo to będzie interesować?

– Jestem wstrząśnięta – odparła Elise. – Kiedy powiedziałam ci o tych taśmach, nie śniło mi się, że myślisz o nich w tak okropny sposób.

– Mam gdzieś te taśmy. Ale musisz przyznać, że twoja rodzina ma całkiem ciężki bagaż.

– Nie. To mówi nikczemność, którą w sobie chowasz. Jakaś małostkowa podłość, która pragnie zohydzić to, co jest ważne dla innych ludzi. Czy ta nikczemność wiąże się z twoim pochodzeniem, masz ją po rodzicach? Zazdrościsz mi wspomnień?

– Nie mogę uwierzyć, że użyłaś słowa „pochodzenie”. Za kogo ty się, kurwa, uważasz? Mojego opiekuna społecznego?

– Nie waż się mieszać do tego polityki!

Willis byłby zadowolony, gdyby nas usłyszał, pomyślał Paul. Pewnie właśnie tak wyobrażał sobie intymne życie ludzi takich jak my, zdegenerowanych, bo mają za dużo czasu na myślenie.

*

Elise oświadczyła, że ma robotę, i poszła do warsztatu. Paul stał przez chwilę w maleńkiej, ciasnej sypialni na piętrze. Kołdra wciąż leżała skotłowana na łóżku, tak jak ją zostawił, gdy usłyszał warkot piły. Złość na Elise i gniew wywołany przez Willisa tworzyły bolesną mieszankę. Sypialnia wydawała się dławiąco kobieca. Toaletka z buteleczkami perfum i kosmetykami, muslinowe zasłony w oknach, mosiężne łóżko, pościel w różowe pas ki. Jak to się stało, że uległ temu wszystkiemu? Na dole Elise pewnie kończyła odnawianie kompletu secesyjnych krzeseł. Wycięła tkaninę tak, że pośrodku każdego siedziska była jedna róża, czarna na ciemnoróżowym tle. Ruth znalazła już kupca na cały dwunastoosobowy komplet i ktoś zamówił zdjęcia dla magazynu lifestyle'owego, co byłoby dobrą reklamą. Czasami, przygotowując się do takich zdjęć dla prasy, Elise zmieniała wystrój jednego z pokojów. Malowała ściany na inny kolor – fioletowy, różowy albo zielony – przynosiła ze stodoły meble, które czekały na sprzedaż, i szyła na maszynie nowe zasłony. Brzegi zasłon były tylko poprzypinane szpilkami albo pośpiesznie przyfastrygowane, jakby chodziło o scenografię teatralną, i Elise nie zadawała sobie trudu, żeby malować ściany za szafkami albo kanapą. W takiej scenografii toczyło się ich życie jeszcze przez wiele miesięcy, aż przychodził czas na następną sesję fotograficzną.

Paul wrzucił do torby trochę ubrań i parę książek, ze starego przyzwyczajenia wepchnął do tylnej kieszeni spodni swój paszport, wziął walizeczkę z laptopem i wyszedł z domu frontowymi drzwiami. Zamiast wybrać ścieżkę przez ogród i wzdłuż rzeki, pomaszerował na stację szosą, żeby Elise nie mogła go zobaczyć z okna pracowni. Świeża pustka na niebie po nieobecnej osice była wstrząsająca jak miejsce zbrodni. Smukły powalony pień leżał na brunatnoczerwonej ziemi, nowe jasnomiedziane liście wciąż drżały pełne wigoru; śmierć drzewa jeszcze do nich nie dotarła. Czy powinien był zostać, zadzwonić do adwokata? Ale Elise się temu sprzeciwiała. Wmawiał sobie, że nie ma co przejmować się kilkoma drzewami, skoro wyjątkowa pogoda zapowiada katastrofę. Wszyscy byli lunatykami zmierzającymi we śnie na skraj wielkiej przepaści, jak rozpieszczone ufne dzieci wierzące, że zawsze będą bezpieczne, zawsze szczęśliwe.

*

O dziwo, kiedy siedział w wagonie, ogarnęło go to samo podniecenie co wtedy, gdy dwukrotnie, odkąd był z Elise, wdał się w romans z innymi kobietami. Żona wiedziała tylko o

jednej z nich, tej drugiej – o Walijsce z parku. Paul od trzech lat nie szukał żadnych przygód na boku i teraz też nie zamierzał, ale kołatało mu serce i nie mógł czytać książki. Gdy pociąg włókł się ślamazarnie przez londyńskie przedmieścia, przyglądał się skomplikowanemu gąszczowi budynków i instalacji, jakby miały mu do przekazania wiadomość o wolności. Pomalowane na czarno ściany z kredowobiałymi liczbami i obwieszane girlandami kabli, rozkwitające wierzbowki i omżyny, zamknięta na kłódkę szopa z blachy falistej, drzwi wyrwane z zawiasów... Piękno masywnych kamiennych bloków i zardzewiałej maszynierii wywołało ostrą nostalgię za dawnym światem pracy przemysłowej, do którego należeli jego rodzice.

Miał różnych znajomych, którzy bez problemu przenocowaliby go dzień albo dwa, ale nie chciał się jeszcze z nimi spotykać. Udał się prosto do mieszkania Pii. Powiedział sobie, że wpadnie tam tylko na chwilę, przy okazji. Przez całą drogę towarzyszyło mu przekonanie, że dzisiaj szczęście mu sprzyja, że zostanie ich w domu, mimo że kilka dni temu, kiedy ostatnio rozmawiał z Pią, córka była w pracy. W tle słyszał brzęk porcelany i szum kawiarnianych rozmów. Zadzwoił, by ją uprzedzić, że powiedział Annelies o jej sytuacji.

– Wiem – odrzekła Pia. – Zadzwoiła do mnie. Tak jak się spodziewałam, dostała szału. Z początku próbowała być spokojna, ale potem ją poniosło. Nie szkodzi. Lepiej niech się zacznie przyzwyczajać.

W domofonie odezwała się siostra Marka. Kiedy Paul powiedział, że to on, sprawiała wrażenie, jakby go nie kojarzyła.

– Ojciec Pii.

– Ach, ale Pii nie ma.

– Mogę wejść? Chciałbym z tobą porozmawiać.

Po chwili wahania wpuściła go do budynku i tym razem sam znalazł drogę do mieszkania. Dziewczyna czekała na niego w otwartych drzwiach. Z początku pomyślał, że nie jest tak atrakcyjna, jak ją zapamiętał. Znowu była w dżinsach, a także w koszulce bez rękawów ze znakiem drużyny lekkoatletycznej jakiegoś amerykańskiego uniwersytetu. Jeden ząb na przedzie miała ułamany i przebarwiony, była naprawdę bardzo chuda; znowu zastanawiał się, czy to nie przez narkotyki. W domu zaoferowała mu papierosa, a on zapalił i z przyjemnością wciągnął dym w płuca. Usiadła po turecku, gibka, na brzegu kanapy.

– Przyjechałem do Londynu na kilka dni – rzekł.

– Chcesz tu zostać?

Tak, chciał, chociaż nie zdawał sobie z tego sprawy, póki mu nie zaproponowała. Ale na pewno nie było na niego miejsca, właściwie mieszkanko zdawało się jeszcze ciasniejsze niż ostatnio, bo pod wszystkimi ścianami stały jakieś pudła, które musiały mieć coś wspólnego z

działalnością importową Marka. Polskie napisy były zupełnie niezrozumiałe, więc nie miał pojęcia, co jest w środku. Czy Anna wyobrażała sobie, że podczas gdy ona będzie spać na sofie, Paul wyciągnie się obok niej na podłogę? Przypomniawszy sobie, jak mu się śniła.

– To proste. Mieszkam ze swoim chłopakiem.

Nie miało znaczenia, czy ma chłopaka, to nawet lepiej. Nigdy nie wyobrażał sobie niczego innego.

– Chciałbym zostać. Tylko na parę dni.

– W porządku. Będziesz bliżej Pii.

Anna nie była klasycznie piękna, ale poruszała się lekko i energicznie zarazem i nic w jej ciele nie było toporne, nadgarstki i obojczyki zdawały się delikatne jak z porcelany, pieprzyk na policzku umieszczony tak precyzyjnie jak plama na pysku jednego z tych zwierząt nocnych, lemura albo lori. Wyjaśniła, że nie może dać mu klucza do mieszkania. Klucze wydawały władze miejskie tylko mieszkańcom wymienionym w umowie, nie można było ich dorabiać. Paul będzie więc musiał dzwonić i upewniać się, że w domu jest ktoś, kto go wpuści.

– Obserwuj, jak wchodzimy i wychodzimy. Nie wiadomo, czy złożą donos, że Marek i Pia tu mieszkają. Może zostaniemy wysiedleni, ale co się przejmować? Niedługo będziemy mieli coś lepszego.

Powiedziała, że Marek szuka magazynu pod wynajem, żeby tam składować te pudła. Stróżowi nie podobało się, że je tutaj trzyma. W środku były ciasteczka, piwo Lech i dżemy – Anna powiedziała, że wytargowali „bardzo dobrą cenę”. W czasie gdy czekali, aż ich biznes wystartuje, znów poszła do pracy w kawiarni, razem z Pią, a zastał ją w domu tylko dlatego, że miała wolne popołudnie. Zapytał, czy jej chłopak jest Polakiem. Nie, Australijczykiem, sprzedawał oprogramowanie komputerowe sklepom detalicznym, dużo pracował w Irlandii Północnej.

– Belfast to fajne miasto – powiedziała. – Może się tam przeprowadzę.

Paul sam był taki w młodości – zawsze ciekaw wiadomości z innych krajów, zawsze gotów zacząć wszystko od nowa w innym miejscu. Ale potem zmienił się i zapragnął zapaść korzenie.

Musiał skorzystać z łazienki. Drzwi wciąż nie zostały powieszony na zawiasach. Próbował siusiać jak najciszej. Myjąc ręce, skrzywił się na widok swojego odbicia w lustrze. Jako chłopiec był ładny, musiał oganiać się od zainteresowania pewnych nauczycielek. Teraz utył z dziesięć kilo, skóra na jego twarzy stała się grubsza i ciemniejsza, włosy stopniowo straciły kolor. Kto wie, jak stary wydawał się Annie? A mimo to było faktem, czymś niemal prawidłowym z biologicznego punktu widzenia, że mężczyźni w jego wieku często wiązali się z dziewczynami tak młodymi jak ona.

Po południu wyszedł i włóczył się po ulicach. Wcześniej roił sobie, że z dala od domu z

nowym zapalem skupi się na swoim pisarstwie, ale teraz prawie o nim nie myślał, jakby należało do poprzedniego życia, które zostawił za sobą. Szwendał się w tłumie, a potem bocznymi uliczkami tak długo, aż się zmęczył. Od ulicznego sprzedawcy kupił papierosy z przemytu, potem wstąpił do baru na Upper Street, gdzie mieli stoliki wystawione na chodnik, i przy paru piwach poczytał gazetę. Elise nie odebrała telefonu, kiedy do niej zadzwonił. Zostawił wiadomość na poczcie głosowej, że zatrzymał się u swoich starych znajomych, Stelli i Johna, i wróci do domu za kilka dni. Dzięki przyjaźni ze Stellą miał chody w BBC, zrobił z nią kilka programów. Kłamstwo nie paliło go w język, było raczej banalne i pozbawione smaku, wymówił je bez wysiłku.

VIII

Dni, które spędził w tym mieszkaniu, zmieniły się w tygodnie. Pierwszej nocy, gdy przygotowywał się do snu w ciasnym pokoiku, wydawało się to niemożliwe; myślał, że będzie musiał wynieść się nazajutrz rano. Nigdy nie uda mu się zmrużyć tutaj oka. Pia powiedziała, że czuje się „dziwnie” z takim współlokatorem. Paul słyszał, jak w drugim pokoju rozbierają się jego córka i ten nieznajomy, który mógł być dla niej dobry albo i nie. Otwierali szuflady, objali się o meble, rozmawiali intymnym szeptem, który był tylko ledwie niezrozumiały. Gipsowe ściany stanowiły barierę dosyć umowną, jakby tak naprawdę spali wszyscy wspólnie, rozwiązli i obnażeni pod otwartym niebem. Nigdy nie robiło się ciemno, z ulicy w dole nieustannie docierały światło i hałas. Samochody jeździły bez przerwy, tylko nad ranem ruch robił się trochę mniejszy. W porównaniu z tymi warunkami jego łóżko w Tre Rhiw było niczym nora wykopana głęboko w ziemi.

Przez następne noce przyzwyczał się do hałasu, zaczął wyobrażać sobie, że to fale przyplywu, że przed świtem cały budynek opuszcza przystań i wypływa w morze. Nakrywając głowę kołdrą, czuł zapach spoconego ciała Anny, jej piżmowe perfumy. Myślał, że nigdy nie uda mu się zasnąć, a potem noc w noc na długie godziny pogrążał się w aksamitnej otchłani zapomnienia, budząc się o trzeciej czy czwartej nad ranem od huku ciężarówek i blasku lamp sodowych za oknem, nie do końca pewien, gdzie jest, podniecony i zalekziony. Raz o świcie sąsiedzi obok włączyli nagle głośną muzykę; prawdopodobnie wrócili z imprezy i chcieli się dalej bawić. Marek bez wahania wybiegł z sypialni i zapinając po drodze spodnie, wyszedł z mieszkania. Paul i Pia usłyszeli, jak załomotał pięścią do sąsiednich drzwi, nie zadawszy sobie nawet trudu, żeby nacisnąć dzwonek. Potem były jakieś krzyki, po których zaległa cisza. Sąsiedzi już nigdy więcej nie sprawiali żadnych kłopotów.

Generalnie biorąc, mieszkańcy bloku nie byli tacy źli, twierdziła Pia. Zachowywali się dosyć spokojnie i cicho. Jeden z sąsiadów na górze miał „problemy z psychiką”, jak to określiła. Zwykle był w porządku, póki brał leki, ale dwa razy zostawił odkręcony kran przy zakorkowanym zlewie i woda przeciekła przez strop do ich mieszkania. Kiedy zwracało mu się uwagę, robił się kłótniwy i agresywny. Mieli numer jego opiekuna socjalnego, do którego należało dzwonić w razie nagłych wypadków. Marek powiedział, że nie ma sensu, by takim ludziom pozwalano żyć w normalnych społecznościach i naprzykrzać się innym.

– Jeżeli facet nie chce o siebie zadbać, to dlaczego my mielibyśmy robić to za niego?

Paul nie mógł się z nim zgodzić, tłumacząc, jak okrutny i nieskuteczny był stary system

zamkniętych zakładów psychiatrycznych. Stwierdził, że społeczeństwo ma obowiązek opieki nad słabszymi.

– A widziałeś go? – zapytał Marek. – Wcale nie jest taki słaby.

Rzeczywiście, schizofrenik to był kawał chłopca o szerokich, tłustych barach i miedzianych włosach do pasa. Wydawał się dosyć dobroduszny. Paul spotkał go parę razy na schodach. Wyglądało na to, że rudzielec kupił swoje mieszkanie, kiedy obowiązywało prawo wykupu lokali komunalnych, więc teraz nie można go było stąd wysiedlić. Markowi nie przeszkadzało, że Paul się z nim spiera. Słuchał go z uwagą, z graniczącym z tkliwością szacunkiem; wiązało się to z uczuciami, jakie żywił do niego jako do ojca Pii, jak gdyby ich stosunki i jej cięża wymagały, by okazywał Paulowi szczególne względy i traktował go z pobłażaniem. Otworzył jedno z pudeł i wyciągnął butelkę wódki smakowej z owoców, których nazwy nie umiał przetłumaczyć na angielski. Paul domyślił się na podstawie obrazka na etykiecie, że to jarzębiak. Nalewając, Marek cierpliwie wyjaśniał jeszcze raz, że Paul się myli, nie może być dla ludzi zbyt miękki, bo są niewdzięcznikami i jeżeli system pomocy społecznej jest zbyt hojny, przyciąga tylko całą bandę przestępców i wałkoni gotowych wykorzystać sytuację.

– Ja sam wykorzystam system – powiedział z rozbijającą szczerością. – Jeżeli mi na to pozwolicie. A nie wolno mi na to pozwalać.

Dzięki jego dobroduszności i niespożytej energii w banalnych konstatacjach i poglądach, które mogłyby pochodzić prosto z prasy bulwarowej, nie czuło się fałszu. Mówił o tym, jak trudne będzie życie, kiedy urodzi się dziecko, ale Paul wiedział, że tak naprawdę w to nie wierzy, jego wiara we własne siły była niewzruszona. Wszystko, co Marek mówił, nabierało innego znaczenia dzięki ironii i ciepłemu humorowi. Jego ciekawość zdawała się nienasycona, był składnicą wiadomości, szybko przyswajał to, czego chciał się akurat dowiedzieć czy nauczyć (na przykład ostatnio dowiedział się wszystkiego o umowie najmu i bardzo interesował się rewitalizacją King's Cross).

Dopiero po kilku dniach Paul zwrócił uwagę na to, że w mieszkaniu nie ma żadnych książek z wyjątkiem wyświechtanego słownika i paru poradników kucharskich. Były za to płyty DVD, większość z produkcjami z Hollywood, ale też kilka z polskimi filmami, które wyglądały na thrillery – żadnego Kieślowskiego ani Wajdy. Zawsze czuł zabobonny lęk przed zamknięciem w jakimś pomieszczeniu bez książek, a kiedy go to spotkało, nic nie zauważył. Dawno temu, kiedy jako student przyjechał w lecie do domu, żeby dorobić pracą w browarze, zbudował sobie w pokoju niemalże mur z książek, zaporę przed światem ich pozbawionym. Teraz, kiedy zamieszkał z Pią, literatura była mu obojętna. Wziął ze sobą coś z Tre Rhiw do poczytania w pociągu, ale nawet tej książki nie otworzył. Nie otworzył też torby z laptopem.

Pia wstawiała wcześniej rano, żeby zdążyć do kawiarni. Paul zagrzebywał głowę w poduszki, podczas gdy ona krążyła po zabałaganionym pokoju, szukając rzeczy potrzebnych do pracy. Pomimo ciąży zwinnie chodziła na palcach. Miał świadomość, że codziennie posłusznie robi w kuchni śniadanie, ponieważ Anna nalegała, by je jadła. Marek wychodził zwykle niedługo po Pii. Kiedy za obojgiem zamykały się drzwi, powrót ciszy i spokoju był wywołującym wyrzuty sumienia luksusem, w który Paul się zapadał, goniąc za ogonem snów wyjątkowo wyrazistych i ważnych. Wiedział dokładnie, jaką drogę przebywa światło po podłodze mieszkania, rozszczerzone na paski przez żaluzje, przyzwyczał się do hałasu i gorąca w nagrzewającym się budynku aż do momentu, gdy nie był w stanie ich dłużej ignorować. Czasami, kiedy się ubrał, próbował posprzątać, nie tylko składał pościel, ale też walczył z bałaganem pozostawionym poprzedniego wieczoru w kuchni, zmywając garnki i talerze. Po sprzątaniu jednak mieszkanie mało się różniło od stanu wyjściowego. Nawet przy otwartych na oścież oknach zawsze było gorąco, zawsze też czuć było słodkawy zapach czegoś zepsutego.

Kilkakrotnie odwiedził kawiarnię, w której pracowała Pia, lokal w Islington specjalizujący się w słodkich wypiekach. Pierwszym razem trafił tam przypadkiem, spacerując bez celu po mieście. Zorientował się, gdzie jest, dopiero gdy przez okienną szybę zobaczył Pię w długim białym fartuchu sprzątającą ze stołów. Kiedy wyobrażał sobie, jak obie dziewczyny razem pracują, widział w Pii niezdarną uczennicę pod okiem Anny. Przecież jego córka, która żyła pod kloszem i nigdy nie musiała zarabiać na życie, nie wiedziała, jak poddać się surowej dyscyplinie pracy. Nie poradziła sobie na uniwersytecie, co powinno być tak łatwe. Ale teraz zobaczył, że jest dobra w swojej pracy: samodzielna, opanowana i sprawna. Pewnym krokiem przeszła między stolikami, niosąc ciężką tacę, a potem wróciła, żeby przyjąć zamówienia, czekając z długopisem i notesikiem w dłoniach, i cierpliwie opisywała gościom rodzaje ciastek, które piętrzyły się nad ladą w kilku rzędach: różowe i beżowe bezy, makaroniki, tarty z owocami lub kremem mleczno-jajecznym, trufle czekoladowe oprószone kakao. Kobiety przyglądały się im pożądliwie, odwołując konieczność dokonania wyboru. Paul widział, że są wzruszone wyraźną ciążą Pii. Zwykle nie chodził do tego typu kawiarni – była modna i droga, z masywnymi długimi stołami z olejowanego drewna i kremowymi emaliowanymi żyrandolami na długich kablach. Odwiedzała ją klientela dobrze ubrana i głośna.

Kiedy tak patrzył przez szybę, Pia poczuła na sobie jego wzrok i uniosła głowę. Skupienie na jej twarzy przełamał uśmiech. Zaprosiła Paula do środka, przyniosła kawy i próbowała namówić go na ciastko. Ciastka nie chciał, ale kawa była dobra i nie miał nic przeciwko temu, by poczytać przy niej gazetę ze świadomością, że córka chodzi w tę i we w tę między stołami za jego plecami,

szczypcami nakłada ciastka na talerzyki, inkasuje pieniądze. Kiedy wstąpił tam następnym razem, parzyła kawę w ekspresie Gaggia, wyrzucając stare fusy, ubijając tamperem nową porcję zmielonej kawy i tworząc ozdobne wzorki w pianie na cappuccino. Przyzwyczała się do jego obecności i nie była zmieszana, gdy ją obserwował. Rozpoznał u niej coś, co wcześniej, w jej dzieciństwie, przeoczył – zdolność do wytrwałej, pełnej wdzięku pracy, którą przysłoniły mu własne przekonania.

Anna zachowywała się w kawiarni zupełnie inaczej. Od czasu do czasu zjawiała się wieczorem, żeby pogadać z Markiem o interesach, ale po pierwszym dniu nie widywał jej w mieszkaniu zbyt często. W pracy natomiast bez uśmiechu, sprawnie wykonywała swoje obowiązki, marszcząc wyregulowane brwi. Włosy nosiła zaczesane do tyłu, a pod zawiązanym wokół bioder fartuchem była niepokojąco szczupła. Jej jędrne młode ciało zdawało się samo w sobie prowokacją, formą pogardy. Paul widział, że pociąga klientów, jakby chcieli ją obłaskawić, zmiękczyć, i sama to rozgrywa, podkreślając erotyczne napięcie swoją nieustępliwością. Do niego odnosiła się łagodnie i z sympatią. Jakby byli w zmowie, zaniżała mu rachunki do zapłacenia, przynosiła do zjedzenia ciastka, o które nie prosił i zostawiał na talerzyku.

– Zjedz, dobre – mówiła mu. – Jedz. Za dużo sobie za nie życzą. Widziałam faktury, wiem, co tu jest grane. Weź do domu, zjesz wieczorem.

Zasadniczy stosunek Anny do władzy i autorytetu był podszyty podejrzliwością i kpina, ale z powodu Pii traktowała Paula wyjątkowo. Podobnie jak Marek, traktowała go z niemal rodzicielską troską, jakby wymagał szczególnej opieki. Zadawał sobie pytanie, czy może się za tym kryć coś niecnego, ale nie mógł się niczego takiego doszukać. Wiedzieli, że nie ma pieniędzy. Im dłużej sypiał na ich kanapie, tym wyraźniej musieli zdawać sobie sprawę z tego, że nie ma żadnej władzy. Tak naprawdę ich szczodrość mogła wynikać tylko z zabobonów i romantyzmu. Musieli wierzyć w zbliżający się cud narodzin dziecka i w to, że łączy ich wszystkich w jedną nieprawdopodobną, chwiejną rodzinę.

– Fajnie, że masz ojca przy sobie – mówiła Anna Pii. – To dobrze.

Nie wiedział, co Anna by sobie o nim, przyszłym dziadku, pomyślała, gdyby wiedziała, że wczoraj w nocy o niej śnił. Może zresztą to odgadła. Te sny powstawały gdzieś na obrzeżach świadomości, gdzie fantazjowanie na jawie przechodzi w marzenie senne, więc nie mógł ponosić za nie pełnej odpowiedzialności. W jednym kochał się z nią w pokoju hotelowym, paskudnym jak ten w Travelodge w Birmingham. Anna wyszła właśnie spod prysznic, miała mokre włosy i pościel na łóżku nasiąkła zimną wodą. Położyła się odwrócona do niego plecami, a on przyłożył wargi do jej kręgow opiętych skórą w kolorze kawy z mlekiem, zimnych w dotyku i pokrytych gęsią skórą. Przesunął dłoń po jej żebrach, po płaskim brzuchu, aż dotarł do kościstego łona.

Upalna pogoda we śnie załamała się i spadła ulewa, szyby okienne spływały strugami deszczu, pokój wypełniło dudnienie rozbijających się kropli, szum spływającej rynsztokami wody. Implikacje tego wszystkiego były upokarzająco infantylne. Lecz niezauważenie i wbrew wszelkiej logice sny zaczęły przywiązywać go do rzeczywistej dziewczyny, jak gdyby oznaczały, że ją zna.

*

Marek pożyczył od znajomego brudną i poobijaną białą furgonetkę do rozwożenia pudeł z ciastkami i piwem, żeby można je było sprzedać. Jeszcze przed narodzinami Pii, ponad dwadzieścia lat temu, Paul pracował w Londynie jako kierowca samochodu dostawczego, więc teraz zaoferował swoją pomoc. I tak nie miał nic innego do roboty, a Marek źle się czuł za kierownicą. Paul z przyjemnością zapełnił sobie czas pracą, która była męcząca, ale nie wymagała od niego grzebania we własnym życiu wewnętrznym. Furgonetkę prowadziło się źle, wspomaganie kierownicy nie działało, a na pierwszym biegu silnik miał nierówne obroty, ale zapanował nad tymi niedogodnościami i szybko zaczął się orientować w starych trasach, choć gdzieś wprowadzono ruch jednokierunkowy, a centrum było objęte strefą płatnego wjazdu. Marek wyjaśnił mu, że płatny wjazd to okropne rozwiązanie, które się nie sprawdza. Paula nic to nie obchodziło, nie miał ochoty się spierać.

Dobrze mu się z Markiem pracowało. Często przez długi czas w ogóle nie rozmawiali, a potem Marek w nagłym przypływie energii rzucał absurdalnymi dowcipami. Paul pamiętał, że taki stan jest typowy dla kogoś wykonującego pracę, w którą wpisane jest podróżowanie z miejsca na miejsce, chwilowe wplątanie w szalenie skomplikowane życie sklepikarzy, po czym następuje zerwanie kontaktu. Kiedy zamykał wieczorem oczy, czasami miał wrażenie, że wciąż siedzi za kierownicą i pędzi przed siebie w ciemność. Wszyscy, których spotykali, wydawali się zabawni. Marek uważał się za dobrego parodystę, chociaż Paul mu powiedział, że jego popisy brzmią po prostu polsko. W okolicy było mnóstwo polskich delikatesów, a sprzedawali towar także sklepom orientalnym i bliskowschodnim. Przyzwyczał się do specyficznej atmosfery tych przybytków, lepszych i gorszych, do kwaśnego zapachu, do półek zapełnionych wyblakłymi towarami wyrwanymi ze swojego naturalnego środowiska, do bladych ogórków kiszonych pływających w mętnej wodzie, do ciemnych bochnów żytniego pieczywa, fioletowego światła lamp owadobójczych, do melodii polskich zdań i do metalowych żaluzji opuszczanych na okna i drzwi po zamknięciu sklepu. Niektórzy właściciele mieli kraty na oknach zamknięte przez cały dzień. Podchwycił parę słów po polsku, potrafił się przywitać i pożegnać, powiedzieć „tak” i „nie”, nauczył się niektórych imion.

Marek kupował na lunch kielbasę wiejską i chleb. Jedli w furgonetce przy otwartych na oścież drzwiczkach, pijąc z papierowych kubków coca-colę albo herbatę z prądem – wódki nie było tak

dużo, by mogli się upić, ale w sam raz tyle, by dodała im energii i uniosła ich lekko nad ziemię. Gdyby zatrzymała ich drogówka, chyba nawet nie zapłaciliby mandatu. Zresztą Paul nigdy nie zapytał Marka, czy ma pozwolenie na sprzedaż swoich towarów, więc gdyby nadziali się na patrol, wypity alkohol mógłby się okazać najmniejszym z ich problemów. Czasami Marek prosił, żeby Paul czekał na niego dziesięć minut w samochodzie, podczas gdy sam wpadał do „kolegów”. „To nic – zapewniał. – Kumpelska przysługa, tylko trochę zioła. Żadnych głupot”. Paul miał wrażenie, jakby wrócił do dawno minionych czasów, gdy był beztruskim dwudziestolatkiem, jakby kawał życia między tamtym okresem a teraźniejszością roztopił się niczym bryła lodu. Kiedy wnosił towar do któregoś sklepu i zerknął na własne odbicie w okiennej szybie, był zdumiony, widząc faceta w średnim wieku.

Marek wynajął magazyn przy bocznej uliczce w Kennington, gdzie przechowywał towary o długiej przydatności. Tutaj Paul czuł się prawie tak, jakby znaleźli się gdzieś na wsi albo w przeszłości, wśród murów z czerwonej cegły, pozarastanych ogródków, zabitych deskami pracowni rękodzielników. Spomiędzy cegieł wyrastały różowe kozłki lekarskie. Raz, gdy ładowali towar do samochodu, Marek zapytał Paula o młodsze córki. Paul nie chciał o nich rozmawiać; cokolwiek by powiedział, byłoby kompromitujące, ponieważ nie potrafił wytłumaczyć, czemu jest tutaj, w Londynie, a nie z nimi. Próbował nie przypominać ich sobie zbyt wyraźnie. Wmawiał sobie, że niedługo wróci do domu, że nie ma go krótko i dziewczynki prawie tego nie zauważyły.

– Masz same dziewczynki – powiedział Marek. – A teraz ja zmajstrowałem chłopaka.

– Wiadomo, że to chłopiec?

– Ja wiem. Ja robię chłopców. Mam już jednego syna w Polsce, dziesięciolatka. Fajny dzieciak. Matka próbuje nastawić go przeciwko mnie, ale on się nie daje. Nie widuję go często, niestety, ale co poradzić? Jestem tutaj, wysyłam pieniądze.

– Czy Pia zdaje sobie z tego sprawę?

– Nie przeszkadza jej to, jest w porządku. Ta kobieta w Polsce mnie nienawidzi. Nie wzięliśmy nawet ślubu, była wtedy żoną innego. Wszystko to był wielki błąd. Oprócz dzieciaka. Chłopak jest super.

Wyciągnął z portfela zdjęcie. Chudy chłopczyk w szortach na jakimś przyrządzie do wspinaczki uśmiechał się przez ramię do obiektywu. Miał jasną karnację, ale czarne oczy i okrągłą czaszkę ojca, ładną i foremną jak orzech laskowy.

Na koniec pierwszego dnia pracy Marek się uparł, żeby Paulowi zapłacić, wpychając mu do kieszeni zwinięte banknoty. Paul zrozumiał, że musi je przyjąć, że jest to dla Marka punkt honoru, chociaż próbował wyjaśnić, że się tylko odwdzięczył za spanie na ich sofie. Tak się

składało, że właściwie nie potrzebował w tej chwili pieniędzy. Kiedy skorzystał z bankomatu, spodziewając się debetu, odkrył, że ma na koncie kilka tysięcy funtów. Mogło to oznaczać tylko jedno: pieniądze z oszczędności matki przeszły przez urząd spadkowy i zostały przelane na jego rachunek. Dwa tysiące ze spadku zamierzał dać Pii, żeby pomóc w opiece nad dzieckiem, ale jeszcze się jej z tego nie zwierzył. Starał się wydawać to, co Marek mu płacił, na zakupy spożywcze do mieszkania. Po zsumowaniu godzin pracy wyliczył, że wożąc towar, zarabia więcej niż pisaniem.

*

Odwiedził przyjaciół, Stellę i Johna, w Tufnell Park. Przy drzwiach musiał się siłować z psem, wysokim, chorowitym rasowcem, całym w nerwach i jedwabistych lokach, który skakał na gości, witając ich z ekstatyczną radością.

– Jest zupełnie bezwstydną – żaliła się Stella, ciągnąc sukę za obrozę. – Do każdego się łąsi. Wchodź.

Psie pazury zastukały na płytkach w przestronnej sieni, w której panował elegancki nieład, podwojony w ogromnym lustrze w popękanej złoczonej ramie. Wypchana głowa jelenia służyła za przycisk do papieru na stosie numerów „TLS”. Paul odniósł wrażenie, że w pocałunku, który Stella złożyła mu na policzku, jest cień przygany: bez wątplenia rozmawiała z Elise i doszła do wniosku, że wrócił do starych sztuczek. Z jakiegoś powodu wzbraniał się przed zapewnieniem, że to nieprawda. Stella była drobna i bezpośrednia, miała długie kolczyki i fryzurę na chłopczycę, na uniwersytecie zrobiła dyplom filologii klasycznej. Ona i John byli przyjaciółmi Paula, a nie jego żony, choć Elise mówiła, że Stella jest podobna do dziewczyny, która była przewodniczącą samorządu w jej szkole.

Paul spędził wieczór w gabinecie Stelli, w tym samym fotelu co zwykle, popijając dwudziestopięcioletnią whisky Talisker z barku Johna. John, wspólnik w kancelarii prawniczej, miał spotkanie z klientami. Pies uspokoił się i pełen nadziei legł na dywaniku. Fałdy skóry marszczyły mu się na łbie i drgały, gdy heroicznie walczył z sennością, starając się nie zamykać oczu.

– Elise jest bliska załamania – oznajmiła Stella z wyrzutem. – Nie ma pojęcia, co się z tobą dzieje. Powiedziałaś jej, że zatrzymałeś się tutaj. Czuję się okropnie, kiedy zadzwoniła, a ja nie wiedziałam, o czym mówi. Co jest grane, Paul? Znowu zachowujesz się jak skończony dupek?

– To nie tak, jak myślisz – odparł mgliście.

– Nie wiem, co mam myśleć.

– Opiekuję się Pią.

– Elise mówiła mi o jej ciąży. Z nią teraz mieszkasz? W tak młodym wieku mieć dziecko...

Biedactwo. Masz pojęcie, jaka to katastrofa? Dziewczyna będzie sobie rwać włosy z głowy.

Paul powiedział, że już za późno na usunięcie.

– To kim jest ten facet? Ufasz mu?

Na ścianach gabinetu wisiły autentyczne drzeworyty Erica Raviliousa, na stoliku stała makietka rzeźby Barbary Hep worth, a na półkach pierwsze wydania Hughesa i Larkina. Paul znał ten pokój dobrze, czuł się w nim swojsko, ale jego ubranie wciąż było nasiąknięte zapachem kabiny samochodowej – kiełbasy czosnkowej, benzyny i rozgrzanej gumy – a ruch uliczny nadal zdawał się krążyć mu we krwi nierównym, pełnym gwałtownych zatrzymań i przyśpieszeń rytmem. Wdał się ze Stellą w spór o wykształceniu w ogóle i o edukacji Pii w szczególności. Był zaskoczony wybuchem własnej, tłumionej od dawna wojowniczości.

– To wszystko bujda, liberalna fikcja oświecenia. Edukacja to system kastowy, ciasna furтка ustawiona po to, by przetwarzać dzieci. Żeby mogły przez nią przejść, trzeba je połamać, a potem złożyć na nowo. Rodzice z klasy średniej fetyszyzują jej wartość, bo sami zostali poddani próbie i złamani, więc teraz przekazują traumę dzieciom.

– Co ty za bzdury pleciesz – odparła Stella. – Kłopot w tym, że dla Pii stawką jest tu wszystko. To rzeczywisty problem, a nie tylko temat monologów, którymi wyprowadzasz z równowagi gości na bankietach i proszonych kolacjach.

W końcu, mimo że wciąż się spirali, Paul się odprężył, poczuł się znowu dobrze, zapomniał o nowej fazie swojego życia. Pomyślał o Stelli z czułością. Siedziała teraz naprzeciwko niego wyprostowana, jej kolczyki kołysały się i drżały z emfazą, a na jej kolanach spoczywał łeb potulnego psa. W dawno minionych czasach w Greenham to właśnie ona przedarła się za ogrodzenie i opryskała silosy sprayem. Miała honor i sumienie. Pod koniec wieczoru przekonała go, żeby zadzwonił do Tre Rhiw. Taktownie pozostawiła go samego przy telefonie i poszła zaparzyć kawę. Spodziewał się, że natknie się tylko na automatyczną sekretarkę. Zaskoczyło go, gdy usłyszał żywy głos Elise, niepewny, wręcz drżący.

– Halo?

– Elise, to ja.

Jego słowa zdawały się wpadać w nocną ciszę i pustkę pogrążonego w mroku domu. Nie oglądała telewizji, kiedy zadzwonił – usłyszałby to w tle. Zaskoczyło go, że nie śpi mimo tak późnej pory.

– Gdzie jesteś?

– U Stelli.

– Nie, nieprawda. Wiem, że cię tam nie ma, dzwoniłam do niej.

– Dzisiaj naprawdę tu jestem. Dzwonię z jej telefonu. Możesz później skorzystać z usługi

oddzwonienia, jeżeli chcesz.

Wyjaśnił, że mieszka z Pią, że w komórce siadła mu bateria, a zapomniał wziąć z domu ładowarkę. Wiedział, że Elise się spodziewa czegoś innego, czegoś więcej. Powinna zbierać przeciwko niemu siły, ukarać go, a tymczasem jej głos w słuchawce był niepokojąco intymny, jak gdyby wziął ją z zaskoczenia.

– Mógłbyś przynajmniej porozmawiać z dziewczynkami.

– Wiem. Przepraszam. Zadzwonię do nich.

Czekał, aż zapyta go, kiedy wróci do domu.

– Dzieje się u nas coś niedobrego, Paul. Myślę, że Gerald jest chory.

– Jak to chory?

Powiedziała, że martwi się, że Gerald przechodzi jakiś rodzaj załamania.

– Może to nic, po prostu wydaje mi się dziwny, dziwnie się zachowuje. Więc pomyślałam, że może powinieneś wrócić.

– Co masz na myśli, mówiąc „dziwnie”? Wydawało mi się, że według ciebie zawsze jest dziwny.

Nastąpiła cisza. Myślał, że Elise szuka właściwych słów na opisanie tego, co ją martwi.

– Skąd to wiesz? Rozmawiałaś z nim?

– Posłuchaj, to bez znaczenia. Nie zwracaj sobie tym głowy, pewnie tylko coś mi się przywidziało.

Zapomniał spytać, czy Willis wrócił i ściął resztę drzew.

IX

Pewnego ranka Paul zawiózł Marka na Heathrow, na spotkanie z jednym z eksporterów, który przesiadał z samolotu na samolot i miał parę wolnych godzin. Był to najwyraźniej kolega Marka ze szkoły, niski i grubawy, z ogoloną głową i ustami cherubina. Marek zawsze chodził w dżinsach, ale ten mężczyzna nosił ciemny garnitur i cienki skórzany krawat, w ręku trzymał teczkę. Marek przedstawił ich sobie, obejmując Paula jednym ramieniem, a kolegę drugim.

– Nie tylko mój kierowca, ale też ojciec mojej dziewczyny, Pii, która jest urocza, bliska memu sercu.

Paul został przyciśnięty do gorącego ciała nieznajomego, poczuł od niego woń Warszawy, gdzie tamten się obudził i zjadł tego dnia śniadanie. Uścisnęli sobie dłonie, oczy Polaka były lśniące i bystre.

– Co to, Mareczku? Robisz się rodzinny?

– Lubię rodzinę! – zapewnił Marek. – Właściwą rodzinę. Podoba mi się.

– Jeżdżę z nim, żeby mieć go zawsze na oku – zażartował Paul.

– A jak tam Anna? – spytał kolega Marka.

– Znasz ją. Ciągle ma do mnie jakieś pretensje, naciska, żebym szybciej rozkręcał biznes. Traktuje mnie jak niewolnika.

– Dobrze ci to robi! Bez Anny byś się rozleniwiał, jesteś za bardzo zadowolony z siebie.

Marek i jego znajomy kupili sobie po kuflu piwa – o jedenastej przed południem – w imitacji starego pubu, wyłożonego zabejcowanym na ciemno drewnem i wykrojonego z części ogromnej pustej hali. Paul zostawił ich samych i zaczął się szwendać po lotnisku. Nie miał nic wspólnego z ich interesami, a poza tymi wiedział, że wkrótce rozmowa przejdzie na polski. Nienawidził lotnisk. Nie był na żadnym od kilku lat – nie mieli pieniędzy na zagraniczne wojaże. Wiedziony jakimś dziwnym przesądem, który sam sobie narzucił, nigdy nie jadł niczego ani na lotnisku, ani na pokładzie samolotu, jak gdyby były to zaświaty, a on bał się, że gdyby skosztował ich owoców, pozostawiłby tam część siebie. Dzisiaj płynął z prądem w tłumie sunących powoli ludzi, krążąc obok ciągle tych samych sklepów. Nawet rzeczywiste rzeczy, które tam sprzedawano – whisky czy książka o genezie pierwszej wojny światowej – wydawały się zdegradowane przez to miejsce, stając się cieniami samych siebie. Kupił sobie gazetę, ale nie zaczął czytać. Stał z zadartą głową wpatrzony w tablice z rozkładem odlotów.

Przyszło mu na myśl, że może polecieć właściwie wszędzie, w tej chwili. Miał na koncie tysiące funtów, wystarczyłoby na kupno biletu, a paszport – sprawdził – nadal był w tylnej

kieszeni spodni. Kiedy jechał na Heathrow, chciał po spotkaniu wrócić z Markiem do Londynu. Ale Marek mógł sam sięść za kierownicą. Wcześniej czy później, przypuszczalnie w przyszłym tygodniu, Paul zamierzał wrócić do Tre Rhiw; tam było jego prawdziwe życie. Ale co by było, gdyby nie wrócił? Gdyby jego życie potoczyło się dalej gdzie indziej, inaczej? Nazwy miast na tablicach zmieniały się z cichym szelestem: Dubrownik, Rzym, Odessa, Kair, Damaszek. Pomysł był pozarozumowy, nagle pragnienie jego realizacji wstrząsnęło Paulem niczym porażenie prądem. Miał dość pieniędzy, nawet gdyby połowę oddał Elise, na bilet dokądkolwiek i na pokój tam, gdzie by dotarł. Pokój wynajęty, zanim się jakoś urządzi. Dość pieniędzy, żeby się przez jakiś czas utrzymać, bo potrafił żyć oszczędnie.

Przez dziesięć czy dwadzieścia minut, kiedy rozważał tę możliwość, wydawała mu się tak realna, że czuł później ten niewykonany gest w swoich mięśniach, w zaciśniętych szczękach. Zamierzał podejść do kontuaru biura informacji i zapytać o bilety *last minute*, dowiedzieć się, gdzie może polecieć, wyciągnąć kartę z portfela, zapłacić. Musiałby jeszcze oddać Markowi klucze do samochodu. Drzwi stały przed nim otworem, mógł w nie wejść lekko, bez żadnego bagażu. Tak kiedyś robił. Coś niedojrzałego w jego wnętrzu, coś, co odłożył na bok i o czym zapomniał, teraz wystąpiło do przodu z bijącym sercem, gotowe do przygód. Wyobraził sobie, jak za kilka godzin wychodzi z jakiegoś pokoju na inne światło. Kupi trochę ubrań, szczoteczkę do zębów, maszynkę do golenia o nieznanym jeszcze nazwach. Zjadłby coś w jakimś barze albo kupiłby coś na ulicy. Mogłoby tam być brudno i ubogo, miasto mogłoby mieć kamienne mury z blankami, gdzie ludność przechadza się wieczorami, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza, mógłby tam być widok na morze albo nie. Paul poczuł, że jest na życiowym zakręcie, wystarczyłby drobny ruch, a podszedłby do biura informacji i potem wszystko potoczyłoby się dalej. Musiał tylko stać dalej w miejscu. Gdyby poszedł po bilet, nie byłoby dla niego przebaczenia, sam też by sobie nie wybaczył – wolność wykroiłaby w nim puste miejsce, którego nigdy nie dałoby się zappełnić. Poprzez jego komórki, z kości, popłynęła wiadomość, że nie może drgnąć. W końcu przyszedł po niego Marek.

*

Pii spuchły kostki i lekarz powiedział, że powinna odpoczywać, zrezygnować z pracy. W nocy źle sypiała. Marek troszczył się o nią, brał jej duże blade stopy na kolana i masował. Kiedy Paul zwalniał rano miejsce na kanapie, siadała tam Pia, włączając telewizor. Czasami nie czekała nawet, aż Paul złoży pościel, i nie zadawała sobie trudu, żeby podnieść żaluzje. Było jej niewygodnie, wierciła się z niepokojem. Makijaż robiła przy sztucznym świetle.

– Może ci coś poczytać? – zapytał ją Paul pewnego dnia, niedługo po wycieczce na Heathrow. Marek nie potrzebował jego pomocy, bo miał do załatwienia jakieś inne interesy na mieście. Z tej

bezczyńności Paul pomyślał nawet o pójściu do biblioteki i zabraniu się do jakiejś pracy. Nie mógł znieść, że Pia zaśmieca sobie głowę bzdurami, jakie puszcza się w telewizji w ciągu dnia. Gdyby kupił „Wielkie nadzieje” albo „Emmę” i zainteresował ją lekturą, mógłby streszczać niektóre fragmenty, jeśli by zauważył, że Pia się nudzi.

– Poczytać mi? Tato! Zapomniałeś, że mam dwadzieścia lat?

Była temu stanowczo przeciwna, jakby podejrzewała go o próbę namówienia jej w ten sposób do powrotu na studia. Zgodziła się tylko na to, żeby z miejscowej wypożyczalni przynosił filmy na DVD, które oglądali razem popołudniami. Jej gust zaskoczył Paula. Zupełnie nie była sentymentalna. Podobały jej się inteligentne thrillery, „Michael Clayton” i „To nie jest kraj dla starych ludzi”. Zaczęli oglądać pierwsze odcinki „Prawa ulicy”, Pia znacznie szybciej niż on łapała, o co chodzi.

– Nie tęsknisz za znajomymi? – zapytał ją. – Co z twoimi koleżankami ze szkoły? Albo z uczelni?

– Z początku spotykałam się z niektórymi dziewczynami ze szkoły, ale kiedy się dowiedziałam, że jestem w ciąży, nie mogłam wychodzić z nimi, żeby się napić, a one tylko to chcą zawsze robić. Brakuje mi tylko Jamesa.

– Jamesa Willisa? Naprawdę? Ale to chyba pajac, nie?

– James i ja jesteśmy pokrewnymi duszami. Myślimy to samo w tym samym czasie. Jedno z nas mówi to, co drugie właśnie ma na końcu języka. Dlatego nigdy nie mogliśmy ze sobą chodzić.

– Ilekroć próbuję z nim porozmawiać, zapomina języka w gębie.

– Bo taki już jesteś, tato. Niełatwo się z tobą rozmawia.

Opowiedział jej o tym, jak Willis senior zjawił się, żeby wyciąć osiki w Tre Rhiw.

– Czy James brał w tym jakiś udział? Nigdy mi o tym nie wspomniał.

– To on trzymał tę cholerną piłę.

Roześmiała się, a on zaczął wspominać wszystkie szczegóły tamtego poranka, co teraz, z obecnej perspektywy, wydawały się komiczne. Kiedy powiedział o swojej kłótni z Elise, Pia wzięła jej stronę, mówiąc, że nie warto robić sobie z pana Willisa wroga z powodu kilku drzew. Było jasne, że nie pamięta, o które drzewa chodzi, ale stwierdziła, że mogą posadzić nowe. Przed tą rozmową Paul zastanawiał się, czy skorzystałaby z okazji, żeby poprzeć go przeciwko Elise. Pia nie zawsze dogadywała się z macochą, która potrafiła być obcesowa, a kiedy Pia była młodsza, Elise uważała ją za upartą i niekomunikatywną. Pia przyjeżdżała do nich jeszcze przed narodzinami Becky; była wyraźnie nieszczęśliwa z dala od domu, ale chociaż Elise próbowała ją ośmielić, ona siadała na brzegu łóżka i machając nogami, z nieszczerym uśmiechem upierała się,

że bawi się świetnie. Elise krajało się serce, gdy widziała, jak skrupulatnie Pia rozpakowuje swoje rzeczy z plecaka i ustawia tenisówki w równym rzędzie pod ścianą.

Ciąża Pii robiła się coraz większa, wzdęta kopuła brzucha budziła w Paulu grozę. Pępek wywrócił się na zewnątrz i Pia chwaliła się nim przed Paulem, naciągając materiał koszulki. Paul nie chciał kłaść dłoni na jej brzuchu, gdy proponowała, żeby sprawdził, jak dziecko kopie, ale czasami – co było nie do uniknięcia w ciasnym, zatłoczonym mieszkaniu – obijał się o przyszłego wnuczka. Miał wrażenie, że nastrój Pii zmienia się wraz z rozwojem ciąży. Była mniej dziewczęca, zrobiła się mniej kapryśna i bardziej zamyślona. Raz rozczuliła się, mówiąc mu, jak bardzo żałuje, że babcia nie zobaczy wnuka, a Paul zdał sobie wtedy sprawę, że odkąd tu zamieszkał, przestał śnić o matce. Pia zaczęła kompletować ubranka dla dziecka. Kiedy przypominał sobie, jak z tacą w dłoniach przechadzała się między stolikami kawiarni i cierpliwie nakładała ciastka na talerzyki, przychodziło mu do głowy, że może jednak poradzi sobie z macierzyństwem lepiej, niżby się wydawało. Może najłatwiej było właśnie tym kobietom, które nie buntowały się przeciwko podporządkowaniu i nie miały silnej woli.

Starał się, żeby przebywanie w mieszkaniu było dla córki jak najprzyjemniejsze, kupował kwiaty i przynosił do domu świeże jedzenie, mnóstwo owoców. Marek współczuł jej, że musi całymi dniami być w domu, ale trudno było sobie wyobrazić, by sam dokonywał tego rodzaju zakupów. Zamiast tego przynosił rozmaite sprzęty, które udało mu się zdobyć po okazjnych cenach: a to skomplikowany wózek spacerowy na trzech kółkach, a to aparat do kontroli oddechu, a to coś, co o dziwo, nazywało się „dziecięcą siłownią”. Nie było miejsca, żeby rozpakować to wszystko z pudeł.

*

Paul zadzwonił do Tre Rhiw z automatu na Upper Street. Kiedy z drżeniem serca czekał, aż Elise odbierze słuchawkę, półświadomie się spodziewał, że wróćą od razu do ostatniej rozmowy, do tej bezbronnej intymności i wieczornej ciszy. Jednak w popołudniowym żarze jej głos brzmiał zupełnie inaczej, a ton był obcesowy. Wyjaśniła mu, że wszelka rozmowa odciąga ją od nawału zajęć, od pracy nad pilnymi zamówieniami i od opieki nad dziećmi.

– Udało ci się jednak znaleźć czas, żeby zadzwonić – zauważyła. – I dobrze.

Nie mógł się dziwić jej oburzeniu, nie próbował się nawet bronić. Ale zdawało mu się, że ten gniew maskuje tylko jakieś inne uczucie, inne podekscytowanie. Zafiksował się na myśli, że żona knuje przeciwko niemu z Ruth albo ze swoją siostrą, Mirrie, która przyjechała do Tre Rhiw na weekend.

Przez telefon dziewczynki zdawały się znacznie młodsze. Becky była onieśmielona i z trudem wycisnęła z niej jakiegokolwiek informacje. Wyobrażał sobie, jak córka rumieni się pod swoimi

piegami, mamrocząc do słuchawki, skupiona i nieruchoma.

– Co robisz w Londynie, tatusiu?

Powiedział, że mieszka z jej starszą siostrą. Becky wiedziała o dziecku i zachichotała, kiedy o nim wspomniała. Wyjaśnił, że właśnie dlatego opiekuje się Pią, by mieć pewność, że wszystko jest w porządku. Joni nie była skora do rozmowy i odpowiadała zdawkowo; nie mogła się doczekać, żeby oddać słuchawkę matce.

– Czy Willis wrócił? – zapytał Elise.

– No wrócił. – Zaśmiała się gorzko. – Zapytał, czy chcę kupić te drzewa pocięte na bale.

– Facet jest niewiarygodny.

– Tak, cóż. Miałam inne zmartwienia na głowie.

Zapytał o Geralda, o to, czy miała z nim jakiś kontakt. Elise nie sprawiała już wrażenia zaniepokojonej jego zdrowiem psychicznym.

– Spędza tutaj mnóstwo czasu – powiedziała. – Myślę, że dobrze mu to robi. Przypadli sobie z Mirrie do gustu.

To akurat wydało się Paulowi mało prawdopodobne, ale przemilczał sprawę.

*

Anna wpadła do nich po pracy z wiadomością, że Annelies przyszła do kawiarni i rozpytywała o córkę. Na szczęście, powiedziała, nikt nie wspomniał o tym, co łączy ją z Pią, ani nie zdradził, że Pia mieszka w jej mieszkaniu. Byli gotowi dać tylko numer komórki, który Annelies już miała.

– Zadzwoń do niej – powiedziała Pia. – Umówię się na spotkanie. Naprawdę powinnam.

– Nie musisz. To twój wybór. Nie daj jej się szantażować.

Paul zachęcał Pię do skontaktowania się z matką. Natomiast Anna zdawała się do tego pomysłu wrogo nastawiona, jakby Pia uciekła od jakiegoś straszego domowego ucisku. Bez wątplenia występ Annelies w kawiarni – najwyraźniej nie była zadowolona z braku współpracy, na jaki się natknęła – dał przedsmak tego, jak mogłaby osądzić nowych przyjaciół córki, ich hałaśliwy dom, ich życiowe perspektywy.

Paul nie poznał jeszcze australijskiego chłopaka Anny. Przez jakiś czas był w Belfaście, a kiedy wrócił, Anna nie wspominała o nim zbyt często, a jeśli już, to z tłumionym zniecierpliwieniem. Czy był zbyt uległy, czy właśnie za mało? – zastanawiał się Paul. Anna znowu zaczęła spędzać w mieszkaniu więcej czasu i Paul wiedział, że powinien odejść, zrobić dla niej miejsce w jej własnym domu, chociaż sama ani razu tego nie zasugerowała i odnosił wrażenie, że tego by nie chciała. O dziwo, zaakceptowali go jako członka swojej prowizorycznej rodziny. Marek przekomarzał się z nim dobrodusznie, nazywając intelektualistą i przedstawiając go karykaturalnie jako nieżyłowego idealistę. Paul zauważył też, że wieczorami, a nawet popołudniami, jeśli Anna

akurat nie pracowała, ona i Marek, oprócz trawki, którą kopcili, doprawiają się jakimiś dopalaczami, prawdopodobnie jakimiś syntetycznymi dragami albo kokainą. Wymykali się do kuchni albo sypialni, twierdząc, że muszą pogadać o interesach, i wracali podenerwowani i nakręcenii. Z przesadnie manifestowaną opiekuńczością trzymali ten towar z daleka od Pii, a także od Paula, ze swego rodzaju uprzejmości, rozczulającej i lekko obraźliwej, jakby uważali, że jest zbyt niewinny albo po prostu za stary.

Pewnego wieczoru Marek zabrał Pię na miasto na coś do jedzenia, bo powiedziała, że wariuje już, tkwiąc całymi dniami w mieszkaniu. Podczas ich nieobecności Anna rozmawiała z Pauliem o ich kłopotach w Polsce. Okna w mieszkaniu wszystkie były otwarte, wreszcie, po całym dniu stojącego rozgrzanego powietrza, powiało chłodem. Pomarańczowe niebo zasnuły cienie: wieczorami na horyzoncie zawsze zbierały się chmury, ale deszczu nigdy z nich nie było. Siedzieli na kanapie przy wyłączonym świetle, Anna po turecku, a on normalnie obok niej. Włosy wpadały jej do oczu, gdy strząsała popiół z papierosa do przepelnionej popielniczki. Tak jak zwykle mówiła krótkimi stanowczymi zdaniami, w których teraz pobrzmiwał defetyzm. Ich ojciec był chory, zdiagnozowano u niego raka kości. Zastanawiała się, czy diagnoza jest trafna; było powszechnie wiadomo, że w polskiej służbie zdrowia zdarzają się błędy.

– Czy dostanie najlepszą opiekę? Wątpię. Nie ufam im.

Paul słuchał ze współczuciem, zadając taktowne pytania. Powiedziała, że ojciec jest silnym mężczyzną, drobnym fizycznie, ale bardzo silnym i nigdy w życiu nie chorował nawet przez jeden dzień. Był brygadzystą w fabryce wytwarzającej chemię domową, ale teraz od miesiąca nie pracował.

– Kto wie, jakie chemikalia tam stosowano i czy miał odpowiednią ochronę?

Ich matka żyła, ale rodzice byli w separacji. Kiedy Anna mu to opowiadała, Paul zaczął rozumieć, że ani ona, ani Marek nie widzieli ojca i nie rozmawiali z nim długo, zanim się rozchorował. Paul nie pytał dlaczego. Za pieniądze, jakie Marek płacił mu w dniówkach, mogliby kupić tani bilet do domu. Anna siedziała przygarbiona, z barkami prawie na poziomie uszu, rozgoryczona i wyobcowana. Pociąg, jaki do niej czuł, przytłaczał go teraz, jakby była cierpiącym pięknym zwierzęciem zamkniętym w ciasnej klatce.

Pochyliła się do przodu, żeby zgasić papierosa, i w pomarańczowym świetle słońca zobaczył wypukłość jej małych nagich piersi pod luźną kamizelką, zaskakująco miękkich i pełnych w stosunku do chudego torsu. Wyciągnął rękę i wziął w palce materiał jej koszuli tuż przy dekolcie, a potem dotknął gorącej skóry, sięgając głębiej w mrok pod tkaninę, biorąc w dłoń jedną pierś, czując sutek we wnętrzu dłoni. Jej miękkość zdawała się całkiem odrębna od reszty ciała, zdawała się wysyłać zaskakujący sygnał, wiadomość pełną nadziei. Przez kilka chwil Anna nie odsunęła

się od niego. Ale kiedy się pochylił, żeby ją pocałować, błyskawicznym ruchem opuściła głowę i ugryzła go w wewnętrzną stronę przedramienia, nie na tyle mocno, żeby przebić skórę, ale wystarczająco, by zawył z bólu i odskoczył. Pokiwała mu karcąco palcem, marszcząc ze śmiechem brwi.

– Niedobry, niedobry.

Przypomniało mu się, jak jego chłopięce pożądanie wzbudziła kiedyś mała rozbójniczka z „Królowej Śniegu” Andersena, która łaskotała gardło swojego renifera nożem. Siniec na ręce pozostawał przez kilka tygodni.

*

Paulowi się przyśniło, że jest na podwórzu Willisa. We śnie było coś niesamowitego w wybielonym, pozamiatany do czysta placu, rozjaśnione słońcem nieruchome powietrze przypominało gęsty miód, jakby zbierało się na burzę. Konie Willisa w boksach potrzęsały łbami, odganiając muchy, i słyszał stukot ich kopyt na bruku. Wokół podwórza zdawały się ciągnąć swego rodzaju bielone arkady, jakby krużganek (to było tylko we śnie, nie w rzeczywistym Blackbrook). Paul miał świadomość, że gdzieś na krawędzi jego pola uwagi z głębokiego cienia to wyłania się, to znów znika jakaś wysoka postać o sztywnych ruchach, pracująca z przygarbionymi plecami. Metalowe wiadro zadzwoniło o kamienne płyty, mop zanurzył się w wodzie. Nie dostrzegł twarzy, ale wiedział, że to matka, rozpoznał starą nylonową sukienkę, którą kiedyś wkładała do prac domowych – z supełkowatej tkaniny w białe zygzaki na granatowym tle. Nawet śniąc, pomyślał, że ta sukienka leżała porzucona gdzieś na dnie jego pamięci, i cieszył się z tego wspomnienia. Kto wie, jakie jeszcze niespodzianki na niego czekały, gdyby tylko udało mu się wejść w głąb podwórza?

To było wszystko, nie stało się nic innego. Zapamiętał ten sen tylko dlatego, że wyrwało go z niego jakieś poruszenie w mieszkaniu. Usiadł nagle w pościeli, spocony, zrzucił z siebie kołdrę, myśląc, że zbudziły go odgłosy przemocy. Może to schizofrenik z piętra wyżej dostał ataku? Słysząc było jakieś łomotanie. Zanim Paul się dobudził i w pełni oprzytomniał, zawołał córkę – chciał się upewnić, że nic jej nie jest. Nastąpiła cisza, tylko że nie spokojna i pusta, lecz pełna napięcia. Za późno zidentyfikował hałas, który go obudził, jako odgłosy uprawiania seksu: łaskot łóżka, które było prawdopodobnie tanie i dosunięte do samej ściany, może też odgłosy, które wymykały się kochankom mimo zaciśniętych mocno ust, czy jak tam Pia próbowała nie dopuścić, by dotarły do uszu ojca. Nie dziwne, że drżały w powietrzu niczym odgłosy przemocy. Kiedy zaczął tu nocować, z zawstyżeniem zastanawiał się, czy jego obecność za tymi cienkimi gipsowymi ścianami nie jest dla córki i Marka krępująca, ale gdy ani razu ich nie usłyszał, nabrał niejasnego przekonania, że może jednak nie uprawiają seksu, w każdym razie nie przy tak

zaawansowanej ciąży, albo też ściany są jednak dźwiękochłonne.

Sypialnia otworzyła się i wyszła z niej Pia ubrana w koszulę nocną, zamykając za sobą drzwi. Pomyślał, że jest bardzo rozgniewana.

– Tato? Krzyczałeś.

– Przepraszam. Chyba miałem koszmar.

Siedział na kanapie przykryty kołdrą do pasa. W świetle z ulicznych latarni jej koszula była prawie przezroczysta, tak że widział jej rozdęte ciało – długie nogi, okrągły brzuch, nabrzmiewające piersi – prawie jakby stała przed nim nago, onieśmielając go. Po raz pierwszy ujrzał w jej ciąży wyraźną, jednoznaczną oznakę życia erotycznego córki.

– Jak długo zamierzasz tu jeszcze nocować, tato? Właściwie nie ma tu miejsca. Nie możesz pójść gdzie indziej? Bo ten układ raczej się nie sprawdza.

*

Podjął w banku dwa tysiące funtów, które wręczono mu w szarej kopercie. Kiedy poszedł do kawiarni pożegnać się z Anną, wcisnął jej kopertę w dłoń.

– Weź to, proszę – powiedział. – Dostałem niespodziewanie trochę pieniędzy. Będziecie mieli mnóstwo dodatkowych wydatków przy chorobie ojca i w ogóle.

W lokalu było sporo gości, panował gwar. Przy kilku stolikach ludzie czekali, żeby złożyć zamówienia.

– O. Dziękuję.

Anna rzuciła wzrokiem na kopertę. Nie otworzyła jej, żeby zajrzeć do środka, tylko włożyła ją do torebki na pieniądze, którą jako kelnerka nosiła na biodrach, i rozejrzała się na boki, czy ktoś z obsługi zauważył, co się dzieje. Musiała jednak wyczuć, jak gruby był plik banknotów. Paul nie umiał odczytać wyrazu jej twarzy – czy była urażona prezentem, czy wdzięczna, czy chociaż poczuła satysfakcję ze swojego sprytu.

– Zachowałaś się bardzo dobrze, kiedy zaproponowałaś mi nocleg w swoim mieszkaniu. Byłem wtedy w potrzebie.

– Nie ma sprawy.

Odnosiła się do niego z dystansem, jakby podarunek zmienił go znowu w kogoś nieznanego, w klienta. Wyobrażał sobie, że pocałuje ją przed wyjściem, da tylko całusa w policzek. Ale nie było mowy, by mógł się na to zdobyć w obecności tylu ludzi.

X

Idąc przez ogród, zdał sobie sprawę, że brak osik przy Tre Rhiw wszystko zniekształcił. Płaszczyzny nieba i ukośnego pola zostały obnażone w nowym stosunku do domu, który zdawał się teraz wysunięty ku przodowi i ogołocony. Po ich stronie muru był posadzony rząd nowych młodziutkich drzewek – każde z beżową osłoną na pniu i podtrzymywane palikiem. Ich pojawienie się bez jego wiedzy było następnym szokiem. Ziemia wokół pni jeszcze nie zarosła, ale nad osłonkami niczym proporce powiewały jaskrawe żółtozielone liście. Elise musiała je co wieczór podlewać przy takim upale i suszy. Drzwi do pracowni były otwarte po obu stronach i Paul przeszedł przez nią, spodziewając się, że zastanie tam żonę.

Drzwi do domu także stały otworem. Kiedy przemierzał podwórze, gdzie słońce prażyło z nową siłą, bo zabrakło osłony drzew, usłyszał warkot telewizora. Na chwilę oślepl, gdy wszedł w mroczny korytarz. Zaglądając do klitki, gdzie tańczył obraz telewizyjny, wciągnął w płuca znajomy zapach stęchłego porannego powietrza: zakurzonych poduch, puszcanych przez dziewczynki bąków, kwaśniejącego mleka wylanego z misek z płatkami śniadaniowymi.

– Hej! To tata! – powiedziała Becky z radosnym zaskoczeniem, nie ruszając się z miejsca.

– Gdzie?

Joni musiała zadrzeć głowę, żeby dojrzeć go zza Geralda, który siedział niedbale na kanapie między dziewczynkami. Gerald sprawiał wrażenie konturu, cienia, bariery dla światła, zanim Paulowi oczy przyzwyczyły się do półmroku. Dopiero po jakimś czasie dopatrzył się, gdzie czarne włosy są zatknięte za uszy, które były blade i delikatne jak na faceta jego postury. Gerald podniósł na Paula wzrok.

– O, to ty! – powiedziała Elise, wychodząc z kuchni i wycierając ręce o fartuch rzeźnicki.

Miała inną fryzurę niż zwykle; włosy, zebrane nad karkiem w luźny kucyk, urosły pod jego nieobecność. Nie zdawał sobie sprawy, że nie było go tak długo, by komuś mogły urosnąć włosy.

– Czemu nie zadzwoniłeś? – zapytała. – Trzeba było uprzedzić nas, że przyjeżdżasz.

– Ale już jestem. Kto pomógł wam posadzić drzewka?

– Gerald.

Gerald, jak się zdawało, wrócił po prostu do oglądania telewizji. Aktorzy w programach dla dzieci zawsze się zachowywali maniakalnie, ich twarze wykrzywiała rozpacz albo płomienny entuzjizm.

– Zrobię kawę – oznajmiła Elise. – Napijcie się obaj?

– Ja poproszę – powiedział Gerald, nie podnosząc już wzroku.

Paul poszedł za nią do kuchni. W lepszym świetle zauważył, że Elise ma przy przedziałku odrosty na jakieś dwa centymetry, jeszcze nie całkiem siwe, ale jakby wyblakłe, o bardziej neutralnym odcieniu niż mocny miodowy blond reszty włosów. Nie mógł usiąść, nosiło go. Chodził po kuchni i to podnosił, to odstawiał rozmaite rzeczy na miejsce – a to młynek do pieprzu, a to tabliczkę z wypisaną kredą listą zakupów, plastikową butelkę płynu do zmywania, laskę wanilii w słoiku z cukrem – jakby mogły się zmienić pod jego nieobecność.

– Usiądźże wreszcie, na litość boską – powiedziała Elise, unosząc klapę kuchenki, żeby nastawić czajnik. – Siadaj.

W kuchni unosił się zapach pieczenia, na drucianej podstawie stygły ciastka. Spróbował złapać ją od tyłu w pasie. Coś się zmieniło w jej ruchach i postawie. Pomyślał, że używa innych perfum.

– Jeszcze nie. – Odepchnęła go. – Daj mi zrobić tę kawę. Może rozłożysz parasol i wypijemy ją na podwórzu? Taka ładna pogoda.

– Zauważyłem, że bez drzew zrobiło się tam bardzo słonecznie.

– Postarajmy się nie myśleć ciągle o tych drzewach. Nie ma sensu się przez nie cały czas denerwować.

– Opowiedz, jak Willis wrócił, żeby wyciąć resztę – poprosił.

– Nie teraz.

Wyjaśniła, że zapłaciła za sadzonki nowych osik z pieniędzy Evelyn. Uznała, że dobrze było je wydać na coś trwałego, co będzie im ją przypominać, przynajmniej tak długo, jak będą mieszkać w Tre Rhiw. Mówiła to takim tonem, jakby się tłumaczyła, dość bojowo.

Na razie nowe drzewka radziły sobie dobrze, wszystkie przeżyły.

– Gerald kopał i wydawał rozkazy. Zasadziliśmy je wszystkie w jeden dzień.

– Sprawny zespół.

– Dobrze mu to zrobiło, Paul. Wcześniej było z nim naprawdę krucho.

Mieszając kawę w czajniku, zniżyła głos, bo przewidywała, że Gerald wciąż siedzi z dziećmi w klitce. W tej właśnie chwili Paul zobaczył przez kuchenne okno, jak Gerald, mrużąc oczy, wyszedł na podwórze. Zachwiał się, zaskoczony jasnym światłem, gdy wygramolił się z nory, w której tkwił jak zahibernowany. Z rękami w kieszeniach i spuszczoną głową ruszył powłóczystym krokiem przez ogród w kierunku ścieżki prowadzącej wzdłuż rzeki na stację. Paul nie powiedział Elise o jego odejściu.

– Kiedy się tu zjawił, na początku nie był w stanie czytać książki ani nawet gazety. Musiałam zadzwonić na jego wydział, że jest chory. Przez kilka dni wstawał jedynie po to, żeby skorzystać z ubikacji. Leżał tam z zamkniętymi oczami albo oglądał telewizję. Zaczął śmierdzieć, nawet

dziewczynki to zauważyły. W końcu musiałam zrobić mu kąpiel, kazałam mu wejść do wanny, a potem włożyłam jego rzeczy do pralki. Kupiłam mu szczoteczkę do zębów i bieliznę. Ruth mówiła, że powinnam sprowadzić lekarza. Bałam się, że robi sobie coś złego.

– El, powinnaś była powiedzieć mi, jak jest źle. Przyjechałbym.

– Próbowałam ci powiedzieć, kiedy zadzwoniłeś od Stelli.

– Nie tak jak teraz, nie powiedziałaś wszystkiego.

– Zapytałam, czy wezwać lekarza, a on odparł, że może pomogłyby mu jego leki antydepresyjne, więc pojechałam po nie do jego mieszkania w Cardiff. Nigdy nie mówiłeś mi, jak tam jest. Istny koszmar. – Dzbanek pełen kawy zadrżał jej w dłoni.

– I pomogły?

– Co?

– Leki antydepresyjne.

– Ach, tak. Myślę, że tak. W każdym razie teraz czuje się znacznie lepiej. Powiedz mu, że kawa już gotowa, dobrze?

– Nie ma go. Widziałem, jak wychodził, pięć minut temu. Chyba jednak nie chciał kawy.

– Kogo nie ma? Geralda? A dokąd poszedł?

– Przypuszczam, że na stację.

Elise wybiegła na podwórze i stanęła pośrodku ogrodu. Osłaniając dłonią oczy, zaczęła rozglądać się za Geraldem, ale nie było go już nigdzie w pobliżu. Szybkim krokiem wróciła do kuchni, zdejmując po drodze fartuch, jakby zamierzała go gonić.

– Mój Boże, nie masz o niczym pojęcia! Jak mogłeś go tak puścić? Nawet nie wiesz, jaka to była poważna sytuacja.

– Wyglądał całkiem dobrze. Jest wolnym człowiekiem. Jeżeli chce pojechać do domu, to jego sprawa. Powiedziałaś, że już mu lepiej.

– Ale czy ma pieniądze na pociąg? Czy ma klucze?

– Jeżeli nie ma, przypuszczam, że do nas wróci.

Elise podbiegła do niego z uniesionymi pięściami.

– Wszystko było takie niepewne. A teraz ty wpadasz tutaj nagle i nie masz zielonego pojęcia, co się dzieje.

Zacząła bić Paula po ramionach i klatce piersiowej. Jej uderzenia prawie nie były bolesne, ale rozpraszały go, musiał cofnąć głowę, próbując chwycić ją za nadgarstki. Potem mocno go spoliczkowała, co zabolalo już bardziej, więc pchnął ją na suszarkę do naczyń. Porcelana poleciała z brzękiem do zlewu.

Becky i Joni, wyrwane ze swojego telewizyjnego letargu, stanęły w drzwiach.

– Gdzie Gerald?! – zapytała Becky, jakby zwracała się o pomoc do jedynej rozsądnej osoby w całym tym zamieszaniu.

– Nie ma go – powiedziała apatycznie Elise.

Wzięła ściereczkę i otarła łzy z twarzy, po czym sięgnęła po stygnące ciastko.

– Nie powinnam ich jeść. Pójdą mi tylko w uda.

Paul nalał kawy i zrobił dziewczynkom koktajle mleczne. Wszyscy czworo siedzieli przygnębieni przy stole, jedząc ciastka.

Gerald nie wrócił.

Po południu Elise puściła w swojej pracowni Leonarda Cohena i zajęła się naprawą starej lakierowanej skrzyni inkrustowanej masą perłową, którą Ruth kupiła na wiejskim targu. Paul przejrzał e-maile i pocztę, której stos Elise zostawiła mu na biurku.

*

Kiedy go nie było, między Geraldem a Elise coś zaszło. Elise nie chciała o tym rozmawiać.

– Jeżeli masz na myśli seks – powiedziała, akcentując z odrazą ostatnie słowo – to grubo się mylisz. Wiem, jaki masz brudny umysł. Ale on jest inny.

Paul próbował być rozsądny.

– No dobra, więc to nie był seks. I cieszę się, że nie.

– Jak śmiesz? Jak śmiesz znikać bez żadnego ostrzeżenia ani wyjaśnienia, a potem wracać i myśleć, że możesz mnie z czegoś rozliczać, że masz jakiegokolwiek prawo do poznawania mojego życia prywatnego?

– Nie mam żadnego prawa. Nie pytam dlatego, że mam prawo.

Kiedy powiedział, że ją kocha, rozpłakała się i wyniosła na dwór plastikową miskę, żeby rozwiesić pranie. Paul zgadywał, że rzuciła się Geraldowi w ramiona, a on ją odepchnął. Albo że zamierzała rzucić się mu w ramiona, mniej więcej wtedy gdy on wrócił do domu i wszystko popsuł. Zaczął wyobrażać sobie ze szczegółami, jak pojechała do Cardiff po leki antydepresyjne Geralda, zaparkowała obok trawiastego terenu rekreacyjnego, przez dłuższą chwilę szukała numeru domu na wysokiej, ponurej kamienicy, a potem kluczami Geralda otworzyła drzwi do mieszkania. Zajęta i zaradna kobieta w misji dobroczynnej. Musiała być wstrząśnięta bałaganem, przypuszczalnie zapamiętała kilka przykładów specjalnie po to, by wykrzyknąć w późniejszej rozmowie z Ruth: spleśniałe chlebki pita w lodówce, pęknięta ściana, brudny klozet. Może nawet zmyła trochę naczyń. Oczami wyobraźni widział, że nie działała w pośpiechu. Gdy weszła do mieszkania, zamknęła za sobą drzwi, a potem oparła się o nie plecami na dłuższą chwilę, rozglądając się dookoła. Przypuszczał, że nim zaczęła szukać leków, siadła w jednym ze starych, rozwalających się foteli i z torebką na kolanach zamknęła oczy, opierając policzek o starożytny i

zatuszczone perkalikowe obicie, wdychając tylko pustą przestrzeń i stęchłe gorące powietrze. W jego wyobraźni włosy miała uczesane w nowy sposób.

– Gerald jest inny – powiedziała Elise. – Żyje bardziej szczerze.

Paul był wzburzony i nieszczęśliwy z zazdrości, próbował jej wytłumaczyć, że szczerść to za mało. Jednym ze stałych elementów ich dotychczasowego wspólnego życia było to, że Elise uważała Geralda za postać komiczną i wyrażała dezaprobatę wobec jego obojętności na rzeczy materialne. A teraz cierpiała z zapierającą dech ekscytacją, podrywając się czym prędzej, ilekroć zadzwonił telefon, i czasami, stwierdzał Paul, płakała w samotności. On sam spał teraz w klitce z telewizorem. Na kanapie była już złożona pościel, przypuszczalnie używana wcześniej przez Geralda. W środku nocy obudził się, czując, że się dusi, i musiał wyjść na dwór ubrany w same bokserki i koszulkę, bojąc się kleszczy, które mogły zaatakować jego gołe nogi, kiedy dreptał po trawie. Na niebie lśniły gwiazdy. Kozy, blade kształty, oddzieliły się od otaczających je ciemności i podbiegły truchtem do ogrodzenia, zaciekawione, co ten człowiek robi. Gdzieś blisko pohukiwała sowa. Paul tęsknił za Londynem.

*

Elise zapytała go o mieszkanie Pii, ale tak jakby nie była w stanie wykrzesać w sobie dostatecznego zainteresowania jego tamtejszym życiem.

– No to jak się Pia miewa? Jaki jest ten jej chłopak?

Opisał Marka ostrożnie, przedstawiając go jako nieco bardziej rozsądnego i przedsiębiorczego niż w rzeczywistości, całkowicie przemilczając istnienie Anny. Czekał, aż Elise, która zarządzała ich kontami bankowymi, zauważy brak pieniędzy, ale nie powiedziała nic, więc albo się nie zorientowała, albo jej to nie obeszło. Może uznała, że dał je Pii. Kiedy rozmawiał z Pią przez telefon, usłyszał, że wszystko jest w porządku. Nogi przestały jej puchnąć, w szpitalu byli z niej bardzo zadowoleni. Odwiedziła też Annelies i spotkanie nie poszło źle.

Paul przejął obowiązek podlewania nowych drzewek. Susza miała się wkrótce skończyć, tak wynikało z prognoz pogody. James Willis dostarczył drewno ze ściętych osik, a Paul za nie zapłacił i złożył w drewnutni, chociaż później sprawdził, że osika źle się pali. Jednego wieczoru poszli wszyscy z Ruth, żeby obserwować wydry – rodzina tych zwierząt zamieszkała trochę dalej w górę rzeki, mąż Ruth widział je bawiące się w świetle księżyca. Elise drżała w sukience bez rękawów, bo wyszli z domu późnym popołudniem i zapomniała swetra. Ruth ostrzegła dziewczynki, że wydry są płochliwe i prawdopodobnie się nie pojawiają. Pokazała im piaszczyste zagłębienie na brzegu, gdzie zapewne sypiały za dnia, i ich odchody nieopodal, czarniawą masę rybich łusek i fragmentów ości, przypuszczalnie węgorza. Obserwowali to miejsce z przeciwnego brzegu, zza młodej leszczyny, podczas gdy księżyc wstał za wzgórzem i jego poświata zalała

niebo, a potem wzbijał się coraz wyżej, sunąc powoli nad ich głowami.

Paul był wzruszony posłuszeństwem i cierpliwością córeczek. Czuł zdyscyplinowanie w ich drobnych ciałach przycupniętych obok niego. Elise okryła ramiona jednym z koców, które wzięła, żeby było na czym siedzieć, i czekali tak ponad godzinę, ale nic nie zobaczyli. Becky błagała, żeby zostali dłużej. Była przekonana, że dostrzegła coś w wodzie, „maleńką fale, jakby wystający nos”, lecz Elise się skarżyła, że drętwieje z zimna. Próbowwała to mówić różnym, żartobliwym tonem, ale Paul słyszał, że wymaga to od niej wysiłku. W drodze powrotnej Becky się dąsała, a Joni jęczała ze zmęczenia, więc Paul ją niósł. Pierwszy raz od jego powrotu pozwoliła mu się wziąć na ręce. Ułożyła głowę na jego barku, delikatne dziecięce włosy łaskotały go w policzki. Jeszcze tego samego dnia rano przy śniadaniu nie pozwoliła, żeby odciął jej czubek jajka, i zwierając usta w ciup, oświadczyła, że chce Geralda „zamiast ciebie”.

Paul zaczął pisać coś nowego. Nie do końca pamiętnik, ale wspomnienia o swoich pierwszych zainteresowaniach przyrodniczych. Starał się nie mieć wielkich nadziei, ot, może coś z tego wyjdzie. W podstawówce dostał w nagrodę książkę o poznawaniu środowiska naturalnego, gdzie jako starannie podpisane czarne plamy tuszu przedstawiono tropy różnych zwierząt: borsuka, lisa, samy, jelenia i tak dalej. Zawział się, że nauczy się ich wszystkich, wraz z odchodami poszczególnych zwierząt, kształtami liści, różnymi orzechami i jagodami. Traktował naturę niczym swego rodzaju kod, uczył się jej jak łaciny – jeśli tylko będzie pracować dość wytrwale, w końcu go złamie, a wtedy – tak wierzył – uda mu się dotrzeć do mitycznego świata piękna, którego istnienie intuicyjnie wyczuwał. Wypożyczał kolejne książki przyrodnicze z biblioteki w Birmingham, jeżdżąc autobusem do miasta, żeby oddawać jedne i brać następne. Później przed bramą z blachy falistej, która prowadziła do fabryki śrubek, spotykał się z ojcem, który w sobotę kończył robotę w południe. Kiedy docierał tam przed czasem, zaczynał czytać pierwszą z książek, opierając się plecami o bramę na brukowanej ulicy, przy której wznosiły się pozbawione okien mury fabryk. Nie przyszło mu do głowy, by poznawać przyrodę bezpośrednio. Książki były bezpieczne – spoczywały sobie w nylonowej siatce, która leżała między jego stopami. W tamtych czasach, nawet w weekendy, nosił krótkie skarpetki, szkolne półbuty i szorty odsłaniające kościste kolana.

*

– Jedź sprawdzić, czy nic mu nie jest – powiedziała Elise z samego rana.

Była w łazience, wciąż jeszcze w koszuli nocnej myła zęby, wypływając pastę do umywalki i patrząc na Paula w lustrze.

– Ty jedź.

Wszedł na górę ze swojego legowiska w klitce, bo chciało mu się sikać. Przy ich obecnych

stosunkach nie był pewien, czy powinien się załatwić w jej obecności.

Wbiła w niego wzrok. Bez słowa szorowała trzonowce.

– Nic mu nie jest. Gdyby było inaczej, już byśmy wiedzieli.

Znowu wypluła spienioną pastę.

– No dobrze. Więc ja pojedę – oznajmiła.

– Oczywiście, możliwe, że nie ma go w domu. W lecie spędza sporo czasu u rodziców.

Gwałtownym ruchem odkręciła wodę, która trysnęła z kranu.

Później tego ranka usłyszał, jak odjeżdża swoim samochodem. Zaczął się snuć po domu. Po raz pierwszy od powrotu miał go tylko dla siebie. Wsunął i wsunął szuflady lakierowanej skrzyni, którą Elise naprawiała, chwycił za szlauch i podlał drzewka, a później warzywa i krzewy, i kwiaty w skrzyniach, mimo że pora na to nie była odpowiednia. Później zaburzywszy zawieszistą ciszę i spokój w domu, jął się rozglądać, co by tu jeszcze zrobić, ale Elise zmyła już naczynia po śniadaniu, więc ograniczył porządki do poprawienia kołder na łóżkach dziewczynek. W pokojach na piętrze, gdzie słońce rozgrzało dach, było już gorąco. W jego gabinecie panował przyjemny chłód. Usiadł i zabrał się do czytania książki o ekologii, a później elegii, którą przysłano mu do recenzowania. Po paru godzinach usłyszał powracający samochód. Elise przeszła szybko przez dom do pracowni, jej obcasy stuknęły o kamienne płyty na podwórzu. Przed wyjściem włożyła bardziej eleganckie obuwie, niż nosiła zazwyczaj. Paul ruszył za nią.

– Jak tam Gerald?

Miała umalowane oczy i szminkę na ustach, a także nową jedwabną bluzkę w liliowe kwiatki, której nigdy wcześniej nie widział. Jazda samochodem do Cardiff zajmowała mniej więcej godzinę; Elise nie mogła spędzić z Geraldem zbyt wiele czasu, nawet jeżeli się z nim zobaczyła.

Mrużąc oczy i próbując bez okularów nawlec igłę maszyny do szycia, liżąc końcówkę nitki, żeby się nie rozczapierała, Elise stwierdziła, że nie wie, co Paul ma na myśli, bo była z Ruth i oglądały toaletkę wystawioną na sprzedaż w jednym z wiejskich gospodarstw. Nie uwierzył jej. Może pojechała do Geralda, ale go nie zastała. Albo zastała, ale się przed nią zamknęła.

– W porządku, myślałem po prostu, że się o niego martwiłaś.

– To twój przyjaciel, Paul. Ty powinieneś się martwić.

Na lunch pod parasolem na podwórzu zjedli resztki z poprzedniego dnia. Elise powiedziała, że powinni zaprosić jutro ludzi na grilla, zanim pogoda się załamie.

– Jeśli masz ochotę.

Usłyszał, jak dzwoni do znajomych.

– Zostawiłam wiadomość na poczcie głosowej Geralda – powiedziała. – Ale może do niego zadzwoń? Spróbuj go przekonać, żeby przyjechał. Dobrze by mu to zrobiło.

Paul posłusznie spełnił prośbę. Gerald miał wyłączony telefon, więc zostawił mu tylko następną wiadomość.

*

Następnego dnia Elise przygotowywała jedzenie: marynowanego kurczaka i rybę oraz warzywa na grilla, małe smażone na głębokim tłuszczu bliskowschodnie kotleciki, sernik posypany orzechami w karmelu, domowej roboty lody z suszonych śliwek. Paul uważał, że to za dużo jak na takie improwizowane przyjęcie, ale kiedy próbował jej to powiedzieć, Elise z zaczerwienioną od gorąca twarzą oderwała się na chwilę od smażenia i zrugła go z gniewem. Rano wysłała go z listą zakupów do Abergavenny, głównie po alkohol. Pojechał aż do Cardiff i zaszedł do Geralda, mimo że nie zdziwiłby się, gdyby przyjaciel mu nie otworzył, bo pora była zbyt wczesna. Jeżeli Geralda zaskoczyła jego wizyta – przypuszczalnie Paul stał dokładnie tam, gdzie jego żona dzień wcześniej – to zawahał się tylko na moment, balansując na stopach (drobnych, podobnie jak uszy), po czym jak zwykle odwrócił się bez słowa i ruszył przodem przez wilgotne, stęchłe powietrze na trzecie piętro, do swojej nory na poddaszu.

W mieszkaniu leżały na podłodze otwarte czarne foliowe worki wypełnione starymi papierami i kuchennymi śmieciami, a wpięta w ścianę rura odkurzacza wiła się po dywanie. Za otwartymi oknami ciemne niczym śliwki liście buka były sine i wysmagane wiatrem, który zapowiadał gorszą pogodę. Ani Gerald, ani Paul nie skomentowali robionych w mieszkaniu porządków. Paul czuł się nieswojo, jakby naruszył prywatność przyjaciela. Gerald zaparzył herbaty, starannie odmierzając ilość mleka i mieszając napój w filiżankach. Powiedział, że próbuje rzucić palenie, i w zamian dodaje marihuany do ciasteczek czekoladowych, które wypieka z gotowej mieszanki. Przyniósł je w blaszanym pudełku z kuchni i poczęstował Paula, który jednak nie dał się skusić. Ciasteczka wyglądały na zbyt suche. Gerald schrupał dwa z taką miną, jakby robił to wyłącznie z obowiązku. Zapytał, jak się mają dziewczynki, a potem pokazał Paulowi książkę, którą właśnie czytał, o różnicach w językowej kategoryzacji uczuć w odmiennych kulturach.

– Ilongoci na Filipinach mają słowo na określenie reakcji na pogwałcenie normy wspólnotowej.

– A my nie mamy takich słów w angielszczyźnie?

– Przychodzi ci jakieś na myśl?

Paulowi nasuwały się tylko słowa, które nie oznaczają emocji, takie jak *respectable* albo *scapegoat*: „godny szacunku” i „koziół ofiarny”.

– A *toska* po rosyjsku – powiedział Gerald – oznacza to, „jak ktoś się czuje, kiedy pragnie, by coś się stało, ale wie, że to niemożliwe”.

– Bardzo rosyjskie.

– Właśnie.

Paul zaprosił go na grilla, sugerując, że mogą pojechać razem już teraz, ale Gerald powiedział, że jest po południu zajęty.

– Dam ci znać. Może przyjadę później.

– Elise się o ciebie martwi. Uważa, że źle się czujesz.

– Rzeczywiście czułem się źle. Ale teraz już mi lepiej. Elise przekonała mnie do kąpieli, co stanowiło dobry początek, i jestem jej za to wdzięczny. A potem przyjechała tutaj po moje leki.

Paul udał, że tego nie wiedział.

– Była tu?

– Właściwie to coś zostawiła. Możesz jej to oddać?

Gerald zaczął przeszukiwać stopy rzeczy na biurku, aż znalazł jedwabną drukowaną chustę, którą Paul rozpoznał. Pachniała Elise.

– Leki zadziałały?

– Zadziałały tak, jak zwykle działają. W ramach pełnego niuansów kulturowego systemu odbierania emocji działają jak chemiczna pałka. Niezbyt precyzyjnie.

*

Elise miała pretensje, że nie było go tyle godzin. Paul nie wyjaśnił, gdzie był. Miał za zadanie rozpalić ogień w dużym palenisku, które Elise zbudowała z kamieni po jednym ze zrujnowanych budynków gospodarczych; ruszt zamówiła u okolicznego kowala. Becky i Joni przybyły do domu razem z pierwszym kontyngentem gości, dziećmi i rodzicami ze szkoły. Banda dzieciaków wkrótce się rozbrykała, ganiając po domu i ogrodzie. Pobiegły też nad rzekę. Becky matczynym gestem brała najmniejsze szkraby na ręce, a Joni zwiślała z konaru drzewa, by pokazać, że jest jej, i machała nogami nad wodą. Potem wszyscy znowu pobiegli do ogrodu. Rodzice wykrzykiwali ostrzeżenia i zakazy.

Elise przygotowała letni poncz, w którym pływały mięta, ogórecznik i truskawki, i podała go w szklanym oszronionym dzbanie prosto z zamrażalnika. Wzięła prysznic i umyła włosy, wyglądała elegancko i skromnie w swojej nowej kwiecistej bluzce. Paul słyszał, jak opowiadała o wyprawie na oglądanie wydr, jakby to było zabawne, że on i dziewczynki chcieli zostać dłużej, wpatrując się w nieprzenikniony mrok, podczas gdy ona marzła. Widział, że z początku się pilnowała, żeby nie pić za dużo, ponieważ musiała odgrzać kotleciki w kuchence i ułożyć je na półmiskach, a jednocześnie pilnować grilla. Kiedy już wszyscy dostali coś do jedzenia, pozwoliła sobie na więcej luzu. Do tego czasu jedno albo dwoje najmniejszych dzieci zostało położonych spać w pokojach na piętrze, a reszta bawiła się w chowanego po całym domu, ogrodzie i polach. Słońce zniknęło za liliowymi chmurami na horyzoncie, cienista mgła rozpościerała się pod starymi

jabłoniami, przyczajone albo biegnące dzieci były w niej ledwie widoczne, za to lepiej niosły się odgłosy: tupot, jeśli biegły się zaklepać, albo pisk i jęk porażki. Zabawę organizowały starsze dzieci, jeden z synów Ruth i jakaś dziewczynka. Joni nie rozumiała reguł albo nie chciała się według nich bawić. Biegała i pokrzykiwała, mimo że została już zaklepana.

– Potrzebowałam tego – powiedziała Elise, pijąc łąpczywie poncz, gdy odprężyła się i rozsiadła wygodnie w wiklinowym fotelu. – Marzyłam o tym drinku przez cały dzień. Czy nie jest doskonały? Co za doskonały wieczór!

Jedzenie też było doskonałe, wszyscy zgodnie przyznali.

Paul rozmawiał z Carwen, znajomą, która była edukatorką w pobliskim obszarze chronionym, o tym, co czytał tego popołudnia w książce o elegii, o asymetrii w systemach o dużej złożoności, o tym, ile czasu i wysiłków potrzeba, by je zrekonstruować, i jak łatwo, prawie natychmiast, można je zniszczyć. Ta konstatacja była równie prawdziwa w odniesieniu do systemów społecznych i kulturowych, jak i do żywych organizmów.

– To tragedia wbudowana w samą strukturę rzeczy.

– Można tak na to spojrzeć – przyznała Carwen. – Ale jako naukowiec mogę brutalnie stwierdzić, że destrukcja działa również oczyszczająco, tworzy miejsce dla nowych systemów.

– Czyż nie tak tyrani uzasadniali swoje wojny? – spytała Ruth.

– Nie stać nas, by patrzeć na to wszystko w tej skali czasowej – powiedział Paul.

– Nienawidzę słowa „tragedia” – odezwał się ktoś inny. – W naszych czasach wszystko jest cholerną tragedią. Mówi się „tragedia”, kiedy chodzi o zwykły wypadek albo o coś smutnego.

– Nie psuj wszystkim humoru, Paul – powiedziała Elise. – Nie bądź takim mrukiem i smutasem.

Ale Paul dobrze się bawił. Nadzieje związane z nową książką podniosły go na duchu. I odczuwał sympatię do ludzi, nawet do tych, których nie znał zbyt dobrze, nawet do Ruth. Ruth wyglądała ładnie, miała na sobie luźną długą koszulę ze wzorzystego materiału i dzinsy, dzięki czemu sprawiała wrażenie mniej zasadniczej, bardziej dziewczęcej. Od ich wspólnego nocnego czekania na wydry była dla niego miła – jakby wycofała się nieco ze swojej solidarności z Elise i mu współczuła.

W pewnym momencie zadzwoniła mu komórka i oddalił się w głąb ogrodu, gdzie był lepszy sygnał. Elise zeszywniała, gdy usłyszała dzwonek, i zauważył, że oderwała uwagę od toczącej się rozmowy, próbując się zorientować, kto do niego zatelefonował. Później wezwał ją, żeby mogli porozmawiać. Zachwiała się trochę na wysokich obcasach, kiedy wstała, po czym zsunęła buty ze stóp i przeszła boso po trawie. Po szarym niebie kreśliły swój lot nietoperze. O zmierzchu jej twarz była rozmyta, widział wyraźnie tylko jasne ubranie i ciemny rowek między piersiami w

dekolcie bluzki z odpiętym ostatnim guzikiem.

– Kto to? Gerald? Przyjedzie?

Nie mówiła bełkotliwie, lecz dość agresywnie, jakby między nimi została zdarta jakaś zasłona. Przydeptana trawa wydzielala mocny zielony zapach, który drażnił mu zmysły. Wydawało mu się, że wie, co Elise czuje, zzerana od środka przez myśl, że zbliżyła się do czegoś ważnego, ale nie wolno jej po to sięgnąć, tak że wszystko, co może z siebie dać w tym kobiecym rozkwicie, się zmarnuje.

– To Pia – wyjaśnił. – Muszę jechać. Coś się stało, nie wiem co i nie wiem, gdzie dokładnie jest, ale opuściła mieszkanie i muszę po nią pojechać.

– Cholera jasna, Paul. Do diabła! I tak nie możesz prowadzić. Jesteś pijany.

– Nie jestem. Wypiłem tylko parę kieliszków.

– Dlaczego nie może wrócić do Annelies?

– Jest już gdzieś w drodze. Jechała autostopem, jest na jakiejś stacji benzynowej, ale nie wie dokładnie której. Ma do mnie jeszcze zadzwonić.

– Nie może wsiąść do jakiegoś autobusu?

– Jest w ciąży, El. A ja nawet nie wiem, co się stało. Boję się o nią.

– No dobrze. Jedź.

– Tylko jeszcze pożegnaj się z gośćmi.

XI

Przed uruchomieniem samochodu sprawdził jeszcze w telefonie, czy ma jakieś wiadomości od Pii. Stwierdził, że przeoczył esemesa od Geralda, który napisał, że właśnie do nich jedzie. Nie widział potrzeby, by przekazywać tę informację dalej. Gerald wkrótce zjawi się osobiście.

Paul był pewien, że może prowadzić, chociaż wypił prawdopodobnie więcej niż te parę kieliszków, do których się przyznał. Lubił jazdę nocą. Puste drogi nie były tak banalne jak za dnia – okryte ciemnością przeistaczały się, jakby pędził przez inny, magicznie przemieniony krajobraz. Był pełen obaw o Pię. Nie miał pojęcia, co się stało. Nie chciała rozmawiać o szczegółach przez telefon, ale była zapłakana, małomówna, zdesperowana. Czyżby dowiedziała się o Marku czegoś, z czym nie mogła sobie poradzić? Może go aresztowano albo zostanie wydalony z kraju. Może to coś osobistego, gorzej, jakaś forma dewiacji albo okrucieństwa, którego on, Paul, nie dostrzegł, mimo że był tuż obok. A może Marek tylko czekał, aż zostanie sam z Pią, żeby ukazać swoje prawdziwe oblicze. Kiedy Paul próbował sobie wyobrazić człowieka, którego tak polubił, natknął się na zamknięte drzwi nieznannej przeszłości Marka. Czas spędzony w londyńskim mieszkanku zaczął się już oddalać w jego pamięci, jakby nigdy tego nie przeżył. Kiedy myślał o nim ze swojej perspektywy w Tre Rhiw, był wstrząśnięty częstym używaniem narkotyków, niesprecyzowaną przyszłością, brakiem jakichkolwiek rzeczywistych przygotowań na przybycie dziecka.

Różne lęki tłukły mu się teraz po głowie, ale był też podekscytowany. Oto pędzi przez mrok nocy po córkę, która go potrzebuje. Ta misja ratunkowa wydawała się upraszczać i oczyszczać sytuację – oto wymaganie, któremu mógł sprostać. Na autostradzie mimo późnej pory natrafił na zagęszczenie ruchu, zwłaszcza za mostem do Anglii, gdzie zawężono przejazd do jednego pasa. Na szczęście nie było korków i po niedługim czasie minął przyczynę utrudnień: doszło do wypadku, na miejscu była już policja i karetka. Dwa nieduże samochody stały obrócone o sto osiemdziesiąt stopni od kierunku jazdy, ogrodzenie między nitkami jezdni było wygięte, a wszędzie walały się części wraków i potłuczone szkło. Przesądnie i z szacunku dla ofiar Paul nie rozglądał się za ciężko rannymi, zauważył za to, że wśród fluorescencyjnych kamizelek ekipy ratowniczej na poboczu stało kilkoro oszołomionych młodych ludzi, wyrwanych nagle z normalnego życia i postawionych w obliczu katastrofy. Dodał gazu, pędząc w pustkę autostrady. Kiedy zabręczała komórka, zjechał na pobocze, po zobaczeniu kraksy był bardziej ostrożny niż zwykle. Pia wysłała esemesa, że jest na stacji Strensham, a on odpisał, że będzie tam za niecałą godzinę.

O tej porze stacja świeciła pustkami, klientów było mniej niż pracowników, którzy rozmawiali, stojąc w grupie w holu budynku, i odwrócili się, kiedy Paul wszedł. Jeden mężczyzna pchał na wózkowi wiadro, myjąc podłogę. Paul od razu zobaczył Pię w kawiarni, opatuloną w wiatrówkę i zwróconą do niego plecami, z włosami spiętymi w dwa kucyki i plecakiem opartym o stolik obok. Bardzo był poruszony, widząc ją samotną i tak bardzo znajomą. Kiedy się odwróciła, zobaczył, że znowu nosi ćwiek w dolnej wardze. Była bardzo blada. Nie umalowała się, ze smutną miną wyglądała jak dawniej, w dzieciństwie.

– Boże, chyba nie wytrzymałabym tutaj ani chwili dłużej – powiedziała. – Wszyscy się na mnie gapią.

– Przypuszczam, że tylko się o ciebie martwią. Młoda kobieta w ciąży czekająca samotnie, tak późno w nocy. Robisz wrażenie dość tajemniczej. I co ty sobie myślałaś, żeby jechać autostopem? Powinnaś była od razu do mnie zadzwonić.

– Podwiózł mnie kierowca ciężarówki, ale tutaj skręcał. Jak się jest w ciąży, to nawet lepiej, bo faceci niczego nie próbują.

– Nie wiedziałem, że już wcześniej jeździłaś stopem.

Wzruszyła ramionami.

– No, oczywiście, kiedy to robiłam, nie mówiłam nic mamie.

Kiedy się pochylił, żeby wziąć ją w ramiona, ulegle wtuliła głowę w jego kurtkę.

– Co się stało z Markiem? Dlaczego odeszłaś?

– Nic się nie stało.

– Zrobił ci krzywdę?

Gniewnym ruchem odepchnęła kubek stojący na stoliku, a Paul już o to nie pytał.

– Chcesz jeszcze jedną kawę albo coś do jedzenia, zanim wyruszymy?

Pia chciała już tylko jechać. W samochodzie przejrzała płyty CD w schowku na rękawiczki i oświadczyła, że nie ma do posłuchania nic porządnego. Włączyła radio, które było nastawione na muzykę poważną, i zaraz je wyłączyła. Była podenerwowana, pas bezpieczeństwa niewygodnie układał się jej na ciele, bolały ją plecy i wierciła się w fotelu. Pamiętał, jak Elise robiła w ciąży to samo. Miał poczucie triumfu, że wiezie Pię do domu. Wykonał misję, jaką rozpoczął miesiąc wcześniej, kiedy pierwszy raz pojechał jej szukać. Wiózł córkę do domu, zaopiekuje się nią.

– Nie wyobrażaj sobie nie wiadomo czego – powiedziała, znowu się wiercąc. – Nic się nie stało.

– Coś musiało się stać.

– Zmieniłam zdanie. To wszystko.

– Coś musiało sprawić, że je zmieniałaś.

Wyjrzała przez boczne okno. Ten odcinek autostrady był oświetlony; wysokie słupy latarni migwały mijane przez rozpędzony samochód, a zwisające z nich welony światła nadawały przestrzeni charakter pustego ogromu, jak w katedrze. Potem wjechali na urwisko nad płaską doliną estuarium i zobaczyli z przodu dwa oświetlone łuki mostów przerzucone nad wodą, prowadzące do Walii. Paul się nie odzywał, bo jego słowa mogły przeszkodzić Pii w wyznaniach. Jeżeli dowiedziała się czegoś wstydliwego, pewnie by nie chciała, żeby to odgadł.

– To przeze mnie – powiedziała. – To moja wina.

Jakby stwierdził coś innego, zaczęła przekonywać, że Marek jest dobrym człowiekiem, że on i Anna są mili, uczynni. A Marek naprawdę ją kochał. Była pewna, że chciał założyć z nią rodzinę, że miał czyste intencje.

– Nie wiem, czemu zrobiłam to, co zrobiłam.

– A co zrobiłaś?

To takie głupie, powiedziała. Udawała, że Marek jest ojcem dziecka.

W rzeczywistości nie było to tak okropne, jak brzmiało. Kiedy się do siebie zbliżyli, nie miała pojęcia, że jest w ciąży. Marek jej się spodobał, przychodził do kawiarni, by odwiedzać Annę. Bardzo się o nią troszczył, uważała to za romantyczne. Był inny niż angielscy chłopcy, których znała z uczelni, w porównaniu z nimi wydawał się dorosły. I to on pierwszy się zorientował, dlaczego miała nudności, wypytał ją o okres i w ogóle. Gdy tylko to pojęła, zdała sobie sprawę, że ojcem nie jest Marek, ponieważ miała te same objawy parę tygodni wcześniej, zanim między nią a Markiem do czegokolwiek doszło. Ale on przyjął za oczywiste, że dziecko jest jego. A ona nie wyprowadziła go z błędu. Z początku myślała, że jeżeli pozbędzie się ciąży, to nie ma sensu niczego wyjaśniać. Jednak nie zdecydowała się na aborcję. Daty, które podali jej w szpitalu, potwierdziły to, co już wiedziała, i tym razem okłamała Marka i Annę.

Nagle zaczął padać deszcz. Paul włączył wycieraczki.

– To kto jest ojcem?

– A jak myślisz? James, oczywiście.

– Aha. – Paul zastanowił się nad tym. – A James o tym wie?

Pokręciła głową. Nie.

Przez jakiś czas jechali w zupełnym milczeniu. Minęli miejsce wypadku, który widział w drodze na stację. Wciąż tylko jeden pas był otwarty dla ruchu, ale służby ratunkowe i policja już odjechały. Pracownicy pomocy drogowej ładowali rozbite samochody na lawetę.

– Jesteś na mnie zły – powiedziała Pia. – Wiedziałam, że tak zareagujesz.

– Nie jestem na ciebie zły.

Ale czuł się niejasno zraniony i zawiedziony. Był gotów unieść się słusznym gniewem na Marka i Annę, a teraz czuł się zażenowany i winny, jakby brał udział w oszustwie Pii. Wydawała się uczciwą dziewczyną – uczciwą jasnowłosą Angielką – a w rzeczywistości nią nie była. Wcześniej wyobrażał sobie, że dała się porwać tej przygodzie w dobrej wierze, teraz myślał przede wszystkim o ich zaskoczeniu, obrzydzeniu czy bólu, kiedy przeczytają jej list. Pia zapewniła, że nie będą wiedzieli, jak ją znaleźć – nie znają adresu jej matki i wiedzą tylko, że Paul mieszka gdzieś w Walii. Powiedziała, że zmieni telefon komórkowy. Nigdy nie mówiła im nic o Jamesie. A zresztą i tak nie będą nawet chcieli jej szukać.

Mówiła cicho i niewyraźnie.

– Chcę się poczuć wolna. Po prostu znowu chcę być sobą.

*

Po zjeździe na drogę do wsi poprosiła, żeby zawiózł ją do Blackbrook i tam zostawił. Do tej pory nie przyszło mu do głowy, że córka nie zechce pojechać z nim do Tre Rhiw, przynajmniej na tę jedną noc. Na myśl o powrocie do domu bez Pii spanikował i stracił panowanie nad sobą, zatrzymując wóz na trawiastym poboczu tak, że pędy jeżyn smagneły boczną szybę z jego strony.

– Nie bądź niemądra. Jest druga w nocy. Nie możemy ich obudzić o tej porze. Sprawa może poczekać do rana.

– Pójdę do drugiego domu. Tylko Jamesa obudzę. Próbowałam do niego zatelefonować, ale wyłączył komórkę.

– Myślę, że powinnaś mnie posłuchać, skoro już dowiozłem cię tak daleko.

Pia odpięła pasy i otworzywszy drzwiczki, wygramoliła się z wozu. Chłodny podmuch wdarł się do ciepłej kabiny, mijający deszcz nawilżył spieczoną glebę, z której zaczęła bić nieprzyjemna warzywna woń. Paul wiedział, że za nieprzeniknioną gęstwiną przydrożnych leszczyn i tarniny na polach Willisa rosły wysokie na trzydzieści centymetrów zielone pędy.

– Znam drogę – powiedziała Pia. – Trafię sama.

– Nie bądź śmieszna. Widzisz, jaka ciemnica.

– Muszę porozmawiać z Jamesem.

– Porozmawiaj z nim rano.

Ruszyła przed siebie, widoczna w przednich światłach wozu, ociężała, uparta, z wyprężonym grzbietem. Potknęła się o kamień albo na wyboju. Paul pojechał za nią i opuścił szybę.

– A co z twoim plecakiem?

– Poproszę, żeby James jutro po niego przyszedł.

– Dobra, poddaję się, wsiadaj.

Kiedy wsiadła z powrotem, miała ciężki oddech. Pomyślał, że płacze. Opuściła szybę i

wystawiła twarz do okna. Tam, gdzie w Blackbrook rozwidlała się droga, Paul skręcił w tę biegnącą niżej, do przebudowanej stodoły, gdzie mieszkał James. Gdy zbliżyli się do bramy, zapalił się reflektor, a na górze, w głównym budynku, zaszczekał pies. Paul pomyślał, jak nie podoba mu się efekt dokonanego przez Willisa remontu: brak stylu i bijąca po oczach nowość glinianych dachówek i plastikowych okien. Stara stodoła utraciła duszę.

– To naprawdę nie jest dobry pomysł – powiedział.

– Nie przejmuj się.

– Wiesz, że Willis to wariat. I że mnie nienawidzi.

– Nie wszystko kręci się wokół ciebie, tato.

Wysiedli oboje z wozu i Pia nacisnęła dzwonek. Czekali. Zadzwoiła jeszcze dwa razy. Przykucnąwszy na poziomie skrzynki na listy, z rozstawionymi szeroko kolanami, zawołała głosem, który miał być jednocześnie stłumiony i przenikliwy.

– James! James!

Ktoś po drugiej stronie zszedł z łoskotem po drewnianych schodach. Pia ledwo zdążyła się wyprostować, zanim otworzyły się drzwi. Paul zauważył, jak pochyliła się z ulgą do przodu, spodziewając się Jamesa. Ale w drzwiach stała pani Willis – tęga, przysadzista, o szpakowatych włosach przyciętych tak krótko, że sterczały jak włosie szczotki. Nie wyglądała najlepiej, przypuszczalnie wyrwana ze snu, marszczyła brwi odziana w nieprzystająco kobiecą różową koszulę nocną.

– Co się dzieje?

– Przepraszam, Susan – powiedziała Pia. – Nie pomyślałam, że możesz tu spać. Nie chciałam cię budzić. Chodziło mi tylko o Jamesa.

– Czyżby!

Pani Willis wyraźnie się ocknęła, w jej oczach błysnęła inteligencja, gdy zerknęła najpierw na Paula, a potem na zapuchniętą, zapłakaną twarz Pii i jej zaokrągloną sylwetkę. Hol i schody za jej plecami miały w sobie neutralność pensjonatu, bez kojącego nagromadzenia domowych sprzętów, bez bałaganu.

Paul nie mógł się powstrzymać przed typowo angielską, afektowaną reakcją:

– Próbowałem przekonać Pię, że to zupełnie nieodpowiednia pora, ale była nieugięta.

Nigdy wcześniej słowo „nieugięta” nie przeszło mu nawet przez gardło.

– Czy jest tutaj? – dopytywała się Pia, zdesperowana.

W tym momencie na schodach pojawił się James w za dużej koszulce i bokserkach. Jego gołe nogi pokrywało złociste owłosienie. Twarz miał opuchniętą od snu. Potknął się i w ostatniej chwili uchronił przed upadkiem głową w dół, chwytając się poręczy. Susan Willis wciąż

wpatrywała się w Pię, zastanawiając się i analizując sytuację – ale nic nie zapowiadało wybuchu oburzenia albo rozpacz. Paul wcześniej widywał ją tylko przelotnie. Tylko parę razy zamienił z nią słowo, kiedy rodzina wysłała go po lody do prowadzonego przez nią sklepiku. Nie zauważył w niej wcześniej tych pokładów ironii. Może spała tutaj, żeby nie dzielić łoża z mężem.

– Córka chce porozmawiać z Jamesem – powiedział Paul. – Ale możemy wrócić rano, jeżeli uzna pani, że tak będzie lepiej.

– Może zostać, jeśli chce – powiedziała z wahaniem Susan Willis. – Jeżeli James chce.

– Co? – zapytał James. – Co ona tu robi?

– Chce z tobą porozmawiać. I wygląda na to, że jest o czym.

– To nie ma nic wspólnego ze mną.

– Przeciwnie, ma – odezwała się Pia.

– To samo wyznała mi – wtrącił Paul – w samochodzie, kiedy tu jechaliśmy.

– Tylko udawałam, że jest inaczej. Raz byłam bardzo blisko powiedzenia ci prawdy. Kupiłam bilet na Paddington, ale nie wsiadłam do pociągu. To znaczy wsiadłam i wysiadłam w ostatniej chwili.

– Nie wierzę ci – odparł James.

Pocierał pięściami oczy, był wstrząśnięty, wyrwany z głębokiego młodzieńczego snu, wąpiący i oporny. Pia też wyglądała na wstrząśniętą, jakby wyznanie nie spotkało się z taką reakcją, jakiej się spodziewała.

– To dziewczynka – powiedziała nieśmiało. – Podobno dziewczynka.

*

Kiedy Paul się urodził, jego matka spodziewała się córki, mieli już nawet wybrane dziewczęce imię. Był taki stary przesąd wśród położnych: zawieszało się obrączkę na nitce nad brzuchem ciężarnej i patrzyło, jak kręci się obrączka, zgodnie z ruchem wskazówek zegara czy odwrotnie. Przesąd okazał się niewart funta kłaków. Evelyn nie była jednak zawiedziona – raczej jej ulżyło. Powiedziała mu raz, że nie chciała córki, którą czekałoby życie wypełnione harową. Syn mógł się z tego wyrwać, wywalczyć sobie inne życie. Może zresztą zmieniła zdanie później, kiedy Paul, zaabsorbowany innym, lepszym życiem, zostawił ją samą – nie odwiedzał jej dostatecznie często, nie umiał rozmawiać przez telefon o niekończących się, istotnych szczegółach jej dnia codziennego. Córka mogłaby się jednak okazać lepsza w tej dziedzinie.

Paul siedział przez jakiś czas w samochodzie po tym, jak Pia znikła za drzwiami domu Willisów. Evelyn, kiedy jeszcze żyła, byłaby niepokieszona, gdyby się dowiedziała, że Pia jest w ciąży, a nie ma męża. Nie zrozumiałyby, dlaczego wszyscy podchodzą to tego tak spokojnie, jakby to był drobiazg. Świat się zmienił, a stare formy, które zdawały się tak ważne jak samo

życie, zostały porzucone i zapomniane. Nie było teraz żadnego miejsca, gdzie mógłby się udać, żeby wspominać matkę. Może jej nazwisko zapisano w księdze w krematorium – czy też robiono to tylko w kościołach? Długa lista nazwisk wypisanych starannie czarnym atramentem, z haftowaną zakładką na otwartej stronie pokrytej martwymi owadami i kurzem... Wolał myśleć o niej w mroku. Znowu go nawiedzała, odkąd wrócił do domu – ale z mniejszą intensywnością. W swej martwej postaci, w jego snach, zdawała się nawet skłonna do wybaczenia, supły jej lęków i obaw były luźniejsze. Paul ze zmęczenia o mało nie zasnął w samochodzie. Z trudem i niechęcią pokonał ostatni kilometr drogi.

*

Kiedy przeszukiwał dom, nie był pewien, czego się spodziewać. Czy gdzieś tu jest Gerald, z Elise? W kuchni stały stosy brudów po imprezie, brudne talerze, rzędy pustych butelek, resztki jedzenia, których nikt nie włożył do lodówki. Na piętrze na podłodze w pokojach dziewczynek były rozłożone dodatkowe materace, dzieci leżały zwinięte w kłębki pod kołdrami i w śpiworach, wszystkie spały wśród śladów przerwanej nagle dzikiej zabawy, przy przewróconym pudle z zabawkami i walających się po podłodze baśniowych kostiumach. Dotknął drzwi do sypialni po drugiej stronie korytarza. Jak zawsze były otwarte. Odchyliwszy się bezgłośnie, ukazały światło z półpiętra odbite w lustrze, nietkniętą białą kapę na łóżku, otwartą kosmetyczkę Elise na toalecie i wysypujące się z niej kredki, pęsetę, cienie do powiek. Otwarte suwane okno dzwoniło cichutko, ze skropionego deszczem ogrodu unosiły się zapachy ziemi i roślin. Ćmy trzepotały skrzydłami, objając się o ściany kulistego jaśniejącego lampionu na schodach za jego plecami.

Elise, o dziwo, nie było.

Czy wszystkie te dzieci są bezpieczne, same w domu, bez jej opieki?

Zdawało mu się, że za oknem zobaczył blade postaci na polanie. Zszedł znowu na parter, specjalnie hałaśliwie, odkręcił wodę w kuchni, wołając Elise przez tylne wyjście. Przystąpił próg oświetlonych drzwi, a kiedy szedł przez podwórze i ogród, miał wrażenie, jakby napał ciałem na skórę ciemności, a potem przedarł się przez nią i musiał teraz stąpać ostrożnie i unosić kolana, brodząc w czymś gęstszym niż powietrze, nie do końca pewien, gdzie stawia stopy.

– El? Gdzie jesteś?

Ona też zdawała się przez coś przedzierać, kiedy nagle mrok się rozrzedził i wyłoniła się z niego. Włożyła na bluzkę sweter, ale po jej wzroście w stosunku do własnych barków zorientował się, że nadal jest bosa. W przestrzeni między nimi wyczuł jej znajome sceptyczne spojrzenie, niewidoczne w ciemności.

– Paul, to ty? Co zrobiłeś z Pią?

– Zostawiłem ją w Blackbrook. Chciała być z Jamesem.

– To dobrze, bo na wszystkich materacach śpią już dzieci. Co się stało? Dobrze się czuje?

Paul opowiedział jej z grubsza o oszustwie i ucieczce Pii, o tym, jak obudzili Susan Willis w środku nocy.

– Nie mogę uwierzyć, że jesteśmy teraz genetycznie wymieszani z tymi okropnymi Willisami. Co za koszmar.

Elise przyznała, że już wcześniej podejrzewała, że coś z wiekiem ciąży jest nie tak. Bo na zdjęciach, które Pia przysłała Becky, brzuch był za duży.

– Impreza się udała? Co się działo, jak mnie nie było?

– Impreza była pijacka. Za dużo wypiliśmy.

– Na wesoło czy agresywnie?

– Teraz jestem trzeźwa. Wytrzeźwiałam już kilka godzin temu. Poszłam sama na spacer pod jabłonie. Zdumiewające, co można zobaczyć i usłyszeć w ciemności. Oczy się przyzwyczajają. Było tam cudownie.

– Gerald się zjawiał?

– Owszem, zjawiał się – odpowiedziała swobodnym, lekkim tonem. – Ale wiesz, jaki on jest. W towarzystwie nawet słowem się nie odezwie. Szalu można dostać. Człowiek się zastanawia, czy on wszystkich ocenia, czy tylko nie zwraca na nich uwagi.

– No, nie przepada za imprezami.

– Ktoś wyniósł na dwór głośniki i tańczyliśmy, ale Gerald nie chciał się bawić. Potem ani się obejrzałam, a zniknął. Przypuszczam, że odjechał ostatnim pociągiem. Ale powiedziałam mu, że może zostać. Przecież przez kilka tygodni, kiedy chorował, to był niemal jego dom. Zbliżyliśmy się do siebie, opiekowałam się nim. Jednej nocy musiałam go tulić przez wiele godzin, Paul, bo dostał napadu paniki. Do niczego nie doszło, ma się rozumieć, tylko go tuliłam.

Paul zamyślił się i powiedział:

– No trudno. Wiesz, jaki on jest. Przychodzi i odchodzi. Żyje w swoim świecie.

Pochodnie ogrodowe wetknięte w doniczki z kwiatami dawno się już wypaliły, na podwórzu było ciemno. Zajrzeli przez okno do rozświetlonej kuchni, zobaczyli stopy brudnych naczyń, tłuste resztki jedzenia, nieodstawione na miejsca krzesła, pęki wysuszonych ziół, laleczki ze słomy i pocztówki przypięte pinezkami do belek, okryte grubą warstwą kurzu, i karteczki ze szkolnymi wiadomościami na drzwiach lodówki.

– Ktokolwiek mieszka w tym domu – powiedziała Elise – cieszę się, że to nie my. Ale mają burdel.

– Ja też się z tego cieszę.

– Co by to była za udręka, gdybym teraz musiała tam wejść i zabrać się do zmywania.

Głos miała beztroski, ale kiedy masował jej ramiona, wyczuł jej rozczarowanie i upokorzenie, opór mięśni zasupłanych niczym liny. Sweter zsunął się mu spod palców na jedwabnej bluzce. Odnosił wrażenie, jakby poprzez swoje dłonie nawiązał kontakt z jej wzburzonym życiem wewnętrznym, które w większości było dla niego tajemnicą: głębsze i bardziej chaotyczne, niż kiedykolwiek okazywała w ich rozmowach. Poczuł, że ledwo ją zna, mimo że jest jego żoną i matką jego dzieci. Kiedy się poznali, pociągała go, bo zdawała się spełniona i nieustraszona, z całą tą radosną pewnością siebie charakterystyczną dla klasy, z której pochodziła. Teraz zdawało się, jakby wykraczała poza tę tożsamość – wyzwała się z niej niczym wąż z wylinki – stając się kimś nowym i nieprzewidywalnym. Poczuł niepokój i pożądanie, wyobrażając sobie, jak spacerowała samotnie, zanim wrócił do domu, pod koronami drzew, po polanie, gdzie wcześniej o zmierzchu bawiły się dzieci. O czym rozmyślała przez cały ten czas?

– Nie wchodźmy jeszcze do środka – powiedział. – Pospacerujmy.

– Jest strasznie późno. Będziemy jutro kompletnie padnięci. A dzieciaki zerwą się o świcie.

– Wiem. Ale tak tutaj miło.

Z początku oboje znowu byli oślepieni, kiedy zawrócili do ogrodu, bo za długo zaglądali do oświetlonej kuchni. Paul obiecał, że wstanie rano i sam zajmie się dzieciarnią.

– Dobrze – zgodziła się Elise. – Nie mam nic przeciwko takiej obietnicy.

TYLKO DZIECI

I

Cora na dzień przed swoim ślubem, dwanaście lat temu.

Obudziła się przed świtem w domu rodziców, w swoim dziecięcym łóżku, słysząc szum i bębnienie deszczu o dach, chlupot w rynnach. Firanki, wywiane przez otwarte okno, zamokły u dołu. Wstała i uklękła na siedzisku przy oknie, gdzie wciąż były ustawione jej pluszowe misie i stare lalki – z przyzwyczajenia, nie była infantylna, ale też dzieciństwo skończyło się dla niej niedawno. Dom stał naprzeciwko wąskiego pasa parku. Wychyliła się przez okno, wdychając świeżość nasiąkniętej wodą ziemi i zmokłych, rozkołysanych drzew. Nie przejmowała się, że deszcz zepsuje uroczystość, nie obchodziły jej powierzchowne aspekty ślubu i wesela, ta zewnętrzna skorupa, która tak bardzo zajmowała jej matkę: kwiaty, goście, jadłospis. Cora nie wychowała się w atmosferze wiary i nigdy nie należała do żadnego Kościoła, ale miała silne religijne instynkty; skupiała się na sakramentalnej tajemnicy ceremonii, w której miała wziąć udział. Wyobrażała też sobie siebie jako jedną z tych poważnych, namiętnych kobiet, o których czytała w powieściach, Kitty w „Annie Kareninie” czy Annie Brangwen w „Tęczy”. Deszcz wydawał jej się błogosławieństwem, siedziała samotnie przy oknie w oblanej poświatą piżamie, wybiegając myślami daleko w noc. Miała wizję siebie samej jako postaci poza własną samowiedzą, emblematycznej, prawie jak święta ofiara.

Zresztą rano i tak się rozjaśniło, słońce świeciło na trawę w parku, która była usiana perłowymi kropelkami rosy, gdy z ojcem pod rękę, szorując białą suknią brudny chodnik w centrum Cardiff, Cora szła od frontowych drzwi domu do kościółka na rogu. Zwykle chodzili do tego kościoła tylko na koncerty; Cora grała tu na klawecie, a koncerty organizowała jej nauczycielka muzyki. Matka cierpiała straszliwe męki, tak bardzo chciała podnieść suknię z mokrego brudu, ale bała się zrobić to wbrew swojej upartej córce. Corze podobało się, jak ciężki materiał sukni i halki oplątuje jej nogi, podobali jej się przechodnie, ludzie z psami w parku, którzy przystawali, żeby na nią popatrzeć, i śmiała się z matki.

Dzisiaj myślała o tych scenach ze zgryźliwym szyderstwem. Na samo wspomnienie robiło jej się niedobrze.

Dzisiaj nie była w stanie nawet mieszkać z Robertem pod jednym dachem. Znowu mieszkała w domu rodziców, spała w swoim starym pokoju, chociaż po kapitalnym remoncie.

*

Robert czekał, aż Cora wróci z pracy w bibliotece. Nie miał kluczy do domu, więc czekał w parku. Wiosna była tego roku gorąca. Zdjął pulower i zawiązał go sobie wokół pasa, czując, że

wśród nielicznych ludzi z psami i matek z wózkami i małymi dziećmi rzuca się ludziom w oczy jeszcze bardziej niż zwykle (miał metr dziewięćdziesiąt trzy, był piętnaście lat starszy od Cory, duży i byle jak poskładany do kupy, niezdamy). Nie wziął żadnej torby, tylko niedużą teczkę, bo przypuszczał, że później wróci pociągiem do Londynu. Nie rozmawiał z Corą od tygodni. Nie odbierała jego telefonów, a o pracy w bibliotece wiedział od jej siostry.

Cora się go nie spodziewała. Był dość wysoko postawionym urzędnikiem Home Office, więc ze spokojem myślał o rozmowie, jaką musiał z nią przeprowadzić. Trzeba było zadać kilka pytań wprost i uzyskać jej zgodę na załatwienie paru spraw, bo należy je wreszcie uregulować. Był przyzwyczajony do stanowczego działania w niekorzystnych okolicznościach, z którymi trzeba się pogodzić. Niepokoiło go tylko, jak Cora zareaguje na jego widok. Czy wpadnie w gniew, widząc, że się tak na nią zaczął? Co zobaczy w jej twarzy, zanim przywdzieje tę ochronną maskę odrazy, do której już się przyzwyczał? Instynkt nakazujący ucieczkę? Cora była wysoka – nie tak wysoka jak on, ale jako para zajmowali sporą przestrzeń – miała długie nogi, wąską talię, kształtne biodra. Pamiętał, że nieźle biegała, jako nastolatka osiągała nawet pewne sukcesy na poziomie mistrzostw hrabstwa w sprincie – ale trenerzy stwierdzili, że jej technika jest zbyt dziwna, by można było liczyć na więcej, przy jej dużych stopach odchylających się na boki i nadgarstkach wygiętych do góry. Cora przyjęła to ze spokojem, wielogodzinne treningi i tak ją nudziły. Wolą poezję.

Ostatecznie się okazało, że niepotrzebnie się przejmował. Spodziewał się jej nadejścia z innej strony. Cora musiała go obserwować kilka minut i dopiero kiedy za ciemnymi okularami przybrała odpowiedni wyraz twarzy, zdecydowała się zbliżyć i od tyłu dotknąć jego ramienia.

– Cześć. Co tutaj robisz?

Znów ta sztucznie pogodna mina, działająca na niego jak słońce świecące prosto w oczy. Był tak zbity z tropu, że ledwie żonę rozpoznał. Miała na sobie ubranie, którego nie pamiętał, spódnicę i białą lnianą bluzkę z krótkim rękawem. Wyglądała dobrze, ale o dziwo, znacznie starszej, niż sobie wyobrażał. Przekonał się teraz na własne oczy, jak doskonale się dopasowała do tej najnowszej roli, jak gdyby żyła tak od zawsze – samotnej, zaradnej, dzielnie oddanej swej skromnej pracy, być może z głęboko ukrytymi pokładami cichego cierpienia. Jej dłoń wyglądała na nagą bez obrączki i pierścionka zaręczynowego. Wciąż miała długie włosy, gęste, lśniące i jasnobrązowe, obcięte jak od linijki na poziomie łopatek.

Był tak przeczulony, że ramię zabolowało go w miejscu, gdzie go dotknęła.

– Przepraszam, że nachodzę cię tak bez uprzedzenia. Ale nie chciałaś ze mną rozmawiać przez telefon, więc wydało mi się to jedynym...

– W porządku. Nie szkodzi. Chcesz wejść? Masz szczęście, że zauważyłam, że tu stoisz. Jak

długo byś czekał, gdybym cię nie zobaczyła? Gorąco mi, muszę się napić czegoś zimnego.

Na stopniu przed drzwiami sięgnęła do słomianego kosza po klucz i przez chwilę nie mogła go znaleźć. Przez te lata, które razem spędzili, zgubiła niezliczone klucze, byłoby upokarzające, gdyby zgubiła kolejny również teraz. Ulżyło mu nie mniej niż jej, kiedy wydobyła klucz spomiędzy portmonetki, jabłka, kremu do opalania, komórki, kosmetyczki, książki, chusteczek.

*

W domu panował błogosławiony chłód i cień, bo przed wyjściem w południe (praca w bibliotece nie była pełnoetatowa) Cora zasłoniła wszystkie okna. Bez pytania przygotowała Robertowi dzin z tonikiem – zawsze go pił. Sobie naala toniku, dorzuciła lodu i plasterek cytryny, a potem, po chwili wahania, dodała dzinu. Stali w kuchni.

– No więc...

– Nie chcę ci się naprzykrzać – powiedział. – Chodzi tylko o parę praktycznych rozwiązań, w sprawie mieszkania i tak dalej. Oczywiście jego połowa jest twoja.

– Nie chcę połowy mieszkania.

– Wszystko to jest w gestii prawników. Ale powinienem usunąć twoje nazwisko z hipoteki, na wypadek gdyby coś mi się stało i pociągnięto by cię do odpowiedzialności. No i powinniśmy skreślić cię jako współwłaścicielkę rachunku bankowego, jak przypuszczam. Jeśli uważasz, że tak będzie najlepiej.

Cierpiał, gdy widział jej nazwisko obok swojego na książeczce czekowej i miesięcznych wyciągach.

– Przywiozłem dokumenty, które powinnaś podpisać.

Położył teczkę na kuchennym stole i zaczął ją otwierać.

– Ale ja niczego nie chcę.

Odwróciła się i z drinkiem w ręku zaczęła chodzić po domu swoim posuwistym krokiem. Robert podążył za nią. Wstydząc się swojego wzrostu, zawsze nosiła buty na płaskiej podeszwie, dzisiaj były to brązowe dziurkowane, ozdobione na noskach kwiatkiem wyciętym ze skóry w tym samym kolorze.

– Nie mogę teraz o tym rozmawiać, Robercie.

– Bardzo ładnie tu urządziłaś.

– O Boże!

Był to niepozorny późnowiktoriański dom, który stał przy wąskim końcu długiego parku. Mniejszy w środku, niż wydawałoby się na podstawie widoku od frontu. Rodzice kupili go wkrótce po swoim ślubie, pod koniec lat sześćdziesiątych. Robert miał teraz kłopoty z dopasowaniem wspomnień z domu swoich teściów do tego, co teraz widział. Odziedziczywszy

go, Cora wyburzyła ściany, łącząc dwa salony w jeden duży, wydłużyła kuchnię, która przechodziła w nową oranżerię, wycyklinowała podłogi, pomalowała wszystko na biało i pozbyła się większości starych mebli. Zleciła prace budowlane, kiedy wciąż mieszkała z nim w Londynie, z początku rozmawiali o sprzedaży domu po ukończeniu remontu. Robert zauważył, że niektóre z oprawionych map geologicznych jej ojca wciąż wiszą na ścianach – zachowała je przypuszczalnie ze względu na walory estetyczne. Samo pytanie dręczyło go jako problem metafizyczny: czy wciąż jest to ten sam dom, w którym mieszkali Alan i Rhian, czy należałoby raczej myśleć o sekwencji domów rozkwitających jeden po drugim w obrębie tych samych murów i stropów, kamieni, cegieł i drewna.

Cora przeżywała obecność Roberta jako wstrząs całego organizmu, oddychała z trudem i niemiarowo, jej głos zdawał się wyższy i bardziej dziecinny, nieprzyjemnie dzwonił jej w uszach i pod czaszką. Kiedy Roberta nie było w pobliżu, umiała skurczyć go w myślach do rozmiaru małej, poręcznej zabawki, zapomniała, jak ją przytłaczał, jak zasłaniał jej świat. Pokoje domu – w którym teraz wiodła nowe życie – wydawały się mniejsze, gdy wszedł do nich, poza tym nie był właściwie zainteresowany jej gustem, na przykład uroczymi kubkami, które wybrała każdy z osobna, by pasowały do wystroju kuchni. Miał nawyk schylania głowy, kiedy wchodził w drzwi, nawet jeśli nie było takiej potrzeby. Czula jego zapach – niby nie taki zły: potu, wełny, mydła i czegoś jeszcze, jakby dębu z nutą cytryny – ale przytłaczająco męski i silny. Miał na sobie okropną koszulę; wiedziała, że kupił ją w celofanowym opakowaniu, kiedy wracał z pracy, w jednym z tych sklepów dla turystów. Jego włosy – koloru bardzo ciemnego starego tytoniu, poprządkane siwizną – opadały na kołnierz. Powinien się wybrać do fryzjera. Nie potrafiła spojrzeć mu w tę skomplikowaną, znękaną twarz, na gęsto sypiącą się brodę i obwisłe policzki, bo napawała ją wstydem. Nie mogła teraz znieść wcześniejszej zażyłości i intymności z Robertem.

Bez pytania, w jej ascetycznym, białym salonie, włączył telewizor i przystanął, oglądając serwis informacyjny, grzechocząc kostkami lodu w szklance i pomrukując ironicznie, gdy usłyszał jakąś polityczną wiadomość, o której oczywiście wszystko już wiedział, znając sprawę od podszewki. Czy miała tak stać i czekać we własnym domu, podczas gdy on nadrobi zaległości w najnowszym skandalach? Stanowczym ruchem odsłoniła żaluzje w oknach od frontu i na nagie deski parkietu padły śmiałe prostokąty światła. Nic nie było w stanie wstrząsnąć jego hierarchią wartości, gdzie praca stanowiła niezmiennie zewnętrzną formę, w obrębie której trzeba było odpowiednio ułożyć sprawy osobiste. Kiedyś Cora z dumą przycinała swoje potrzeby i aspiracje, żeby się do tej formy dopasować.

– Jestem zaskoczona, że znalazłeś czas, żeby tu przyjechać – zauważyła.

Uznał, że w biurze poradzą sobie bez niego przez jedno popołudnie, odpowiedział niewinnie.

Tylko jedno popołudnie.

– Niczego od ciebie nie chcę – powiedziała, żeby zwrócić jego uwagę. – Jeżeli cokolwiek mi zostawisz, a potem umrzesz, przekażę to po prostu Frankie.

– Będziesz miała oczywiście taką możliwość – odrzekł rozsądnie. – Zresztą w najbliższym czasie nie wybieram się na tamten świat. Chciałbym jednak, żebyś przyjęła teraz ode mnie trochę pieniędzy, póki się nie urządzisz. Miałabyś do tego wszelkie prawo, każdy sąd by ci je przyznał. W końcu dołożyłaś się do naszego mieszkania. – Wyłączył wiadomości. – Fajny telewizor.

– Chcesz mi zapłacić, żeby mieć nade mną kontrolę.

Żeby było zabawniej, doskonale pamiętał, jak powiedziała dokładnie to samo swojej matce, kiedy przed laty kłóciły się o ślub i wesele. Wtedy była to bzdura, wkrótce potem Cora i Rhian popłakały się i pogodziły, tak jak zawsze. Czy teraz była to prawda? W pewnym sensie rzeczywiście chciał mieć nad nią kontrolę, ale z całą pewnością pozbył się już złudzenia i wiary, by było to możliwe. Obolały i nieszczęśliwy, wierzył mimo wszystko, że naprawdę nie życzy jej w tym nowym przedsięwzięciu, jakim było mieszkanie tutaj, aby poniosła klęskę albo czegoś jej zabrakło. Sam zresztą nie potrzebował tych pieniędzy. Ale na wypadek gdyby miała rację, wolał nie naciskać i poprosił tylko, żeby podpisała papiery dotyczące ich wspólnego rachunku bankowego.

– Wszczęto dochodzenie w sprawie tego pożaru w ośrodku – powiedział. – W przyszłym tygodniu będę składał zeznania.

– Frankie mi mówiła. Aha, przypomniało mi się: przyjeżdża do mnie na weekend, z dziećmiakami.

Frankie, siostra Roberta, była bliską przyjaciółką Cory i jej równolatką. Dzięki niej się poznali. Cora i Frankie studiowały razem na anglistyce w Leeds, znacznie starszy brat Frankie zdołał wygospodarować trochę czasu ze swoich wielu zajęć, aby przyjechać na uroczystość wręczenia dyplomów.

– Wiem. Powiedziała mi. Nie może się już doczekać. Nie boisz się tej inwazji?

Cora drgnęła, jakby ją przyłapał. Dom mógł źle znieść pobyt dzieci; miał białe ściany, dywany na gładko lakierowanych parkietach, na których można się było ślizgać, a skarby były wystawione na niskich półkach.

– Nie jestem samotna, wiesz – powiedziała gniewnie, kończąc jak zwykle śmiałym zawijaszem swój czytelny podpis.

*

W bibliotece Cora czuła się czasem, jakby spadła na dno głębokiej studni. Było to dosyć przyjemne. Wcześniej nie wiedziała, że jest praca tak mało angażująca wewnętrznie, dająca tyle

miejsca na marzycielstwo. Z początku myślała, że ma obowiązek zachęcać wypożyczających, zagadywać ich na temat książek, które wybierają, ale szybko się przekonała, że gdy próbuje to robić, patrzą na nią z przykrym zdziwieniem, jakby lektury były ich prywatną sprawą, a ona włąziła z butami w ich osobiste życie. Jej zadanie, uświadomiła sobie, polegało właśnie na tym, by zachowywać się jak najbardziej neutralnie, nie przejawiać gorliwości ani zaangażowania. Wymiana z rąk do rąk, jaka odbywała się przy jej biurku – branie książek, otwieranie ich, przybijanie pieczątki z datą na karcie, oddawanie ich wypożyczającym – była kojącym obrzędem wspólnotowym. Nawet kiedy pomagała imigrantom ubiegającym się o azyl, którzy przychodzili, żeby wyszperać informacje w Internecie, nigdy nie rozmawiała z nimi o treści tego, czego szukali. Starali się tylko wspólnie to znaleźć. To zwolnienie z wysiłków nawiązywania więzi towarzyskiej było wygodne dla obu stron. W Londynie przez osiemnaście miesięcy odwiedzała emigranta, któremu nie udało się uzyskać statusu uchodźcy i oczekiwał na deportację (problem dotyczył nie Wielkiej Brytanii, ale władz Zimbabwe, gdzie kiepski stan urzędów uniemożliwił przesłanie niezbędnych dokumentów). To wspomnienie wciąż wywoływało wyrzuty sumienia i zagubienie: nie lubiła go i ostatecznie go zawiodła.

Jeśli pracowała akurat na porannej zmianie, pierwsze jej zadanie polegało na przeglądzie sanitarnym placówki, upewnieniu się, że biblioteka została wysprzątana, półki są solidnie przymocowane do regałów i nikt nie potknie się o pofałdowany dywan. Miała również wyjść do niewielkiego ogródka i sprawdzić, czy narkomani nie pozostawili tam zużytych igieł. (Jak dotąd jeszcze ani jednej nie znalazła, może problem występował przy bibliotekach bliżej centrum). Jej biblioteka stała przy skrzyżowaniu, obok ruchliwej drogi będącej trasą wylotową z miasta. Budynek został ufundowany przez Carnegiego na początku dwudziestego wieku i wyglądał jak dziwnie zdeformowany kościół z nawą i transeptem oraz wysokimi oknami z zielonkawymi szybami, był żalobnie wyniosły w stosunku do sąsiednich przysadzistych domów, gwarnej ulicy pełnej sklepów i fast foodów, oryginalnych kafejek, tanich sklepików i zakładów fryzjerskich. Nad wejściem widniał wykuty w kamieniu napis: „Wolny i darmowy dostęp dla wszystkich”, co zawsze Corę wzruszało i napawało nostalgią za idealizmem dawnej epoki, mimo że obecnie tak naprawdę znacznie więcej rzeczy było za darmo niż wtedy. Z pokoiku dla pracowników widać było wiktoriański cmentarz miejski, objęty ochroną ze względu na swoje walory przyrodnicze. Czasami jadła tam lunch.

Współpracownikom w bibliotece powiedziała, że jest rozwiedziona, co nie było prawdą, przynajmniej na razie. Annette, kierowniczka – o pociągłej, dramatycznie brzydkiej twarzy, rudych włosach i sprężystym, sterczącym biuście – była rozwódką z dorosłymi dziećmi. Z początku Cora odnosiła się z nieufną ostrożnością do jej ostrych ironicznym docinków i

drażliwej skłonności do obrażania się. Zawsze Annette, kpina i obelgą, pacyfikowała pijaków, którym od czasu do czasu zdarzało się zabłąkać do biblioteki. Cora zaczęła naśladować niektóre z nawyków Annette, mimo że kierowniczką była ze dwadzieścia lat starsza. Zaczęła piec własny ciemny chleb do kanapek i dołączyła do chóru, w którym śpiewała Annette, a który spotykał się wieczorem raz w tygodniu i śpiewał wszystko – od Kanonu Pachelbela do wiązanki przebojów Beatlesów. Niedawno w weekend śpiewali na imprezie charytatywnej w centrum handlowym.

W bibliotece hałas uliczny był przytłumiony jak światło zza grubych zielonkawych szyb. Kiedy na zewnątrz padało albo jeśli niebo pociemniało, intymna atmosfera w środku jeszcze bardziej gęstniała, skupiając się wokół stukotu klawiatur komputerowych i pikania czytnika kodów kreskowych. Pod sufitem wisiały na łańcuchach świetlówki. Po ostemplowaniu i wyłożeniu gazet po angielsku, arabsku i w urdu, Cora drukowała listę książek zamówionych przez inne biblioteki z całego kraju, po kolei znajdowała je na półkach, zaczytywała kody i przymocowywała gumkami karteczki z opisem, do której placówki są przeznaczone. Co jakiś czas pracę przerywali jej wypożyczający, którzy mieli jakieś problemy. Bibliotekarze konferowali między sobą ściszonymi głosami.

Kiedy pracowała jako nauczycielka studium policealnego w Londynie, była aktywna i zaangażowana, dawała z siebie wszystko, przygotowując się do zajęć i oceniając uczniów, stawała w obronie swoich podopiecznych i walczyła z bzdurnymi wymogami biurokracji. Zawsze jednak czuła, że ta praca, która w oczach każdego mogłaby się wiązać z prawdziwą zawodową karierą, jest tylko zajęciem tymczasowym, dobrym do momentu, aż znajdzie sobie rzeczywisty cel w życiu. Teraz w bibliotece, gdzie płacono jej mniej niż połowę tego, co zarabiała przedtem, i w niewielkim stopniu wykorzystywała swój potencjał, odniosła wrażenie, że mogłaby się zestarzeć. Starła się jednak nie dać ponieść tej fantazji. Wiedziała, jak człowiek może się sam oszukiwać, wpadając w jeden marazm, gdy nie widzi się nabrzmiewających zmian.

*

Pogoda nie pogorszyła się na przyjazd Frankie, nadal było ładnie. Ścieląc łóżka w pokoju gościnnym w sobotę rano, Cora usłyszała, jak na zewnątrz zatrzymuje się samochód i wysiada z niego cała rodzinka przy powtarzanych słowach zachęty od Frankie i płaczu niemowlęcia. Zeszła na parter i dom wstrzymał oddech, napawając się ostatnimi chwilami pustki i ciszy, kiedy przystanąła na najniższym stopniu. Jedno z dzieci, o dziwo, zadzwoniło do drzwi. „Daj teraz mi!” – Z hałaśliwym podekscytowaniem uchyliło klapkę otworu na listy, zaglądając do środka. – „Jest tam?”. A później wetknęło do środka rączki, machając nimi w półmroku jak w wodzie. Gdy otworzyła drzwi, nagle zrobili się nieśmiali, oboje rozebrani do samych szortów w tym upale, chudzi, wciąż bladzi: Johnny, najstarszy, jej chrześniak, rudy, szurał nogami za swoją

ciemnowłosą siostrzyczką, popychając ją do przodu niczym eksponat.

– Patrz, Coro!

Lulu podniosła rękę, żeby pochwalić się różowymi plastikowymi bransoletkami, zsuwając je w kierunku łokcia, a potem z powrotem na nadgarstek.

– Cześć!

Ściskając ich i witając podniesionym głosem, miała wrażenie, jakby z wysiłkiem wypychała samą siebie z dorosłej samotności. Nie przeżywała niczego takiego w Londynie, kiedy widywała się z dziećmi znacznie częściej, i musiał być to chyba jeszcze jeden aspekt jej nowego życia. Frankie dobrnęła do drzwi ostatnia, objuczona torbami, z dzieckiem opartym o biodro. Po ostatnim porodzie przestała dbać o figurę i wkładała na siebie pierwsze lepsze luźne ubrania, jakie wyciągnęła ze stosu czekających na wyprasowanie – czasami po prostu którąś z koszul męża – i spodnie od dresu. Cora pomyślała niepewnie o swej letniej sukience, na którą się zdecydowała po przymierzeniu przed lustrem kilku innych ciuchów.

– Kurde, ale gorąc! – powiedziała Frankie. – Na autostradzie był koszmar. Marzyłam wprost o twojej cudownej łazience. Potrzywasz go, kiedy będę brać prysznic?

Magnus obudził się z drzemki. Rumiany, z kosmykami kasztanowych włosów przyciemnionych potem i przyklejonych do głowy, pachnący ulanym mlekiem, skrzywił się, gdy trafił w ramiona Cory, i otworzył usta, gotowy do płaczu. Wyszła do kuchni, a potem do ogródka, całując go w czołko i mówiąc czule, żeby go czymś zająć. Lniana sukienka była jednak złym pomysłem, wkrótce się pogniecie i będzie wyglądać jak łachman. Dwoje starszych dzieci nalewało sobie do kubków wody z kranu, stojąc na krześle i chlapiąc wszędzie dookoła, bo za mocno odkręciły kurek. Uwagę malca przykuł kot sąsiadów na murze, potem Magnus odwrócił głowę i z poważnym skupieniem spojrzał Corze w twarz. Przez chwilę wydał jej się uderzająco podobny do Roberta. Otoczona rodziną męża znalazła się w pułapce.

W czasie studiów to raczej Cora, nie Frankie, planowała, że będzie mieć dzieci. Frankie była bystra, najlepsza na roku, pragnęła zrobić karierę akademicką. Było to dosyć zaskakujące dla ludzi, którzy dopiero co ją poznali, ponieważ miała mało subtelną, wyzywającą urodę: okrągłą, różową, ładną twarz, burzę kręconych kasztanowych włosów i łydki, które choć nie miały wtedy ani grama zbędnego tłuszczu, były masywne jak pnie młodych drzew. Farbowała włosy na czarno, obrysowywała oczy grubą czarną kreską, brała narkotyki, ale mimo tych wysiłków z jej twarzy i postaci bił rozsądek i zdrowie. Kiedy Cora zakochała się w Robercie, obawiała się, że utraci przyjaźń Frankie; była to jedna z części starego życia, które była gotowa ze spokojem podeptać dla nowej miłości. Ale od tamtej pory ich przyjaźń rosła tylko bardziej sękata i powyginana, oplatając się wokół wszystkich komplikacji i zaskakujących życiowych zwrotów.

Było tyle drażliwych miejsc, których należało unikać, że obie rzadko choćby próbowały to robić.

Po lunchu Frankie nakarmiła niemowlę. Światło, które odbijało się od lśniącej skóry jej piersi, pulsowało lekko w rytm ssania. Cora ukradkiem przetała szmatką lepkie oparcia krzeseł i brzegi stołu, gdzie wcześniej siedziały dzieci.

– Czy możesz pić kawę? – zapytała.

– A co tam, nie zamierzam się przejmować – powiedziała Frankie. – Robię wszystko. Po pierwsze, nie powinnam jeść tego. Widzisz, jaka jestem gruba.

Oprócz ciemnego chleba Cora upiekła placek z cukinią. Był jeszcze ciepły. Johnny i Lulu wzięli po kawałku do rąk i wyszli do ogródka. Johnny jadł swoją porcję niczym ptak, pochylając głowę do każdego ugryzienia. Lulu próbowała namówić kota sąsiadów do skosztowania swojego kawałka. Frankie westchnęła odprężona, podziwiając sam placek, a także talerzyk, na którym leżał, i kubek z kawą – białą porcelaną ozdobioną niebieskimi listkami.

– Wszystko tutaj jest takie ładne. Nie myśl sobie, że zmieniłam zdanie, jeśli chodzi o ten okropny błąd, który robisz, zostawiając Bobsa. Ale też ci zazdroszczę. Taki tu spokój i porządek. Londyn jest straszny.

– Właściwie to nie ja go zostawiłam. Oboje się zgodziliśmy, że spróbujemy żyć przez jakiś czas oddzielnie.

– Bzdury, on jest zrozpaczony. Zostawiłaś go. To, że jest chorobliwie powściągliwy, nie oznacza jeszcze, że nie cierpi.

– Cały czas próbuje wciskać mi pieniądze. Zjawił się tutaj niedawno, czekał przed domem z teczką pełną formularzy i dokumentów do podpisania. Chce mi przepisać połowę mieszkania. W ten sposób myśli o naszym związku. To okropne. Jakby przede wszystkim chodziło o sytuację prawną, o umowę cywilną. Nie przyszło mu w ogóle na myśl, żeby zapytać, jak się czuję.

– To właśnie pokazuje, jak bardzo cierpi. Sama zresztą wiesz, nie udawaj.

– Powiedziałam mu, że nie tknę z tych pieniędzy ani pensa. Niczego od niego nie chcę.

Frankie stęknęła.

– Myślisz, że jesteś szlachetna, ale w gruncie rzeczy oboje jesteście siebie warci.

Niemowlę puściło jej sutek i usnęło z otwartą buzią z kropelką mleka w kąciku ust. Frankie ułożyła synka ostrożnie w foteliku samochodowym.

– A tak nawiasem, ja też mam nowy plan życiowy – oznajmiła. – Raczej ci się nie spodoba. Ale musisz wykazać się tolerancją, skoro ja toleruję twoje plany. Mój przynajmniej jest cnotliwy. Zamierzam się zająć duszpasterstwem.

– Jak to?

– Ano tak. Zostanę pastorem Kościoła anglikańskiego. Wyobrażasz mnie sobie w koloratce?

– Nie mówisz poważnie. Przecież nawet nie wierzysz w Boga. Byłaś marksistką. Nienawidziłaś establishmentu.

– Kościół jako instytucja jest dosyć skostniały, zgoda. Ale za tą fasadą wciąż jest anarchiczna treść: umiłowanie prawdy i sprawiedliwość społeczna. Te wartości są nam potrzebne.

Frankie zaczęła rozsądnie wyjaśniać, że gdyby urodziła się w Bagdadzie, byłaby muzułmanką, bahaitką albo żydówką, ale w jej sytuacji najbardziej naturalnym wyznaniem jest to, w którym się wychowała, bo choć niedoskonałe i niepełne, splata się z jej historią i kulturą.

– Tak więc uwielbiam, wręcz Kocham, na romantyczną modłę, nasz protestantyzm. Całą tę usilną walkę o łaskę w cichości własnej duszy. Naprawdę mnie to kręci.

– Ale nie wierzysz w te niemożliwe kawałki, że na przykład Jezus zmarł, a potem zmartwychwstał?

Frankie popatrzyła na przyjaciółkę z taktowną cierpliwością, jakby Cora okazała ignorancję albo nie rozumiała jakiejś trudnej idei.

– No wierzę. Chociaż wątpię, czy zastanawianie się nad tym, w co dokładnie się wierzy, może w czymkolwiek pomóc. Przypuszczam, że nie wierzę w zmartwychwstanie dosłownie. Jest to dla mnie wyraz tajemnicy odnowienia, część większej narracji.

Cora poczuła, jak jej twarz tężeje w maskę wrogiej, fałszywej sympatii. Okazało się, że Frankie zaczęła sporadycznie chodzić do kościoła od czasu, gdy urodziła się Lulu. Rozmawiała z pastorem w swojej parafii, a potem z doradcą do spraw powołań i obaj powiedzieli, że może przejść szkolenie w trybie niestacjonarnym, więc postanowiła, że zapisze się, kiedy Magnus pójdzie do żłobka. Gdy Cora próbowała sobie wyobrazić, co Frankie ma na myśli, mówiąc o łasce, odnosiła wrażenie, jakby w jej wnętrzu osiadał popiół, zatykał jej płuca, dusił ją. Czowała się tak, jakby nie miała już duszy, i pomyślała sobie, że ledwo przyjaciółkę zna, że ich więź to tylko nawyk. Miłość jest rodzajem wygodnego złudzenia, pomyślała, tłumi poczucie obcości między ludźmi, którzy są w istocie wiecznie samotni. Prawdopodobnie była bardziej podobna do zgorzkniałej Annette z biblioteki niż do Frankie.

– Co Drum o tym myśli?

Drum, mąż Frankie, pracował w dziale do spraw akcji społecznych jednej z największych organizacji charytatywnych w kraju.

– No cóż, jest oczywiście wojującym ateistą. Ale chyba uznał, że dzięki temu będę szczęśliwa. A przynajmniej dam mu spokój.

Cora zaproponowała, że skoro dzieci bawią się w ogrodzie, może je natrzeć kremem z filtrem UV. Z wnętrza domu pozbyła się, niemal z zapalem, każdego śladu długiego życia rodziców w tym miejscu, jakby nie mogła znieść wspomnienia o nich, a mimo to nawet jej się nie śniło, by

tknąć ogród, oprócz zabudowania jego części oranżerią. Poza tą jedną zmianą ogród wciąż był rozplanowany tak, jak wymyśliła sobie jej matka: niskie mury porośnięte różami, brukowana ścieżka wijąca się w trawie, karłowata grusza, która teraz właśnie kwitła. Tylko że Cora nie odziedziczyła po Rhian talentu do ogrodnictwa. Nic nie rosło tak dobrze jak przedtem: rośliny chorowały, podjadane przez ślimaki, róże były rachityczne i usiane czarnymi plamkami, trawnik zarósł mniszkiem, zapomniała też podlewać rośliny w doniczkach. Czasami wiedziała, że potrzebują wody, i uparcie odwlekała podlewanie. Za każdym razem, gdy wchodziła do ogródka, cierpiała wskutek porażki w jego uprawie.

*

Późniejszym popołudniem Cora, Frankie i dzieci wybrali się na drugą stronę ulicy i ruszyli wzdłuż żeliwnego ogrodzenia do bramy parku, niosąc – oprócz niemowlęcia – koce i poduszki, siatki, jedzenie na piknik, plastikową piłkę do krykieta i piłeczkę tenisową, butelkę różowego wina i kieliszki. Obie kobiety zdawały sobie sprawę, że muszą wyglądać jak na idyllicznym obrazku ze staromodnej książeczki dla dzieci. Inne części parku, który ciągnął się przez wschodnie Cardiff, zostały przeznaczone na wypielegnowane klomby i rabatki, pole do gry w kręgle i ogród różany, a na samym skraju było jezioro i wieża zegarowa w kształcie małej latarni morskiej na pamiątkę wyprawy Scotta na biegun południowy, ponieważ „Endevour” wyruszył z doków Cardiff. Naprzeciw domu Cory ambicje projektantów parku nie były aż tak wybujałe i skończyło się na krętych alejkach, trawnikach rzednących pod rozłożystymi koronami drzew i zakurzonych krzewach. Starsze dzieci już wzięły tę część w posiadanie. Johnny przyglądał się z rezerwą rowerom leżącym w trawie, meczowi piłkarskiemu, bramkom zaznaczonym zdjętymi w ten upalny dzień koszulkami, dziewczynkom, które brodziły w strumyku. Cora bawiła się w tym parku przez całe dzieciństwo, pamiętała pęd strumienia między palcami stóp i śliskie kamieniste dno; pamiętała, jak jej matka obawiała się potłuczonego szkła i tężca.

Zapomniały korkociągu, więc wróciła do domu. Pozostali patrzyli, jak jej letnia sukienka miga między prętami ogrodzenia, gdy mija ich, idąc długim nieśpiesznym krokiem i zadzierając wysoko głowę. Pomachała im, ale Frankie, która rzucała Johnny'emu piłkę do krykieta – potrafił ją odbić z odległości metra – niepokoiła się tym, jak ostatnimi czasy trudno było do Cory dotrzeć. Jej przyjaciółka zawsze umiała przybrać pozę powierzchownej obojętności, jakby miała dodatkową grubą skórę, co Frankie podziwiała i czego zazdrościła; przypuszczała, że aby jej nabyć, trzeba być naprawdę pięknym, jak Cora. Miało to chyba coś wspólnego z tym, że ludzie często patrzą na takie osoby, które z kolei bronią się w ten sposób przed nadmiarem uwagi. W przeszłości Cora była namiętnie oddana swoim przyjaciołom, otwarta i szczerza do tego stopnia, że wydawała się nieskomplikowana w najlepszym tego słowa znaczeniu – imponująco przejrzysta.

Teraz ta spontaniczność wygasła. Oczywiście, wiadomo: utrata złudzeń, ale zwykle się nie wierzy, by mogła ona działać jako wręcz namacalna siła, a przynajmniej nie w tak młodym wieku – w końcu obie były jeszcze sporo przed czterdziestką. W przypadku Cory było to tak, jakby z nagłym trzaskiem opadły ciężkie stalowe żaluzje ochraniające sklepy w okolicach, gdzie szaleje przestępczość. Frankie czuła się rozczarowana swoim bratem i Corą, uważała, że powinni byli wykazać się większą wyobraźnią i nie dopuścić do rozpadu ich związku. Nie powinni byli tak łatwo rezygnować ze wspólnego szczęścia, nawet jeśli problemem był brak dzieci, czemu zresztą Cora zaprzeczała.

Kiedy Cora wróciła z korkociągiem, Frankie przykucnęła na kocu nad butelką wina. Obie odczuwały napięcie, czekał je cały weekend razem, ten czas trzeba było jakoś wypełnić. Frankie przyjechała tu po raz pierwszy, odkąd Cora przeniosła się dziesięć miesięcy temu do Cardiff; nie mogły się doczekać tego spotkania, ale teraz obie liczyły na pierwszy alkoholowy zawrót głowy, jakby się obawiały, że w przeciwnym razie skończą im się tematy do rozmowy – rzecz nigdy wcześniej u nich niespotykana.

– Nie musisz nic mówić, wiem, że tego też nie powinnam pić, póki karmię piersią.

– To takie słabowite dziecko, od razu widać, jak się to na nim odbiło.

Magnus, niemowlę wprost olbrzymie, spał w ocienionym rogu koca, zaciskając krzepkie piąstki. Przypominał Corze różową plastikową lalkę, której zamykały się oczy, kiedy się ją przechylało. Rozmawiały o bibliotece i chociaż Frankie udawała, że rozumie zalety uspokajających rutynowych działań, Cora zachowywała się defensywnie, jakby przyjaciółka zarzucała jej, że marnuje się w pracy, gdzie nie wykorzystuje swojego potencjału intelektualnego i wykształcenia. Cora zapragnęła być sama; jedna z dziewczyn w chórze zaproponowała jej darmowy bilet na coś do teatru – nieważne na co. Mimo to słońce, hałasujące dzieci i swawolny wietrzyk targający różowymi świecami kwiatów kasztanowca czyniły z parku idealne miejsce do rozkosznego wypoczynku.

– Bobs uważa – powiedziała Frankie, pijąc zachłannie wino – że nie możesz mu wybaczyć tego pożaru w ośrodku deportacyjnym. Ale powiedziałam mu, że niemożliwe, żebyś była tak irracjonalna. Jak mogłabyś myśleć, że to jego wina? Owszem, wziął na siebie odpowiedzialność, zgodnie z hierarchią urzędniczą, bo tak się takie sprawy załatwia w administracji państwowej. Ale nie ma w tym nic osobistego. Nie on ponosi odpowiedzialność moralną, tego nikt nie może mu poważnie zarzucić. Więc niemożliwe, żebyś tak myślała.

– Podobno chcesz się zająć działalnością duszpasterską, a twoje pojęcie sumienia wydaje się dosyć rozciągliwe.

– Więc jednak go winisz.

– Oczywiście że nie – powiedziała Cora. – Wiem, że jest bardzo porządnym, dobrym człowiekiem. Tak dobrym, jak ja nigdy nie będę. Ale te ośrodki są okropne, to skandal, że w ogóle istnieją. Nie mogę o tym rozmawiać, to zbyt straszne.

– Czemu powiedziałaś: tak dobry, jak sama nigdy nie będziesz?

– Nieważne – ucięła. – Nie wyobrażam sobie, żeby Robert coś takiego powiedział... o tym, że winię go za pożar. Bez względu na to, co faktycznie myśli, nigdy by czegoś takiego nie powiedział na głos.

– No, może nie w tych słowach.

– Nie powinnaś wkładać mu w usta czegoś, czego nie powiedział. Słowa są ważne.

– Masz rację. Przepraszam.

– W porządku.

– Tylko że akurat wiedziałam, co faktycznie myśli. To mój starszy brat.

– Ale nie mogłaś być tego pewna, nie na sto procent.

Ułożyły się inaczej na kocu, niezadowolone jedna z drugiej. Frankie wyjęła jajka na twardo i jogurty z torby izotermicznej, a Cora położyła się na plecach i podkasła sukienkę, żeby trochę opalić uda. Lulu wybiegła z krzaków i siadła na niej okrakiem, pokazując dżdżownicę w plastikowym wiaderku.

– Patrz, jaki wąż.

– Nie podskakuj na cioci.

– Cora nie jest moją ciocią.

– Nie przeszkadza mi – powiedziała Cora. – Nie podskakuje zbyt mocno.

Ale Frankie i tak wzięła Lulu pod pachy i podniosła mimo protestów i wierzgania chudymi nóżkami. Przez kilka chwil na biodrach i płaskim brzuchu Cory pozostało wspomnienie gorącego żywego ciała, wyraźne i rozpraszające, jak wtedy, gdy w zeszłym tygodniu Cora musiała podnieść szpaka, który wleciał do domu i obijał się o sufity i okna aż do kompletnego oszołomienia – miała wrażenie, że jego przyspieszony metabolizm pozostawił na jej dłoniach ślad, który utrzymywał się jeszcze przez kilka godzin.

*

W czasie pożaru w ośrodku deportacyjnym nikt nie zginął, ale jeden z osadzonych, pięćdziesięciokilkuletni Irańczyk, zmarł na zawał dzień później i dlatego poproszono ombudsmana o przeprowadzenie dochodzenia. Niedawne inspekcje wykazały poprawę porządku w placówce, zwłaszcza w zestawieniu ze skandalami z pierwszych lat jej funkcjonowania, a kontrole bezpieczeństwa były przeprowadzane przez straż pożarną regularnie. Jak zwykle w takich przypadkach zdecydowano, by nie instalować systemu spryskiwaczy – istniało za duże

zagrożenie, że będą się uruchamiały podczas ewentualnych protestów osadzonych – ale Robert nie sądził, by stanowiło to podstawę do poważnych zarzutów, skoro przy poprzednich inspekcjach dokładnie zanalizowano argumenty za i przeciw. Było zresztą jasne, że spryskiwacze nie wpłynęłyby zasadniczo na rozprzestrzenianie się pożaru. Wydawało się bardziej prawdopodobne, że wytknięte zostaną wady w projekcie budynku – architekci nie wzięli pod uwagę konieczności zamykania poszczególnych sektorów ośrodka, aby ograniczyć zasięg zagrożenia – lecz za to akurat nie można było Roberta winić, ponieważ placówka działała już dwa lata, kiedy objął obecne stanowisko. Problem sprowadzał się do odwiecznego napięcia między pozwoleniem, aby osadzeni socjalizowali się w grupie – nie obowiązywał tam bowiem reżim więzienny – a trudnościami z opanowaniem protestów na dużą skalę, a także ze zdyscyplinowaniem osadzonych, aby można było bezpiecznie przeprowadzić ewakuację.

Nie powinno się to skończyć dla nas najgorzej, zapewnił siostrę Robert. Napisze w sprawozdaniu, że te ośrodki nie są zbyt przyjemne. Ale kto mógłby sobie wyobrażać coś innego? Można tylko od nas wymagać, abyśmy postarali się stworzyć w nich możliwie humanitarne warunki. Mogło przecież być znacznie gorzej. Personel przestrzegał procedur, niepokoje, od których wszystko się zaczęło, zostały szybko stłumione, osobnik, który podłożył ogień, był znany z zachowań sugerujących niezrównowagę i trafił do ośrodka dopiero poprzedniego wieczoru, ewakuację przeprowadzono wzorowo, nawet uszkodzenia budynków były niewielkie. Kilku osadzonych, którzy skorzystali z okazji i uciekli, złapano w ciągu paru godzin.

Do pożaru doszło rok temu, kiedy Cora wciąż mieszkała z Robertem w Londynie, w Regent's Park. Nie powiedział jej o nim od razu ani nie wspomniał, jakie może ponieść tego konsekwencje, nie dlatego, że cokolwiek przed nią ukrywał, lecz dlatego, że w tym okresie straciła, jak mu się zdawało, zainteresowanie jego pracą. (Przestała też oglądać wiadomości telewizyjne i czytać gazety). Myślał, że wciąż oplakiwała śmierć matki, ale wcale go to nie krzepiło, czuł się bezsilny ze swoimi argumentami, gdy natrafiał na ślepią siłę jej uczuć, gdzie nie mógł za nią podążyć. Zauważył też, że zaczęła unikać rozbierania się przy nim w sypialni, odwracając się tyłem, żeby nie widział jej nagości, gdy zdejmowała stanik albo majtki, i z pośpiechem wkładała górę od piżamy, jeszcze zanim zdjęła spódnice. On zaś odwracał od niej wtedy wzrok, wychodził do łazienki i bez pośpiechu szorował sobie zęby; dokładał wszelkich starań, żeby uszanować jej prywatność, jej zahamowania udzieliły się w pewnym stopniu także jemu. Weszło im wkrótce w nawyk, że Robert pracował do późna, ślęcząc nad papierami jeszcze długo po tym, gdy Cora skończyła już sprawdzanie prac uczniów i przygotowała się do następnych zajęć. Prawie zawsze spała już albo udawała, że śpi, kiedy się obok niej kładł.

W końcu dowiedziała się o pożarze od Frankie. Kiedy pewnego wieczoru Robert wrócił z

pracy, Cora już leżała w łóżku. Powiedziała, że jest chora, że ma dreszcze i chyba gorączkę.

Wciąż miał na sobie marynarkę i poluzowany krawat, skórę lepką i brudną po przejeździe metrem.

– Może zrobisz sobie przerwę w uczeniu? – zasugerował. – Ta praca cię wyczerpuje.

– Myślisz, że to w tym problem? – zapytała gorzko. Leżała z podgiętymi kolanami i zwinięta prawie w kłębek, odwrócona do niego plecami i wpatrzona w okno, gdzie ostatnie promienie popołudniowego słońca zażółcały prostokąty muślinowych zasłonek.

– Nie wiem. A w czym?

– Już powiedziałam. Jestem chora.

Położył dłoń na jej barku i rzeczywiście, ciało pod cienką bawełnianą tkaniną było rozpalone, prawie go oparzyło.

– Widziałam się z Frankie – powiedziała. – Wstąpiłam do niej po ostatnich zajęciach.

Frankie była wtedy w ciąży z Magnusem, miała jakieś problemy zdrowotne.

– Jak się czuje?

– Powiedziała mi o pożarze w ośrodku dla imigrantów i o dochodzeniu.

Od razu zdał sobie sprawę, że popełnił błąd, nic jej nie mówiąc. Teraz nic nie mogło jej przekonać, że tego przed nią nie ukrywał.

– Nie ma się czym martwić. Jestem przekonany, że wszystko będzie w porządku. W tego rodzaju placówkach dokonano sporo zmian na lepsze, to już nie to co kiedyś.

Próbował ją uspokoić, że nikomu nie stała się krzywda, że mężczyzna, który umarł, był chory na serce, co odnotowano w jego aktach. Muślinowe zasłony wydymał wiatr wpadający do pokoju przez otwarte okno. Cora wyprostowała się i położyła na wznak, spoglądając na niego.

– Robercie, czasami mnie przerażasz. Co czujesz, kiedy mówisz takie rzeczy?

Przyszpilony jej spojrzeniem czuł się przezroczysty, wydrażony w środku.

– Przepraszam. Mówię jak urzędas? Niestety, ryzyko zawodowe.

– Niczego ci nie zarzucam, tylko że używasz tego spokojnego i stonowanego języka, mówiąc o sprawach, które są okropne. Brudne i krwawe.

– To chyba siła przyzwyczajenia.

– Ktoś musi się tym zajmować, wiem – stwierdziła ponuro. – Wiem, że w porównaniu z tobą ja nie robię nic ważnego.

Przez jakiś czas Cora odwiedzała Thomasa, uchodzącę z Zimbabwe. Ośrodek mieścił się w pobliżu Brighton, w starym budynku, gdzie wcześniej była szkoła publiczna. W ogrodzie wciąż rósł rozłożysty cedr – pozostałość po starych czasach – ale osadzeni nie mieli tam wstępu. Nawet jej, jako osobie odwiedzającej, pobierano odciski palców i robiono rewizję osobistą. Wstydlive

szczegóły dotyczące placówki – Thomas powiedział jej, że kiedy go tam sprowadzono, skrepowano mu pasami nogi, żeby nie mógł uciec – wciąż ją nawiedzały. Nie we śnie, ale kiedy była bezbronna, sama ze sobą i dręczona wyrzutami sumienia (stanowiła jego jedyny kontakt ze światem zewnętrznym, a po sześciu miesiącach przestała go odwiedzać). Ale do pożaru doszło w jednym z nowych gmachów wybudowanych specjalnie jako ośrodek dla nielegalnych imigrantów: w ceglanych budynkach na terenach poprzemysłowych, które z zewnątrz wyglądały niepozornie i anonimowo jak magazyny z prefabrykatów. Brutalność wiktoriańskich więzień niosła odstrasżające moralne przesłanie, ciężąc ziemi, na której je budowano, a nowoczesne zakłady były lekkie, zdawały się wręcz prowizoryczne i tymczasowe jak śmiecie czy plewy. Wygląd tych budynków, myślała Cora, stanowił część szerszej wizji, że to, co się w nich przetwarza, nie jest niczym okropnym czy zanieczyszczającym, a tylko ciałem i krwią. Budynki umożliwiały ten beznamiętny język sprawozdań, które Robert czytał... i pisał.

*

Frankie zamierzała pojechać do Londynu w poniedziałek rano, kiedy Cora wychodziła do pracy. Sobotni wieczór okazał się klapą. Obie kobiety obiecały sobie wielogodzinne rozmowy, kiedy dzieci już zasną, ale gdy po przeczytaniu Johnny'emu bajki na dobranoc Cora zeszła na parter, Frankie, która wstawiła naczynia do zmywarki, ziewała już, zmęczona i śpiąca.

– Boże, jestem taka żałosna. To przez to wino i słońce. I cholerne dziecko. Dosłownie śpię na stojąco. Spójrz!

Wystawiła swoją okrągłą twarz do inspekcji – szeroki nos, puciołowate policzki, gęste, proste, ciemne brwi – rozchylając palcami powieki. Jej dziewczęce rysy nabierały powagi, coraz mocniej naznaczone osobowością. Cora zaczęła wierzyć, że szwagierka rzeczywiście nada się na pastora. Gdy tylko Frankie poszła na górę, poczuła się nadmiernie rozbudzona i czujna. Pieczołowicie posprzątała bałagan po gościach, myśląc sobie, że byłaby lepiej pozbieraną matką niż Frankie. Nalała sobie kolejny kieliszek różowego wina i chodziła na bosaka po parterze domu, pragnąc bliskości i wyjaśnień teraz, gdy nie było nikogo, do kogo mogłaby je skierować. Jej urocze pokoje, przez nikogo niepodziwiane, trwoniły swój czar. Okna były otwarte, i odgłosy kroków na ulicy zdawały się nieoczekiwanie bliskie. W kuchni szumiała zmywarka. Normalna cisza domu nabrała innego charakteru poprzez obecność śpiących w nim dzieci, wiercenie się i szelest pościeli, pokasywania i jęki. Niedoświadczona, zatrzymywała się przy każdym nowym odgłosie i nasłuchiwała z niepokojem.

Kiedy zrobiło się ciemno, zapaliła świece, którymi zamierzała zauroczyć Frankie, a potem przez przypadek zerknęła na siebie w lustrze nad kominkiem. Zobaczyła widmo w swoim własnym domu, ze wstrząśniętym i wrogim wyrazem twarzy, zupełnie niepodobnym do

powściągliwej miny, jaką zazwyczaj starannie przybierała. Zwykle rano albo przed wyjściem z domu robiła sobie makijaż i poprawiała ubranie, jakby ciało było zewnętrznym wobec niej manekinem, którego urodę trzeba wyeksponować. Kiedy teraz przyłapała swoje odbicie w lustrze, odniosła wrażenie, jakby coś roztrwonila i musiała za to odpowiedzieć, a nie mogła. Jej twarz była szeroka i rozmarzona, pasowała do cichej pracy w bibliotece. Ze szczęki i kości policzkowych opadło napięcie, wyglądała tak, jakby wytrwale do czegoś dążyła i nie osiągnęła celu. Lustro było stare, przymglone, zabytkowe, dzielone na części jak tryptyk, ujęte w cienką popękaną złoconą ramę. W pustym kominku poniżej był ułożony wachlarz ze złotego papieru i trochę szyszek spryskanych złotą farbą.

Cora nie chciała siebie oglądać ani o sobie myśleć. Ochota na rozmowę, którą Frankie rozbudziła, a później pozostawiła bez zaspokojenia, kładąc się spać, poważnie zaburzyła stały rytm, jakiego nabrało jej życie. Dla uspokojenia włączyła telewizor, ścisząc dźwięk. Przypomniało jej się, jak oglądała telewizję na innym odbiorniku w pokoju z dzieciństwa, gdzie kiedyś umiała w pełni nad sobą zapanować. Tamten salonik był ciasny i oklejony tapetą w stylizowane różowe kwiaty na mulistym zielonym tle – efekt ostrożnej próby jej matki, by wstrzelić się w estetykę lat siedemdziesiątych. Teraz go nie było, a Cora żałowała, że nie zostawiła sobie choćby strzępu tamtej tapety, która musiała być jedną z pierwszych rzeczy, jakie zobaczyła po urodzeniu, chociaż jako nastolatka skarżyła się matce, że czuje się tu jak żaba w stawie. Ale rozpoczęła prace remontowe jakby w gorączce, pragnąc zmienić wszystko po śmierci rodziców, której nie przewidziała i która okazała się straszliwym ciosem. Zawsze myślała, że do późnej starości będą niezależni, bo mieli na to zadatki. Ale tata zmarł na zawał zaledwie dwa miesiące po przejściu na emeryturę i rezygnacji z wykładania inżynierii górniczej w University of Wales. Rok później u matki zdiagnozowano ostrą białaczkę szpikową. Cora wzięła sześciomiesięczny urlop, żeby się nią opiekować.

*

Magnus płakał w nocy kilkakrotnie (biedna Frankie, która próbowała stworzyć mu warunki, żeby przesypiał całą noc), a w niedzielę Johnny i Lulu obudzili się z samego rana. Cora, drzemiąc we własnym łóżku, usłyszała ich, podekscytowanych i ostrożnie wypróbowujących wolność bez dorosłych na parterze domu. Naradzali się ściszonymi głosami, Johnny upominał siostrę i beszał: „Nie wolno tego dotykać!”. Cora uznała, że przy odrobinie szczęścia niczego nie zniszczą ani nie zepsują, i zaczęła się zastanawiać, jak to jest mieć rodzeństwo, z którym można odkrywać świat. Prawdopodobnie będą stapać boso tam, gdzie pierwsze, słabe i długie promienie słońca sunęły po jasnych, miodowych deskach podłogi, ogrzewając drewno; Cora też to lubiła. Będą zachwyceni kotem sąsiadów, miauczącym przez szybę i czekającym na parapecie jak co rano, mimo że

nieugięcie odmawiała mu poczęstunku.

Z rozkoszą przewróciła się na drugi bok pod bawełnianym prześcieradłem, bo noce były ostatnio tak ciepłe, że nie potrzebowała kołdry ani koca. Zamknęła oczy, dryfując na krawędzi snu, z którego się obudziła – snu o długiej sali z kolumnami, tak długiej, że koniec znikał gdzieś w dali. Czasami spanie w pojedynkę, po dwunastu latach małżeństwa, było ogromną przyjemnością, mogła wyciągnąć się z rozłożonymi rękami i nogami w poprzek pustego łóżka, swobodnie jak w stanie nieważkości. Niekiedy przypominała jej się obecność Roberta obok, w ciągu tych ostatnich miesięcy, jego udręczona, przytłaczająca masa obciążała materac po jego stronie do tego stopnia, że Cora musiała się przytrzymywać brzegu swojej części pościelenia, by się na niego nie sturlać. Leżała w napięciu na tym wąskim marginesie z nieprzyjemną ciągłą świadomością jego seksualnej potrzeby („seksualna potrzeba” była wstydliwym eufemizmem jej matki na „te rzeczy”), ale wytrwale ignorowała ją, a on nigdy nie próbował jej tknąć wbrew jej woli. Kiedy indziej w tym nowym życiu samotne noce tak ją jednak rozpały, że spocona od snów i pożądania schodziła na parter, żeby usnąć na siedząco w jednym z foteli. Później jej puste łóżko wydawało się powodem do wstydu, jakby była już stara i wszystko straciła.

Po śniadaniu Frankie zaprowadziła dzieci do pobliskiego kościółka. Magnus spał, a Cora czujnie nastawiała ucha, czy nic się z nim nie dzieje. Przygotowała piknik, przewidując dokładnie do innych rzeczy opakowanie wilgotnych chusteczek, papierowe ręczniki, śliniaczki, pieluchy, zestaw do przewijania.

– Jesteś genialna! – wykrzyknęła Frankie i o mało nie powiedziała, że Cora jest wprost stworzona do macierzyństwa, ale powstrzymała się w porę. Po powrocie z kościoła była uduchowiona, obmyta nowym blaskiem, który czynił ją dla Cory jakby niedostępną. O dziwo, przed wyjściem umalowała sobie oczy, pociągnęła usta szminką i uczesała szopę włosów. Nabożeństwo wpłynęło także na dzieci, przynajmniej na chwilę były poważne i spokojne. Lulu ssła sobie palce zawinięte w rąbek sukienki i wszyscy troje wyglądali jak obraz pełni i łaski. Jakiś daleki krewny Roberta i Frankie, ze trzy pokolenia wstecz, był biskupem; mąż Frankie, Drum, też należał do tego światka – jego rodzina miała duży dom i ziemię gdzieś w Szkocji. Te wzorce ma się we krwi, pomyślała Cora sceptycznie. Obrazu pełni nie zburzył nawet Johnny, gdy zatrzasnął drzwi na nosie siostrzyczki. Potem były wrzaski i płacze, a Frankie krzyczała, że jest „skończonym durniem”. Dawno temu, kiedy poznały się w Leeds, Cora odczuwała różnicę klasową jako trudną do pokonania nierówność terenu dzielącą ją od Frankie, i aby ją pokonać, to Frankie musiała wykonać pierwszy ruch, okazać pańską łaskę. Cora została wychowana na socjalistkę. Jej dziadek od strony ojca był elektrykiem w kopalni węgla i zgłosił się do Brygad Międzynarodowych, żeby walczyć w wojnie domowej w Hiszpanii. Dawniej pałała słusznym

oburzeniem, gdy myślała o ciężkiej i niesprawiedliwej doli swoich przodków w historii.

Drugiego dnia weekendu przyjaciółki dogadywały się lepiej i swobodniej, bo przestały zbyt wiele po sobie oczekiwać. Pojechały do skansenu w St Fagans; niemal beztrąsko puściły chwilowo w niepamięć stare napięcia i szorstkie nawyki swojej zażyłości, były dla siebie miłe, wręcz uprzejme. Powoli chodziły wśród walijskich chałup i dworców wybudowanych w różnych stylach historycznych, dymiące paleniska i kopzące lampy gazowe nadały odpowiedni kształt dniu spędzonemu bez celu. Kupiły mąkę z młyna wodnego, przejechały się furmanką. Na Lulu wielkie wrażenie wywarły kozy, urocze i straszne, a podczas pikniku łaskawie oszczędziły ich osy. Cora poprowadziła ich wzdłuż pierzei maleńkich domów z Merthyr Tydfil, ustawionych chronologicznie, od budynku z lat siedemdziesiątych XX wieku aż po te z początku XIX stulecia, ale nie tak jak zalecano, od najstarszego do najpóźniejszego, tylko odwrotnie, ponieważ jako romantyczna dziewczyna, namiętnie sprzeciwiająca się współczesnej degrengoladzie i rozkochana w bardziej szlachetnej przeszłości, była w stanie znieść podróż tylko w tę jedną stronę. Teraz jednak dławiała ją ta przeszłość, ta ciasnota i stęchlizna, pokrowce na zagłówkach i podłokietnikach, żelazka z duszą, patchworki i wypłowiałe fotografie zebranych dystyngowanych baptystów, samych mężczyzn. Kiedy akurat nikt z pracowników nie patrzył, Frankie zajrzała do masywnej starej Biblii po walijsku, której Cora nie potrafiła przeczytać, mimo że jej rodzina po kądzieli mówiła w tym języku. Żadna z nich nie wspomniała o religii, kiedy weszły do zboru unitarian, zalanego słońcem wpadającym przez okna z bezbarwnymi szybami, z pulpitem ustawionym demokratycznie wśród miejsc dla reszty kongregacji.

Myśl o wymarzonych dzieciach była zawsze daleka, kiedy Cora spędzała czas z Johnnym, Lulu i Magnusem. Zaabsorbowana przez cały dzień ich hałaśliwymi zabawami, radościami i smutkami, z odcisniętymi na skórze gorącymi śladami ich drobnych ciał nie miała kiedy poczuć tego okrutnego ścisku serca, bolesnego braku własnego potomstwa. Nie mogła jednak pragnąć dzieci kogoś innego. Ulży jej – bez względu na to, jak je lubiła – kiedy ktoś inny położy jej wieczorem do snu; nie mogła pragnąć tych skończonych, ukształtowanych osób, które należały do samych siebie. Dzieci Frankie przyprawiały ją o zazdrość tylko wtedy, gdy były daleko, w zredukowanej postaci obecne w jej myślach. Zresztą brak, który kiedyś wywoływał ostry ból, przybierał łagodniejszą formę przygnębienia. Wspaniałe było to, że potrafiła znosić cierpienie w ciszy, tak że nikt jej nie współczuł. Cora wiedziała, że ma do tego naturalny dar. Kiedy chodziła po skansenie z Lulu na rękę i tłumaczyła Johnny'emu różne rzeczy, nie przeciążając go natłokiem nowych wiadomości, miała świadomość, że doskonale sprawdza się w roli mądrej cici albo ulubionej nauczycielki. Niepoddająca się infantylizacji dorosłość dawała niekiedy dzieciom więcej oddechu niż duszna matczyzna czułość. W pewnym momencie, kiedy Frankie poszła z Johnnym

szukać ubikacji, Lulu się przewróciła i rozplakała, przyjmując pocieszenie Cory jako słabą namiastkę tego, co jej się należy. Ale to musiało Corze wystarczyć. Inne rodziny, mijając ich małą grupkę z wózkiem i torbami, nie od razu byłyby w stanie stwierdzić, która z dwóch kobiet jest matką.

Kiedy Magnus spał, a starsze dzieci bawiły się na zjeźdźalni, Frankie zaczęła tłumaczyć Corze, jak nasza współczesna świadomość, pozbawiona przez naukowy racjonalizm wymiaru mitycznego, błąka się w mroku.

– Poddaliśmy wierzenia religijne krytyce z niewłaściwego punktu widzenia, jakby musiały być prawdziwe w naukowym tego słowa znaczeniu. Tak więc staliśmy się osamotnieni z winy naszego intelektu, sami w pustym wszechświecie. Tymczasem potrzebujemy symboli i opowieści, które przedstawiają nam inny wymiar, wykraczający poza rzeczywistość, w której faktycznie żyjemy.

– Ale to, że ich potrzebujemy, nie czyni ich jeszcze prawdziwymi. Może nie ma żadnego innego wymiaru.

– Nie, właśnie fakt, że ich potrzebujemy, nadaje im prawdziwość. Sami powołujemy ten wymiar do istnienia za pomocą naszej twórczej wyobraźni w połączeniu z siłami życiowymi poza nami, które w przeciwnym razie pozostałyby nieznanne. Te siły są niepełne bez naszej wiary, tak jak my jesteśmy niepełni bez ich istnienia poza nami.

Cora nie była zainteresowana tym wywodem, kreśliła nosem sandała wzory w ziemi przykrytej kawałkami kory, którymi wysypano plac zabaw.

– Czy zostawiłaś Bobsa dla innego? – zapytała nagle Frankie. – Masz kogoś?

Cora popatrzyła na nią z zagubieniem i cierpieniem w oczach.

– Nie widzisz, że nie ma nikogo innego?

– Mogłaś go gdzieś ukryć.

– Ale nie ukryłam. Nikogo nie mam.

– W porządku. Nie gniewaj się, że zapytałam. Tak naprawdę wcale nie myślałam, że kogoś masz. Przypuszczam, że gdyby było inaczej, zorientowałabym się, zobaczyłabym jakieś znaki.

– Nie gniewam się.

– Tylko że wciąż nie mogę zrozumieć, co się między tobą a Bobsem popsuło. Bo wbrew wszystkiemu, co was różni, i temu, co ludzie gadali, zawsze uważałam, że jesteście jedną z tych naprawdę dopasowanych par, którym jest ze sobą dobrze.

– A co ludzie gadali?

– No wiesz, to co zwykle. Różnica wieku. Różnice charakteru. Że Bobs jest zbyt trzeźwy i nudny, żeby mieć taką młodą żonę.

Cora wyobraziła sobie taką dopasowaną parę jak na jakimś starym wyidealizowanym portrecie: dłoni żony, ze zdjętą jedną rękawiczką, spoczywała – prawie tak jakby tego nie zauważali – w dłoni męża. Ona siedziała, a on stał za jej krzesłem i oboje uśmiechali się do obiektywu, ale nie do siebie.

– Czy dlatego, że nie zgodził się na in vitro albo coś takiego?

– Nie, zgodził się.

– Tak? Nie wiedziałam...

– To nie miało z tym nic wspólnego, Frank. Ale nie chcę o tym rozmawiać. Nawet z tobą, jeszcze na to za wcześnie. Po prostu myliłaś się, że stanowimy dobraną parę. To było myślenie życzeniowe z twojej strony, tak jak z tym wymiarem religijnym. Nie myliłaś się co do Roberta, ale myliłaś się co do mnie.

Frankie objęła przyjaciółkę ramieniem, choć wybaczenie i współczucie wymagało od niej pewnego wysiłku, bo Cora zawsze uważała, że może swobodnie targać się na jej wszystkie świętości (właśnie nazwała jej wiarę „myśleniem życzeniowym”), podczas gdy Frankie miała świadomość, że gdy chodzi o Corę, musi być bardziej ostrożna. Przypuszczała, że może się to brać z faktu, że Cora była jedynym dzieckiem oddanych jej rodziców, przyzwyczajonym do tego, że chodzi się wokół jej życia wewnętrznego na paluszkach, jakby było cudem. Między Frankie a Robertem było jeszcze dwoje rodzeństwa, a ich rodzice, których i tak często nie było w domu i posłali dzieci do szkół z internatem, zginęli w wypadku lotniczym w Tunezji, kiedy Frankie miała szesnaście lat. Jej ojciec doradzał tamtejszemu rządowi. Stanowiło to dodatkową komplikację przy ślubie Cory z Robertem, ponieważ po śmierci rodziców najstarszy brat stał się dla Frankie kimś w rodzaju drugiego ojca. Dlatego we Frankie zrodził się silny wewnętrzny bunt, kiedy zaczęła zdawać sobie sprawę z pragnień Cory, jakby miało dojść do naruszenia jakiegoś tabu; kto wie, jakie nieszczęścia mogły później na nich wszystkich za to spaść. Nie wiedziała, czy Cora w ogóle dostrzegła jej wewnętrzną walkę, żeby spojrzeć na tę nowo ukształtowaną rzeczywistość – na miłość między bratem a przyjaciółką – w innym świetle, bez uprzedzeń. A teraz znowu musiała zmienić punkt widzenia.

Jak przez mgłę przypominało jej się, że toczyły bardzo podobną dyskusję o religii jako dwudziestoparolatki, tylko że wtedy reprezentowały odwrotne stanowiska. Cora broniła tajemniczości świata, a Frankie była demaskującą złudzenia racjonalistką. W tamtych czasach Cora też miała tę minę cierpiącej wrażliwości, wkurzającą i wzruszającą zarazem, tylko że wtedy za tą maską kryła się indywidualność radosna, pełna pragnień i apetytu. Frankie objęła ją ramieniem, a Cora wprawdzie się nie odsunęła, ale zachowała pewną rezerwę. A potem ktoś popchnął Lulu na zjeżdżalni i Frankie musiała wstać, żeby ją ratować.

Po zamęciu związanym z wizytą Frankie i dzieci Cora z ulgą chłonęła znowu atmosferę biblioteki: zielonkawe światło, wysokie ściany z łuszczącą się różową farbą i stłumiony szum, przerywany hałasem różnych odgłosów ulicznych, przypominających o świecie zewnętrznym, ilekroć ktoś otwierał frontowe drzwi. Chwilami żałowała, że Frankie już nie ma, bo powinna była lepiej ją potraktować, być dla niej miłsza. Z pewnością nie okazała jej zrozumienia, jeśli chodzi o plany zajęcia się duszpasterstwem. Od czasu do czasu odrywała się od tego, co akurat robiła, i podnosiła wzrok na pokrzepiające światło witraży nad stanowiskiem wypożyczania książek – niebieskie i żółte kwadraty z czerwonymi rombami – które okalały podstawę szklanej kopuły, gdzie zbierały się całe stosy martwych os. Bez wątpienia architekt wyobrażał sobie bibliotekę, jaka mogłaby istnieć na obrazie Burne'a-Jonesa: rozmarzonych obywateli chłonących w mieniącym się kolorami świetle poezje Tennysona i Keatsa, a nie sagi rodzinne i literaturę faktu o prawdziwych przestępcach.

Cora obawiała się, że spotkanie z Frankie może zepsuć jej przyjemność z pracy w bibliotece, prześladował ją koszmar, że odkryje, iż wytchnienie, które znalazła na dnie tej głębinie, jest tylko następną cienką powłoką samooszustwa. Ale gdy zaczęła swój poranny poniedziałkowy obchód od niewielkiego ogródka w kształcie klina, zaglądając pod krzewy escallonii i dziurawców kielichowatych, znów poczuła tę znajomą nieważkość, jakby niósł ją nieśpieszny prąd rutynowych zadań wyznaczonych z góry, a więc zewnętrznych wobec niej. Zostawiła Frankie na tyłach domu, gdy bezładnie pakowała ubranka i zabawki dzieciaków do ogromnych plastikowych toreb z Ikei. W niedzielę wieczorem położyły dzieci do spania i obejrzały odcinek serialu kryminalnego w telewizji; Frankie zasnęła, pochrapując od czasu do czasu cichutko, na długo zanim wytropiono mordercę. Przy pożegnaniu uściskały się mocno, ale niemal zdawkowo, próbując zamaskować fakt, że czegoś w ich spotkaniu zabrakło. „Było cudownie”. „Miło, że przyjechałaś”. Śmiały się trochę za dużo, byle szybciej się rozstać, z poczuciem, że nad terazniejszością ciąży ich dawniejsza bliskość.

Ponieważ czytelnicy to wchodzili, to wychodzili, biblioteka nigdy nie zmieniała się w duszne biuro, gdzie pracownicy są skupieni jedynie na sprawach wewnętrznych; upływające godziny zawsze niosły niejasne poczucie zmarnowanego czasu, bynajmniej nie dlatego, że nikt nie pracował zbyt ciężko, ale dlatego, że ostatecznie ich praca służyła misterium czytania, czynności absorbującej i osobistej. Cora wyobrażała sobie siebie jako przedstawiciela kultury na dalekiej prowincji, podobnego do wiejskiego lekarza z opowiadania Czechowa, zamawiającego książki z Moskwy. Jedna ze stałych czytelniczek, drobna, energiczna kobieta z ufarbowanymi na czarno włosami i twarzą ukrytą pod maską mocnego makijażu, przyniosła im do pokazania obraz

namalowany na warsztatach malarskich, zawinięty w czarny worek na śmieci; przedstawiał błazna żonglującego gwiazdami na purpurowym tle. Cora pomogła też pewnemu Irakijczykowi wyszukać w Internecie artykuł prasowy o amerykańskim szturmie na Faludżę, a kiedy go wydrukował, powiedział ze wzruszeniem: „Po to przyjechałem do waszego kraju”, chociaż nie była pewna, czy jest wdzięczny za darmowy i wolny dostęp do informacji, czy oburzony brytyjskim udziałem w masakrze na jego pobratymcach. Fantazjowała też niewinnie o starszym mężczyźnie, który nosił jedwabny fular i miał cierpiącą, dystygowaną twarz podobną do Samuela Becketta; wypożyczał europejskie filmy na DVD – Viscontiego, Chabrola, Fassbindera – i Cora wyobrażała sobie, że rozpoznał w niej bratnią duszę, mimo że nigdy nie zamienił z nią słowa, które wykraczałoby poza temat opłaty za wypożyczenie, wynoszącej dwa i pół funta.

Po szkole z niedalekiego liceum przyszła grupa nastolatek w mundurkach, na które składały się granatowe spódniczki lub spodnie oraz chusty. Na pozór dziewczyny miały odrabiać wspólnie lekcje. Położyły na stole swoje komórki, często czytając albo pisząc esemesy, konferując ze sobą i zwierając się podniesionym szeptem, który nigdy nie przekroczył bariery hałasu, chociaż Brian co jakiś czas je uciszał. Brian był pedantyczny i łatwo się irtował, rozwiązywał krzyżówki i czytał francuskie i niemieckie powieści w oryginale; piastował stanowisko starszego bibliotekarza i na koniec dnia liczył pieniądze w kasie. Brian i Annette, pełnoetatowcy, pracowali w bibliotekach od lat i niektóre ze swoich frustracji przenosili na tajemniczą politykę macierzystej instytucji, prześladował ich lęk przed wprowadzeniem automatów z technologią RFID do wypożyczania książek, przez co bibliotekarz stałby się zbędny. Pozostali pracownicy byli bardziej podobni do Cory, trafili tu z różnych powodów, ale raczej nie na stałe – chłopak zaangażowany w teatr amatorski, nauczycielka, która zwolniła się ze szkoły, żeby mieć więcej czasu na odchowanie małych dzieci, nieśmiała dziewczyna z ogoloną głową i licznymi kolczykami, która zaraz po przyjściu do pracy wyciągała z nosa i warg całą tę biżuterię, mimo że nikt nigdy tego od niej nie wymagał. Cora w pewnym momencie – jak zwykle za późno – zdała sobie sprawę, że pozostali młodszy bibliotekarze odnoszą się do niej z niechęcią, bo za bardzo zaprzyjaźniła się z Annette albo z powodu czegoś w jej zachowaniu, nad czym nie miała kontroli. W każdym razie uważali, że się szarogęsi i wywyższa. Annette poradziła jej, żeby się nie przejmowała, co myślą inni; ona sama nigdy nie zwracała sobie tym głowy.

– Ludzie muszą ze mną wytrzymać – powiedziała. – Jeżeli mnie nie polubią, to i tak muszą mnie znosić.

Cora poszła zjeść lunch na pobliski cmentarz. Spacerowała między odrapanymi pniami sosen, przystając co chwila, żeby przeczytać napisy na nagrobkach: protestanckich, katolickich, walijskich, polskich, irlandzkich, włoskich. Czasami musiała przepuszczać białą furgonetkę

grabarzy, ale poza tym miała praktycznie całą nekropolię tylko dla siebie; już prawie wcale nie chowano tu zmarłych, a mało kto odwiedzał starsze groby. „Pomódl się, przechodniu, o spokój duszy Mary Hanrahan”. Podporucznik *mort pour la France* – zginął za Francję. Dostawca sprzętu rozrywkowego, cokolwiek to znaczy, miał pomnik ozdobny jak organy jarmarczne, z Jezusem i zagubioną owieczką. Pracownicy dokowi, właściciel trafiki. Cora liczyła, ile lat przeżył każdy z nich, ile wśród zmarłych było dzieci, o ile lat żona przeżyła męża. Herbert William Alexander przeżył tylko trzynaście dni. Bracia bliźniacy obaj utonęli, jeden w wieku siedmiu lat, drugi jako dwudziestolatek. William Tillet zmarł w 1896 roku, przeżywszy lat siedemdziesiąt sześć, „przez ponad czterdzieści lat u p. George'a Elliota i S-ka z Wire Rope Works, West Bute Dock, Cardiff”. Sroki i wrony o piórach dopasowanych jak stare prochowce dziobały ziemię w poszukiwaniu pożywienia. Ostrzeżenia wyjaśniały, że ze względu na ochronę środowiska część cmentarza pozostawiono, by zarastała jak naturalna łąka, i koszone ją tylko raz na jesieni, aby ułatwić rozwój rozmaitym gatunkom fauny i polnych kwiatów. Dziecioły zielone żywiły się na kopczykach mrowisk. Szare wiewiórki, których harce wydawały się niezwykle głośne w głębokiej ciszy, były tak nieustraszone, że Cora zdołała się zbliżyć na tyle, by zobaczyć, jak szybko oddychają. Jedna szybciotko przebierała przednimi łapkami, zakopując szyszkę i wyrzucając za siebie ziemię i martwe liście.

Siedząc na ławce, z twarzą do słońca, Cora czuła się jak rekonwalescentka wyprowadzona do ogrodu, żeby nabierać sił na świeżym powietrzu; nie chciała się tylko zastanawiać, po co jej te siły. Jej rekonwalescencję naznaczało błędne koło. Jeżeli była szczęśliwa, zaczynała patrzeć w przyszłość – ale szczęście mogła znaleźć tylko w teraźniejszości. Ratując się przed koniecznością myślenia, wzięła na cmentarz nie tylko kanapki, ale i książkę. Ostatnimi czasy nie czytała nic poważnego: literaturę kobiecą, powieści obliczone na to, że się dobrze sprzedadzą, które zresztą niekiedy, jak Cora i Annette obie się zgadzały, były wyjątkowo dobrze napisane, lepsze niż tak zwana literatura piękna, bardziej życiowe. Teraz prawie wcale nie myślała o tym, czego się nauczyła podczas studiów na anglistyce. Jej wyobraźnia była zapchana historiami kobiet, większość zaczynała się od kryzysu, od utraty wiary albo miłości, od strat bardziej katastrofalnych niż wszystko, co przeżyła. Pochłaniała te powieści jedną po drugiej, przewracając z pośpiechem kartki, niecierpliwie czekając na rozwiązanie. A gdy kończyła jedną książkę, zaraz chwytiała następną.

Kiedy nie czytała powieści, powoli studiowała podręcznik o podstawach geologii, który polecił jej Brian, kiedy powiedziała mu o mapach po swoim ojcu. Zamierzała na jesieni zapisać się na wieczorowe studia geologiczne. Z początku powiesiła te mapy na ścianach, ponieważ działały na nią kojąco, były znajome. Dawniej razem z mamą kpiły z taty, że woli wykresy skał

od malarstwa i literatury. Ostatnio zainteresowała się jednak, co oznaczają poszczególne kolory, mimo że był to rodzaj wiedzy ścisłej, która wydawała jej się zupełnie obca i trudna do opanowania. Kiedy tata żył, przyjmowała znaczenie tych map za oczywiste, ale po jego śmierci czuła się dziwnie, ilekroć pomyślała o warstwach ziemi ukrytych pod stopami, pod miejskim brukiem i parkiem, o mułowcu i piaskowcu przykrytych warstwą osadów polodowcowych. Ojciec był tolerancyjny i cierpliwy, uroczy i utalentowany manualnie. Kiedy był młody, należał do Skrzydła Bojowego – trockistów w Partii Pracy – ale odszedł, bo nie podobało mu się, jak jego towarzysze mówili o zwykłych ludziach. Zaakceptował Roberta, nawet gdy jej matka była przeciwna małżeństwu, zanim zmieniła zdanie. Stosunki między Corą a ojcem zawsze były pełne bolesnej czułości i troski. Każde z nich starało się osłonić to drugie przed wszystkim, co brzydkie i przykre. Kiedy umarł, przyjęła to z ogromnym żalem i gniewem, jakby radosne życie tego porządnego człowieka zostało złośliwie przekreślone.

*

Zmieniła zdanie i uznała, że Robert miał rację, pragnąc nadać ich relacjom – albo zakończeniu ich relacji – charakter bardziej oficjalny. Może tutaj też dał o sobie znać wpływ Annette, podobnie jak z ciemnym chlebem; rozwód wydawał się rozwiązaniem klarownym, rozsądnym, lepszym od obecnego bałaganu, którego nie sposób było wytłumaczyć, kiedy ludzie ją o to pytali. Czy zresztą nie będzie lepiej dla Roberta, jeśli się rozwiodą? Powinna uwolnić go od siebie, żeby mógł sobie poszukać kogoś innego. Może odnowiłby znajomość z poprzednią przyjaciółką, której miejsce zajęła Cora. Zadzwoiła do niego do pracy, żeby umówić się na spotkanie – z jakiegoś powodu nie chciała rozmawiać z nim przez telefon, który zadzwoniłby w mieszkaniu przy Regent's Park, gdzie łączyło ich wspólne życie. Przed wykręceniem numeru starannie przemyślała, co powie i jakim tonem, tak aby nie budzić w nim fałszywych nadziei, ale i tak zadzwoniła się tylko do jego osobistej sekretarki.

– Elizabeth? Tu Cora.

W dawniejszych czasach Elizabeth uważała ją za roztrzepaną; Cora dzwoniła zwykle wtedy, gdy zgubiła klucz i nie mogła się dostać do mieszkania albo zapomniała czegoś kupić na kolację, i prosiła Roberta, żeby w drodze do domu wstąpił do sklepu. Robert reagował na wszystkie jej prośby i kłopoty z tą samą spokojną powagą, z jaką odniósłby się do pisma z gabinetu ministra, ale Elizabeth uważała je za obrazę dla wysokiego rangą urzędnika państwowego, chociaż musiała być dla Cory uprzejma. Teraz z wyraźną przyjemnością potraktowała ją całkiem obojętnie. Świat bez Cory toczył się dalej.

– Przykro mi, jest na zebraniu.

– A możesz mi przekazać, żeby do mnie zadzwonił?

Nastąpiła chwila wahania. Elizabeth nie zamierzała zwrócić się do niej po imieniu.

– Na który numer ma zadzwonić?

Robert nie zdradziłby jej żadnych szczegółów załamania swojego domowego życia oprócz tego, co było niezbędnie konieczne.

– Powiedz mu, że jestem w Cardiff. Zresztą już to wie.

– Przekażę mu. Dzisiaj po południu jest bardzo zajęty.

Po odłożeniu słuchawki Corę na chwilę – zanim zdążyła stłumić tę słabość – ogarnęła niespodziewana nostalgia za staromodną tożsamością małżonki. Przedtem, kiedy miała do tego pełne prawo, nie przywiązywała do niej żadnej wagi, rzadko mówiła o sobie „żona” i nie myślała o Robertcie „mąż”. W pierwszych latach po ślubie ta konwencjonalna kategoria zdawała jej się poniżej tego, kim pragnęła dla niego być; później była powyżej jej dążeń. Postanowiła nie czekać w domu na telefon od Roberta. Miała tego dnia wolne, zaplanowała sobie, że wyjdzie na miasto i kupi na targu rybę. Starła się odżywiać jak należy, gotując z pomocą książek kucharskich dania ze świeżych składników, chociaż czasami, gdy siedziała sama przy nakryciu z ciężkimi srebrnymi sztuczkami (prezenterem ślubnym babci od strony matki) ułożonymi na miękkim starym drewnie stołu w oranżerii, przy drzwiach otwartych na ogród, ledwie była w stanie dokończyć jedzenie na talerzu i musiała wyrzucać do śmieci to, co tak pracowicie upichciła. Nie śmiała stanąć na wadze i zobaczyć, ile kilogramów schudła.

Robert oddzwonił prawie od razu; umówili się na lunch w restauracji w National Portrait Gallery, ponieważ choć oboje ją lubili, rzadko bywali tam razem. Wypytywał o jej dni wolne w bibliotece tak oględnie, jakby należały do tej samej kategorii co czas, jaki starał się wygospodarować między spotkaniami zapisanymi w terminarzu, który prowadziła dla niego Elizabeth. Bagatelizował wagę swoich obowiązków tak nonszalancko, że Cora zaniepokoiła się, czy nie zrozumiał opacznie powodów, dla których chce się spotkać.

– Miałaś rację – powiedziała nagle. – Powinniśmy rozwiązać sprawę bardziej rozsądnie.

– Rozwiązać?

– Dla twojego dobra. To jest nie fair.

Nastąpiła krótka pauza, gdy zdezorientowany próbował się domyślić, co jej słowa właściwie znaczą.

– Kiedy mówisz „rozwiązać”...

– To mam na myśli sprawy finansowe i praktyczne.

– W porządku, tak właśnie myślałam.

Kiedy się rozłączył, stanęła ze słuchawką przyciśniętą do piersi, ciągnąc za przypominający sprężynę kręcony kabel i pełna wątpliwości, czy dobrze postąpiła. Czy było możliwe, że

manipuluje nim albo gra na jego uczuciach? Czy ktoś mógłby pomyśleć, że taki właśnie ma plan na to spotkanie – albo że narzuca mu się, planując podróż do Londynu, bo jest znudzona? Przerazona o mało nie zadzwoniła do Roberta jeszcze raz, żeby odwołać spotkanie, ale zdała sobie sprawę, że to tylko pogorszyłoby sprawę. Zadygotała na myśl o tym, jak mało sobie ufa.

Zanim nadszedł dzień wyjazdu, jej obawy minęły; w pociągu myślała tylko o tym, jak najlepiej zorganizować sprawy związane z ostatecznym rozstaniem. Nie знаła się zupełnie na prawie rozwodowym, wiedziała tylko, że obecnie nie trzeba już udowadniać, że ktoś w związku dopuścił się zdrady, przemocy fizycznej albo że znęcał się psychicznie nad współmałżonkiem. Byłoby rozsądniej, gdyby przed umówionym spotkaniem sprawdziła to wszystko dokładnie w Internecie, ale dom nie był jeszcze podłączony do sieci, a nie mogła w tak osobistej, prywatnej sprawie korzystać z komputera w bibliotece. Zresztą wzdragała się przed wpisaniem tego słowa w okienko wyszukiwarki, jakby to był temat jak każdy inny. Przyłapała się na tym, że wyobraża sobie Roberta zupełnie spokojnie jako starego przyjaciela. Rozwód wydawał się narzędziem nadmiernie potężnym i topornym do oddzielenia ich od siebie, skoro już byli od siebie tak odlegli.

Przed umówionym lunchem dała sobie godzinę na zwiedzenie galerii. Po męczącym upale i tłoku w metrze i na ulicy jej świadomość zanurzyła się w chłodnym wnętrzu jak w orzeźwiającej wodzie, a potem rozkwitła pobudzona innością portretów. Skupiła się na dziełach dwudziestowiecznych, po jakimś czasie zrobiło jej się zimno w samej letniej sukience i włożyła kardigan, cały czas chłonąc historie ludzi na portretach z pozbawioną rezerwy łąpczywością. Kiedy zbliżył się moment spotkania i wsiadła do windy, czuła się niesiona elegijnym nastrojem i wizją życiorysów ułożonych jeden na drugim w wysokie stosy, pełnych barw i zdarzeń, bezwiednie dających wyraz swojej epoce. Dotarła do restauracji kilka minut przed czasem i zamówiła sobie prosecco. Ta konkretna terażniejszość – akustyczna kakofonia, elegancko ubrani ludzie (bez wątplenia zapomniała już, jak nie wyglądać prowincjonalnie), słynny widok na szarolawendowe dachy miasta – straciła na moment swoją siłę, przytłoczona ciężarem długiej przeszłości.

Robert zobaczył Corę, zanim ona spostrzegła jego. Wyjątkowo do niej dostrojony, rozpoznał nawet jej melancholijny nastrój i nie chciał go zepsuć. Nie znał się zupełnie na modzie, ale zauważył, że Cora odróżnia się teraz strojem od londyńczyków bardziej niż wtedy, kiedy z nim mieszkała. Pewnie zawinił ten granatowy kardigan z drobnymi guzikami, który pasował do niej, ale przywodził Robertowi na myśl nauczycielkę (nie miał pojęcia, jak ostatnimi czasy wyglądają bibliotekarki). Cora w zadumie jadła wisienkę ze swojego drinka. Atrakcyjne kobiety zwykle sprawiały, że czuł się wysoki i zbyt zwalisty, a chociaż Cora była szczupłą, zawsze wydawała mu

się stworzona w tej samej skali co on. Miała wąską talię, ale wbrew obecnej modzie kształtne biodra. Idąc do niej między stolikami, zignorował co najmniej dwie grupki znajomych. Kiedy Cora go dostrzegła, natychmiast wstała, przewracając kieliszek, na szczęście prawie pusty. Zrozumiał: podnosząc się z krzesła, chciała pokazać, że ona przyjmuje jego, a nie odwrotnie; to ona zaproponowała spotkanie, więc nie powinien w żadnym razie próbować jej zabawiać. Starał się obmyślić, jak odnieść się do niej z całym szacunkiem, ale nie dopuścić, żeby zapłaciła.

– Nie powinnam była pić tego prosecco – powiedziała, oblewając się rumieńcem. – Uderzyło mi do głowy.

– Masz ochotę na następne?

Miał nadzieję, że nie zabrzmiało to tak, jakby chciał ją upić.

– Nie, dziękuję. Dziękuję, że przyszedłeś. Przypuszczam, że jesteś bardzo zajęty.

Powiesiwszy marynarkę na oparciu krzesła, poluzował krawat i przyznał, że reorganizacja rzeczywiście jest dosyć koszmarna.

– Jaka reorganizacja?

Robert spojrział na nią ze zdziwieniem. Naprawdę mogło jej to umknąć? W zamkniętym świecie urzędów centralnych łatwo było zapomnieć, z jak małym zainteresowaniem ludzie z zewnątrz śledzą wiadomości o trzęsieniach ziemi, które całkowicie go pochłaniały. Wyjaśnił więc, że część Home Office została wydzielona i włączona do Ministerstwa Sprawiedliwości.

– Ach, tak, oczywiście – przytaknęła Cora z niewyraźną miną.

Wstrząs proceduralny, powiedział, dawało się odczuć nawet w najodleglejszych zakątkach urzędu, a on pomagał w sensownej organizacji nowej Agencji do spraw Granic i Imigracji.

– Czy to dobrze?

Nigdy go nie irytowała, ale nie zamierzał z powagą wykladać swoich poglądów na sprawę, jeżeli jej to nie interesowało.

– Cóż, spędzam ostatnio w Croydon tyle czasu, że nie sprawia mi to już przyjemności.

– W Croydon?

– Tam ma siedzibę Agencja. Ja wciąż jestem przy Marsham Street, ale chciałem zobaczyć, co się dzieje na miejscu. A co to za miejsce, wolę nie mówić. Zamówimy coś do jedzenia?

Z początku ani jedno, ani drugie nie było w stanie przeczytać menu. Wysilek związany z rozmową, która sprawiała wrażenie swobodnej i niezobowiązującej, oszołomił ich tak, że stali się ślepi na wszystko inne. Gdy Cora spostrzegła Roberta i przewróciła kieliszek, pomyślała sobie, że jest niemożliwy, po prostu niemożliwy, ale nie próbowała rozsypać w głowie tego, co by to miało znaczyć. Nie był przystojny, nigdy go za takiego nie uważała, chociaż podobało jej się, jak wyglądał, tak jak podobało się innym kobietom. Nos miał ładny, prosty; oczy osadzone głęboko

pod brwiami, które, bez jej nadzoru, stawały się coraz bardziej krzaczaste. Jego ramiona, dłonie i stopy były duże i potężne, a ruchy trochę nieporadne. Wyglądał niewiele młodziej, kiedy go poznała, a był wtedy jeszcze przed czterdziestką. Niektórzy mężczyźni zmieniają się z wyglądu, kiedy przestają być dziećmi, znacznie bardziej niż którakolwiek kobieta, a mimo to w wyrazie twarzy Roberta można było dostrzec, jaki był jako chłopiec – zamknięty w tych strasznych szkołach z internatem, za które jego rodzice płacili fortunę. W miarę upływu lat ta dziecinność zaczęła boleć ją bardziej niż to, co innym wydawało się oczywiste: że wybrała sobie typ ojca.

Wreszcie udało im się zdecydować się na coś z menu i złożyć zamówienie. Cora powiedziała mu, że zwiedzała galerię.

– Kiedy weszłam do restauracji, ogarnęło mnie dziwaczne odczucie, jakby nasza teraźniejszość zmieniła się już w przeszłość i jakby już w ogóle było po nas. Nie wydaje ci się czasem dziwne, że żyjemy akurat w tym momencie? Jak światełko poruszające się wzdłuż nici, która rozciąga się za i przed nami. Bo niby dlaczego to akurat ten moment, a nie żaden inny?

Nigdy nie był wrażliwy na jej metafizykę, raczej nastawiony na praktyczne sprawy.

– Ale jeszcze nie jest po nas – zauważył.

Czy miał na myśli ich związek? Poczwała nagły niepokój. Przecież nigdy nie protestował przeciwko temu, by zamieszkała z dala od niego – przyjął jej decyzję z fatalistyczną rezygnacją. Po chwili jednak zdała sobie sprawę, o co mu chodziło – że jeszcze nie są martwi. Utknęli tu ze sobą, każde z toczącym się własnym życiem. Żeby zająć jego uwagę czymś innym, zasugerowała mu spotkanie z jego poprzednią dziewczyną.

– Robercie, powinieneś się odezwać do Bar.

Nie od razu się zorientował, o kim mówi.

– Do Bar? Co za niezwykły pomysł. Czemu niby miałyby się ze mną spotykać? Czemu ja miałbym się spotykać z nią? Prawdopodobnie ma męża i piątkę dzieci i mieszka gdzieś na farmie.

Pewnie nawet nie zauważył, że powiedział o pięciorgu dzieci.

– Nie mam ochoty teraz o tym rozmawiać, ale może w ogóle byłoby lepiej, gdybyś jej się trzymał. Jacyś ludzie się do ciebie uśmiechają. Czy ty naprawdę znasz wszystkich?

– Nie znam prawie nikogo – odpowiedział, nie oglądając się za siebie. – Dziwne, że nagle wspominasz o Bar.

– Co sądzisz o tej pogodzie? – zapytała lekkim tonem, kiedy przyniesiono im jedzenie. – Czy to globalne ocieplenie?

Za szklaną ścianą restauracji delikatnie zarysowaną monochromatyczną panoramę dachów zalewało słońce. Na niebie nie było ani jednej chmurki, szklane i metalowe powierzchnie dachów błyszcząły niczym sygnalizatory.

Robert podniósł wzrok znad talerza.

– To chyba normalne wahania pogodowe, nawet jeśli klimat rzeczywiście trochę się ociepla.

*

Oboje zjedli po całym trzydaniowym zestawie obiadowym. Corze wszystko wydawało się smaczne – w znajomej orbicie Roberta odzyskała dawny apetyt. Zamówiła wątróbkę cielecą z kalafiolem w śmietanie i chrupiącym boczkiem. Porcje Roberta zniknęły tak szybko, jakby były drobnymi przystawkami, i wypił do nich parę kieliszków bordeaux – nie był szczególnym wielbicielem wina, nudziła go cała ta nadmierna celebra, ale lubił czerwone wina o owocowym bukacie. Musiał jeść, potrzebował dużo paliwa, żeby utrzymać organizm na chodzie i mieć energię do pracy, miał też mocną głowę, chociaż zwykle nie pił alkoholu w porze lunchu.

Wspólny obiad był dziwnie zwyczajny.

– Uważam, że powinniśmy się rozwieść – powiedziała Cora, kończąc swoją porcję łososa w sosie holenderskim. Robert sięgał właśnie nożem i widelcem po dodatkowego ziemniaka. Odłożył sztućce i przez chwilę, zaciskając pięści, opierał ręce o brzeg stołu, wpatrując się w swój talerz. Cora pomyślała z odrazą, że swym brakiem taktu doprowadzi go do łez... ale który moment uznać za odpowiedni? Byłoby absurdalne, gdyby poczekała z przedyskutowaniem tej sprawy, aż podadzą im kawę. Rozwód to nie ptifurki.

Ale Robert oczywiście nigdy by się nie rozplakał, bez względu na sytuację – Cora nigdy go w takim stanie nie widziała – a już z pewnością nie z powodu kobiety, nie w restauracji pełnej znajomych. Jej obawy były zupełnie bezsensowne. Nie tak go wychowano. Teraz starał się po prostu ze stosowną powagą potraktować to, co powiedziała. Jaki człowiek sięgnąłby w takiej chwili po dodatkę ziemniaków?

– Nie znam się na tym – podjęła prędko, maskując swoje zagubienie i wyjaśniając, że nie założyła sobie jeszcze w domu Internetu. – Czy nie ma czegoś takiego jak trwałe rozkład pożycia? Moglibyśmy przyjąć taką formułę.

– A jest trwałe?

Wiedziała, że się zarumieniła, i z tego wstydu nagle się na niego zdenerwowała.

– Tak, Robercie, na litość boską. Co ty, nie masz o niczym pojęcia? Nie czujesz, że trwałe?

– W takim razie masz rację, powinniśmy się rozwieść. Nie ma co zwlekać.

– Dzięki temu będziesz wolny.

Zdobył się na jeszcze jedną próbę.

– Frankie powiedziała mi, że nikogo nie masz.

Ta idiotyczna formułka zabrzmiała w jego ustach zupełnie niestosownie. Cora chciała oszczędzić mu wstydu.

– Tym nie musisz się przejmować, naprawdę. Nie z mojej strony. Pragnę tylko samotności. Prawdopodobnie myślisz, że to głupota. Ale chciałabym, żebyś znalazł kogoś i był szczęśliwy. Dlatego powinniśmy się rozwieść.

Po chwili namysłu Robert starannie pokroił ziemniak na kawałki. Krojenie wszystkiego na talerzu przed zjedzeniem pierwszego kęsa było jednym z irytujących nawyków, za które Cora winiła reżim wychowawczy, który wobec niego zastosowano.

– Jeżeli tego chcesz – powiedział w końcu.

Zgodzili się, że oboje skontaktują się ze swoimi radcami prawnymi. Cora miała pójść do tej samej kancelarii w Cardiff, która zajmowała się hipoteką jej rodziców, potem sporządzeniem ich testamentów i wreszcie wykonaniem ich ostatniej woli poprzez przekazanie jej spadku. Skończywszy łososia, musiała ukradkiem przetrzeć serwetką oczy, ale czuła przede wszystkim ulgę, że mają już tę bolesną dyskusję za sobą. Później jednak trudno było ożywić znowu rozmowę. Szukając nerwowo w myślach jakiegoś tematu, pochopnie zapytała Roberta o wyjaśnienie, jakie złożył podczas dochodzenia. Odpowiedział, że nie poszło najgorzej. Prowadzenie samych ośrodków zlecano firmom zewnętrznym, a główne zadanie jego zespołu polegało na zawieraniu stosownych umów i zatwierdzaniu zalecanych procedur, w tym zaś zakresie osoby prowadzące śledztwo wykazały zrozumienie i sympatię. Nie mieli w tej sprawie nic do ukrycia, a część pracy, którą wykonali, wręcz pochwalono. Umilkł na chwilę i napił się wina, Cora się domyślała, że zastanawia się, jak dużo może jej powiedzieć, rozważając ryzyko sprowokowania kolejnej scysji w zestawieniu z chęcią, by zawsze przedstawiać jej pełny obraz sprawy, co odpowiadało jego pojęciu prawdomówności. Pomimo stosunkowo pomyślnego przebiegu dochodzenia – podjął – nie był zbyt optymistyczny, jeśli chodzi o ostateczny wynik. Oczywiście, nie wolno jej tego nikomu powtarzać. Ale wyczuwał w powietrzu, że prasa nie odpuści sprawy. Okazało się, że zmarły Irańczyk był kimś i jego historia odbija się coraz szerszym echem.

– Jak to „kimś”? Każdy jest kimś.

– Tak, wiem. Chodzi mi tylko o to, że był kimś, kogo prasa przy złym obrocie sprawy może łatwo zaszufładować.

Irańczyk był dziennikarzem, mieszkał w Londynie od lat, nie troszcząc się o odnowienie wizy; niektóre z jego opowiadań nawet wydało w latach osiemdziesiątych w angielskim tłumaczeniu nie duże tutejsze wydawnictwo. Przez pewien czas promowano go, jak to zwykle bywa, na rozmaitych targach i festiwalach literackich. Nigdy nie powinni odmówić mu statusu uchodźcy, był to ewidentny błąd nawet według kryteriów samej komisji – urzędnicy potrafili być idiotami i w co drugim przypadku na tym polegał problem. Przeciwno niemu świadczyło prawdopodobnie

to, że póki go nie zatrzymano, nie zrobił nic, by przedłużyć sobie wizę. Człowiek ten cierpiał na depresję, od lat za dużo pił, wszyscy zapomnieli, kim jest, i przypuszczalnie nie prezentował się najlepiej, kiedy stanął przed trybunałem. Zdaje się, że zdołał także zrazić do siebie adwokata i bronił się sam – co nie poszło mu najlepiej, bo bredził i trudno było go zrozumieć.

– A potem umarł.

– Miał słabe serce. To się mogło stać w każdej chwili, gdziekolwiek.

– Ale stało się tam. Musiał umrzeć w jednym z tych ośrodków.

– To nie była dobra śmierć. Ale bywają gorsze.

Cora postanowiła, że nie będzie się z nim teraz kłócić; nie wypomniała mu, że dziennikarz i pisarz mógł ponieść tę gorszą śmierć właśnie w Iranie, gdzie Robert usiłował go odesłać. Czasami męczyło ją własne zachowanie, mocowanie się z jego argumentami, niezmordowane opukiwanie jego rozumowań, jakby był niewzruszoną skałą zagrządzającą jej drogę. Tak samo było, zanim zajął się imigracją – kiedy podlegało mu więziennictwo. Wzdragła się przed rozmową o szczegółach tego, co nadzorował, on zaś stwierdził, że ktoś musi to robić, póki rząd ma jakąś politykę imigracyjną albo chce zamykać ludzi za kratkami. Powiedział, że woli zająć się tym sam, niż pozwolić, by ktoś inny robił to gorzej. Mówił to tak autorytatywnym tonem, że słuszność jego obrony zdawała się nieodparta, ale wątpliwości Cory też miały nieodparty charakter, pochodziły z głębi jej natury, nie mogła nauczyć się ich tłumić, nie chciała tego robić, chociaż próbowała na początku ich znajomości, kiedy była bardzo młoda.

– Za co kontrolerzy was pochwalili? – zapytała.

Robert wyjaśnił, że jego zespół pracuje nad nowym rozwiązaniem, które zakładało, że w ciągu paru dni od złożenia podania każdy ubiegający się o azyl dostałby „opiekuna”, który prowadziłby sprawę przez wszystkie etapy postępowania, od rozmowy wstępnej przez cały proces integracji. Albo, jeśli trzeba, deportacji.

– To był twój pomysł?

– Moja rekomendacja, w jednej z rewizji.

– Dobra. Fajnie, żeby mieli ciągły kontakt z jednym człowiekiem.

Nie mógł pozwolić, żeby przypisała mu przesadnie dobre intencje.

– Taki system powinien być bardziej wydolny. Sprawy załatwiałoby się szybciej, nie byłoby takich zastoju.

Kelnerka przyniosła menu z puddingami.

*

Po śmierci matki, trzy lata wcześniej, Cora popadła w głębokie przygnębienie.

Przez ostatnie miesiące choroby matki była dobrą opiekunką, zaradną i wytrwałą. Robert był

wzruszony, gdy odkrył, że ta uparta, uwielbiająca przyjemności dziewczyna, z którą się ożenił, ma w sobie tyle cierpliwości. Kiedy Rhian po pobycie w szpitalu wróciła do domu, aby tam umrzeć, Cora stanęła na wysokości zadania, jakby to był sprawdzian, podobny do innych, które zawsze zdawała ze znakomitym wynikiem. Skrywała przed matką własną rozpacz; pracowała, jakby była jedną z pielęgniarek i lekarzy, którzy odwiedzali dom i chwalili jej opanowaną, pozbawioną hysterii i odruchów wstrętu opiekę. „Bez względu na to, co się stanie, będę przy tobie” – mówiła mamie ze spokojem i ten spokój zdawał się pomagać. Rhian całe życie lubiła utyskiwać i marudzić, ale w tej ostatniej chorobie wykazywała prawdziwy stoicyzm. Przed samą śmiercią Cora doskonale wiedziała, jak ułożyć konającą na posłaniu akurat tak, żeby było jej najwygodniej.

W swej lekkomyślności Robert bez zastanowienia uważał za oczywiste, że ta nowa siła odtąd będzie towarzyszyć Corze na stałe. Tymczasem, gdy od śmierci Rhian mijały kolejne miesiące, w jego żonie ledwo można było rozpoznać tamtą sprawną pielęgniarkę, intuicyjnie wiedzącą, kiedy wejść, a kiedy wyjść z pokoju chorej. Jej dawna energia zdawała się nieodwołalnie utracona. Nie chciała rozmawiać z nim o rodzicach; rozdzierany współczuciem zaczął się zastanawiać, czy nie przydałby się psycholog, ale upierała się, że nie chce rozmawiać z nikim. Przygarbiła się i skarżyła na bóle miesiączkowe, przykładając do brzucha butelkę z gorącą wodą, chodziła wcześniej spać, a w dzień oglądała telewizję. Kiedy się kochali, płakała i próbowała to przed nim ukryć. Wyobrażał sobie, że jej załamanie wzięło się stąd, że zaczerpnęła zbyt dużo z podziemnych rezerwuarów swojej natury, a teraz nie jest w stanie odbudować zapasów poprzez zwykły odpoczynek i rekonwalescencję. Zdawała się pochmurna i struta, a Robert cierpiał, bo czuł, że nie potrafi rozpędzić tych chmur, oczyścić jej duszy z trucizny.

Rhian zmarła w lutym; po Wielkiejnocy Cora się uparła, że wróci do nauczania. Oznaczało to, że musiała się rano ubierać, przygotowywać do zajęć i spotykać z kolegami i uczniami. Ale obawiał się, że jest na to za wcześnie. Pewnego wieczoru, kiedy wrócił później z pracy, zastał ją siedzącą na brzegu łóżka, w płaszczu, z kolanami razem i poszarzałą twarzą, jakby przysiadła tam, kiedy przyszła, i od tamtej pory się nie ruszyła. Ciężka torba, napakowana do pełna książkami i zeszytami, leżała przy jej nogach.

– Jak długo tu siedzisz?

– Nie wiem. Która godzina?

Kiedy przykucnął, żeby zdjąć jej buty i płaszcz, nieopatrznie powtórzył propozycję, którą już kiedyś jej złożył, a ona stanowczo i gniewnie ją odrzuciła. Czemu nie rzuci pracy w studium policealnym? Jeden z jego znajomych miał kontakty w szkole prywatnej, warunki byłyby tam znacznie lepsze, na początek mogłaby pracować na część etatu, dzieciaki garnęły się do nauki.

Cora potrzęsła ręką, wysuwając ramię z rękawa płaszcza i odpychając Roberta od siebie.

– Dlaczego nie możesz wreszcie wbić sobie do głowy, że nie mogłabym pracować w takim miejscu, nawet gdyby była to ostatnia szkoła na ziemi? Naprawdę wolę swoich uczniów. Oni nie mają zbyt dużych szans w życiu, a ja nie udaję, że mogę poprawić ich los. Ale przynajmniej do czegoś się tam przydaję, ucząc ich podstawowych umiejętności pisania i czytania, zamiast kłaść do głów wiedzę encyklopedyczną rozpieszczonym dzieciakom zakuwającym, żeby dostać się do Oksfordu i Cambridge. I nie mam problemów z dyscypliną. Jestem doświadczonym pedagogiem. Skąd czerpiesz informacje o takich placówkach jak nasza, z „Daily Mail”?

– Ale spójrz na siebie. Jesteś rozpaczliwie wyczerpana. Jesteś sobie winna trochę odpoczynku. Choćby na kilka miesięcy, do czasu gdy poczujesz się lepiej.

– Więc jak przypuszczam, winisz teraz zasady, którym hołduję, za to, że nie zachodzę w ciążę?

Potrzebował trochę czasu, zanim zdołał ułożyć swoje przekonania i podejrzenia na nowo w świetle tego nowego faktu. Musiał przy tym, jak później pomyślał, pokręcić głową jak skołowany wół.

– Cięża? Chcesz zajść w ciążę?

– Och, Robercie, jak mogłeś nie zauważyć?

– Ale czy nie przyjmujesz tych zastrzyków?

Powiedziała, że przestała dwa lata temu; był zdumiony, ale nie pytał, dlaczego z nim tego wtedy nie przedyskutowała ani nie powiedziała mu o tym później. Wyjaśniła, że chciała, „żeby to była niespodzianka”. Uznał, że w tej dziedzinie kobiety mają naturalne pierwszeństwo i muszą ustalać takie reguły, jakie podpowiada im doświadczenie i tajemnicza intuicja.

Przez dwa lata nic się nie stało. W zeszłym tygodniu miała nadzieję, że wreszcie się udało, ale kiedy dziś wróciła do domu, dostała miesiączki.

– Jak się domyślam, Rhian o tym wiedziała?

Nie tylko Rhian, okazało się, Alan też. Część żalu Cory brała się stąd, że umarli, nie poznawszy swoich wnucząt.

Bez przejścia przez długi proces narastania obaw, z powolnymi cyklami oczekiwania i zawodu, Robert stanął nagle w obliczu skrajnego lęku przed bezdzietnością. Oddał się jednak całkowicie do jej dyspozycji. Był gotów zrobić wszystko, co trzeba, jeżeli sobie tego życzyła. Zresztą nie zastanawiając się nad tym za bardzo, też zawsze chciał mieć dzieci, w jakiejś nieokreślonej przyszłości. Wydawało mu się, że jest to właściwy i nieuchronny kształt dla ich rodziny, jeżeli w ogóle ją tworzyli: między nimi dwojgiem ledwo zarysowana dwójka albo trójka dzieci – nigdy niemowląt, bo zawsze wyobrażał je sobie jako krzepkie i starsze, w szortach i kapeluszach, z wędkami i własnymi planami. Wzorem, który uformował ten obraz, był on sam z młodszym

rodzeństwem z okresu dzieciństwa, który wspominał jako najszczęśliwszy (kiedy uczył się w gimnazjum i wakacje wszyscy – oprócz Frankie, która nie przysłała jeszcze na świat – spędzali w domu na szczycie stromych, lesistych urwisk w Devon). Wierzył też, choć sam przed sobą się do tego nie przyznawał, że dzieci umocnią ich więź małżeńską, jak dotąd dość nietrwałą i niepewną. Cora mogłaby, gdyby nie było dzieci, zostawić go pewnego dnia równie nieprzewidywalnie, jak kiedyś rzuciła się w jego ramiona.

*

Tak więc, trzy lata temu, znaleźli się w poczekalni kliniki leczenia niepłodności w ładnym klasycystycznym domu przy Wimpole Street, o krok od pierwszej wizyty u lekarza. Robert popytał dyskretnie o odpowiednich ludzi i dowiedział się, że ta klinika ma najlepsze wyniki. Był dżdżysty, duszny czerwcowy dzień, wiatr rozwiewał ciepłą mgiełkę drobnych kropelek deszczu i chodniki były śliskie nawet w tej eleganckiej dzielnicy Londynu. Cora, która od miesiący ledwie zwracała uwagę, co rano na siebie wkłada, tym razem wystroiła się z gorączkowym przejęciem, jakby miała uwieść lekarza, a nie poddać leczeniu. Teraz zaś cierpiała, ponieważ jej ałtasowa wzorzysta bluzka od Betty Jackson, z kokardą pod szyją, zamokła, a zresztą i tak na pewno fason był niestosowny, mało poważny. Nie mogła patrzeć na inne czekające pary. Później zastanawiała się, czy jej się nie przywidziało, że ściany pomieszczenia, od podłogi po sufit, były obwieszane zdjęciami dzieci, uśmiechniętych matek i par z dziećmi. Wydawało się to zbyt maniakalne, aby mogło być prawdopodobne – i czy nie byłby to brak taktu wobec tych, którym mimo wszelkich prób i starań nie uda się nigdy zajść w ciążę?

Robert siedzący obok niej był ciemną masą, w garniturze i pod krawatem, bo przyjechał tu od razu z pracy. Krzesła w miejscach publicznych zawsze wydawały się dla niego za małe, zaskakujące było zobaczyć go zredukowanego do klienta albo pacjenta czekającego w kolejce jak wszyscy inni, jakby do tej pory zawsze były od jego postaci władza i autorytet. Mimo to nic w jego mimice czy gestykulacji nie wskazywało, że mu to przeszkadza czy że wolałby w tej chwili być gdzie indziej. Cora się zastanawiała, co powiedział Elizabeth, gdy wychodził z biura; na pewno nic, co zdradziłoby obecność Cory w tej klinice, jej kłopoty i desperację. Mimo to palił ją wstyd, jakby Elizabeth o nich wiedziała, jakby wiedzieli wszyscy. Żałowała, że Robert ma z całym procesem cokolwiek wspólnego, wolałaby przyjść tutaj sama, w tajemnicy. Czyż nie pocieszał jej tylko, spełniał jej kaprys? Nie pamiętała, by kiedykolwiek rozmawiali o leczeniu niepłodności, dopóki temat nie nabrał dla niej szczególnej wagi, ale gdy siedzieli tak w milczeniu, przypisywała mu męską pogardę dla takich metod, stoickie przekonanie, że lepiej zostawić te sprawy biegowi natury i trzeba zaakceptować wszystko, co przyniesie życie. Jego poglądy charakteryzował pewnie szerszy punkt widzenia, brał pod uwagę światowy przyrost naturalny i

postrzegał kult robienia dzieci jako rodzaj sentymentalizmu dostępnego tylko ludziom w gospodarkach rozwiniętych.

Jej przypuszczenia nie miały się nijak do tego, co Robert rzeczywiście myślał, ale zdawała się słyszeć jego opinie wypowiedane tym rozsądnym, powściągliwym, dość burkliwym głosem, gdy oszczędnie przycinał i cedził słowa, byle nie trwonić energii na nic zbędnego. Sądy, które mu przypisywała, wprawiły ją w stan nerwowej rozpacz, miała ochotę wstać i przechadzać się po poczekalni, ale nie chciała zwracać na siebie uwagi innych. Robert przyniósł jej szklanekę zimnej wody z automatu. Cora miała pewne pojęcie o upokorzeniach, jakie ich czekają po tym, gdy lekarz roztoczy przed nimi swój bez wątpienia znaczny urok, chociaż nie była pewna, czy stanie się to dzisiaj, czy przy drugiej wizycie. Nie przeszkadzało jej, jeśli będą ją ciągać i popychać, gmerać w niej jak w lalce. Ale myśl o Robertcie poproszonym o oddanie próbki i zamkniętym w ciasnym pokoiku z kolorowymi pismami, paliła ją wstydem. Jak mogła na to pozwolić? Cała ta klinika i wszystko, co się z nią wiązało, było błędem – teraz, nagle, była tego pewna. Musiało istnieć inne rozwiązanie, które nie wymagałoby od niej zdrady najgłębszych przekonań i instynktów.

Rozejrzała się dookoła, przypominając sobie ostatnie dni choroby matki. Jak znalazła w sobie wtedy tyle siły, nie miała pojęcia. Pamiętała, że w pewnej chwili, bliska rozpacz, pomyślała: zaciśnij zęby, rozgryź tę gorzką pigułkę. Zaciśnij mocno. I zaciśnęła, a zalew siły, który nastąpił, dawał nawet jakąś dziką przyjemność. Teraz też ją poniosło, w cierpieniu poza kontrolą. Wstała. Popatrzyli na nią nieznajomi i recepcjonistka. Popatrzył i Robert.

– Wyjdę na dwór – powiedziała głośno, biorąc płaszcz i torebkę. – Zaczerpnąć świeżego powietrza.

Deszcz na ulicy był niczym balsam, zadarła ku niemu głowę. Z kliniki wyszedł pośpiesznie Robert z jedwabną chustą, której zapomniała.

– Nie – powiedziała stanowczo. – Nie chcę tego.

– W porządku – odrzekł. Wyobrażała sobie, że mu ulżyło, chociaż była to nieprawda; próbował tylko zamaskować swój żal, by nie poczuła, że go w czymkolwiek zawiodła. Był rozczarowany, że to, co dawało nadzieję na zakończenie jej cierpienia, okazało się ślepą uliczką.

– Chodźmy gdzieś na lunch – zaproponował.

– Wrócisz i im powiesz?

Administracyjne zawirowania w klinice, kiedy personel odkryje, że para pacjentów uciekła, były mu zupełnie obojętne. Na pewno zdarzało się to już wcześniej.

– Zadzwoń do nich później.

– Nie musisz wracać do biura?

– Powiedziałem, że nie będzie mnie parę godzin. Nikt nie spodziewa się mnie tam przed drugą, mamy więc trochę czasu.

Wolałaby, gdyby powiedział, że praca jest nieważna.

II

Cora, trzy lata temu, w pociągu z Cardiff do Paddington.

Było to kilka tygodni po tym, jak uciekła z kliniki leczenia niepłodności, prawie sześć miesięcy od śmierci jej matki. Zbliżały się wakacje, zajęcia w szkole się skończyły i z zapalem rzuciła się w wir prac remontowych w Cardiff, mówiąc Robertowi, że chce dom odnowić i wystawić na sprzedaż. Bez względu na to, jakie pojawiały się trudności – a to gdy robotnicy odkryli w drewnie grzyb, a to gdy zepsuli przeszklone drzwi oranżerii – nie traciła otuchy, powtarzając sobie: zaciśnij zęby, rozgryź tę gorzką pigułkę. Odzyskała energię, nawet jeśli nie wiedziała, co z nią zrobić i tylko z całych sił pchała niewidzialną barierę, która nie chciała ustąpić. Wybrała sobie piec na drewno, przeczesywała składy ze starzyzną w poszukiwaniu zabytkowych kafelków do łazienki i uroczych starych różowych cegieł. Za oknami pociągu popołudniowy krajobraz był przydymiony deszczem, a zielone pola i lasy skryte, wycofane i skupione na własnej gęstej historii, przyciśnięte ołowianą pokrywą nieba. W pociągu nie było tłoku, Cora siedziała przy stoliku zupełnie sama. Ciemne krople spływały w poprzek okiennej szyby. Zupełnie bez powodu serce biło jej szybciej, jakby się czegoś spodziewała, a przecież nie mogła, nie umiała patrzeć w przyszłość, bo nic tam nie było. Nic.

Obok niej zatrzymał się mężczyzna niosący papierowy kubek kawy z bufetu i teczkę przewieszoną na pasku przez ramię.

– Mogę się przysiąść? Uciekam od idiotki z telefonem komórkowym.

– Skąd pan wie, że też taka nie jestem?

Ogarnął ją wzrokiem.

– Nie wygląda mi pani na idiotkę.

– Jest pan bezpieczny – powiedziała. – Wyłączyłam komórkę.

– Dobra dziewczyna.

Poczuła się lekko urażona, że nazwał ją dziewczyną.

Usiadł pod oknem naprzeciwko niej, wyciągnął z teczki książkę i zaczął czytać. Był to tomik poezji autora, o którym nigdy nie słyszała. Zawstydzila się, że sama czyta „Vogue'a” – wiedziała, że mężczyzna to zauważył i uznał za minus, gdy otaksował ją wzrokiem. Nigdy nie kupowała kolorowych magazynów, ale podczas podróży do Cardiff i z powrotem pragnęła zbyt dużo nie myśleć, więc próbowała wypełnić głowę pomysłami na to, jak się ubrać albo co kupić do domu.

Mężczyzna krzywił się na swoją książkę, ściskając ją tak mocno, jakby miał ją rozerwać na pół. Cora zawsze patrzyła nowo poznanym ludziom na dłonie (Roberta były ogromne, o miękkich

spodach i zaskakująco delikatnych koniuszkach palców). Ręce tego mężczyzny były pełne napięcia, długie, opalone i smukłe jak u kobiety, chociaż nie wydawał się zniewieściały. Kiedy sięgnął po kawę, zauważyła, że drżą. Jeden palec miał zażółcony od nikotyny, paznokcie w kształcie migdałów. Nosił obrączkę. Pomyślała, że pewnie jest pretensjonalny; w jego pełnych, mięsistych wargach widać było jakieś niezadowolenie, chociaż był przystojny, subtelny i dopiero zaczynał tracić włosy na skroniach. Zdawało jej się, że pod jego opadającymi powiekami widzi szybkie ruchy oczu; był jastrzębiem wydziobującym z książki znaczenia z drapieżną nieustępliwością. Postanowiwszy, że nie będzie się przejmować jego zdaniem, wróciła do przeglądania magazynu. Po jakimś czasie rzucił książkę na stół. Cora podniosła wzrok, odrywając się od pełnej powagi kontemplacji zimowego płaszcza.

– Nie spodobały się panu te wiersze? – zapytała.

Spodziewała się, że swoim zainteresowaniem mile połechtają jego próżność, ale on tylko wyglądał na zaskoczonego, że się odezwała, jakby istnieli w dwóch odrębnych światach.

– Czyta pani poezję?

Przypuszczała, że ma na myśli: „oprócz magazynów”.

– Owszem. Jestem nauczycielką angielskiego.

Nie zareagował z entuzjazmem.

– No ładnie.

– Skoro już o tym mowa, to uwielbiam swoją pracę. Chociaż nie mam specjalnie okazji uczyć o poezji.

– Czytała to pani?

– Nie, nigdy o tym autorze nie słyszałam. Ale teraz chyba nie będę sobie nim zawracać głowy. Wyglądał pan na dość zdenerwowanego. Myślałam, że wyrzuciłby pan książkę przez okno, gdyby te okna się otwierały.

– Tak naprawdę wiersze nawet mi się podobały. Ale nie dość.

– Nie dość na co?

Po pewnym czasie dodał, że wolałby, żeby okna jednak się otwierały, bo wyrzucanie przez nie od czasu do czasu książek byłoby przyjemne.

Cora przeczytała gdzieś, że kiedy ktoś czuje do kogoś pociąg, to podświadomie zaczyna naśladować ruchy tej osoby; zauważyła, że gdy rozparła się w fotelu, mężczyzna pochylił się do przodu i ze zmarszczonymi brwiami oparł łokcie o blat. Było oczywiste, że nie chce rozmawiać z nią o poezji, wzdraga się na myśl o banalnych, czułościowych opiniach, jakimi mogłaby go uraczyć, i woli nie dzielić się własnymi przemyśleniami z osobą, która prawdopodobnie nie umiałaby ich docenić. Pomyślała, że on ma wysokie mniemanie o sobie, w powierzchownych

kontaktach ze światem jest drażliwy, skłonny do okazywania pogardy. Zapytał, gdzie wsiadła do pociągu i czy mieszka w Cardiff. Odpowiedziała, że tam się urodziła, ale mieszka w Londynie.

– Była pani w odwiedzinach u rodziców?

Wyjaśniła, że oboje rodzice zmarli, a ona remontuje dom, który po nich dostała, żeby go później sprzedać. Spodziewała się wyrazów współczucia, ale on zapytał, co sądzi o walijskim nacjonalizmie. Odparła, że ojciec nauczył ją podejrzliwości wobec wszystkich nacjonalizmów jako postaw prowincjonalnych.

– Brzmi jak stary dobry trockizm.

– Miał własne zdanie na każdy temat.

– Jest pani bardzo walijska.

Odparła, że nie lubi, jak się ją szufladkuje.

– Właśnie o to mi chodzi – powiedział. – Anglik oskarżony o angielskość przyjmuje zarzut tak, jakby czuł się w obowiązku za to przeproszać.

Akcent miał angielski, raczej neutralny niż charakterystyczny dla klasy rządzącej.

Pociąg zatrzymał się na dworcu w Swindon, do wagonu wsiedli nowi pasażerowie, jeden zawahał się przy ich stoliku. Żadne się nie ruszyło, by przesunąć bagaże z foteli obok; oboje wytrwale wpatrywali się w peron za oknem, gdzie ci, którzy czekali na inny pociąg, zdawali się trwać w rozproszonym świetle w zawieszeniu, odcięci od deszczu, który lał się strumieniami z krawędzi dachów. Pasażer poszedł dalej; było mnóstwo innych miejsc, gdzie mógł usiąść. Właściwie nic przecież się nie stało, ale zanim pociąg znowu ruszył, atmosfera między nimi uległa zmianie, byli we dwoje w swoim kącie, odcięci od reszty.

Okazało się, że on ma dom gdzieś na walijskiej wsi – Cora znała geografii tylko na tyle, żeby wiedzieć gdzie w przybliżeniu, w przeciwieństwie do Roberta, który wiedziałby dokładnie. Nieznajomy miał trzy córki, dwie małe i jedną starszą z pierwszego małżeństwa, która nie mieszkała z nim i miała około piętnastu lat.

– Jak często pan ją widuje?

– Nie dość. A kiedy się spotykamy, nie mamy ze sobą o czym rozmawiać. Wydaje mi się nudna. Bez wątplenia ona ma o mnie to samo zdanie. Moje młodsze córki są bardziej interesujące, są radością mojego życia. A pani ma dzieci?

Spojrzał na jej obrączkę.

Wiedziona jakimś impulsem nie odpowiedziała ani „jeszcze nie”, ani po prostu nie zaprzeczyła.

– Nie mogę ich mieć. Próbowaliśmy, ale nie mogę.

– Przykro mi. Czy powinno mi być przykro? Żałuje pani?

Wzruszyła ramionami.

- Chciałabym mieć. Ale tak już jest.
- Może zdecydujecie się na adopcję?
- Nie.
- W porządku.

Poczuła ulgę, że stwierdziła to w sposób tak ostateczny – jakby przekształciła sprawę w obiekt namysłu, kamienny, o wyraźnych konturach i twardych krawędziach. Utraciwszy niedawno rodziców i dzieci, które mogłaby mieć w przyszłości, została wyzuta ze swojej przeszłości i przyszłości, pozostawiona w teraźniejszości jak bezludna wyspa albo zamknięta skrzynia. Łatwiej było wyjawic tę prawdę przenikliwej spostrzegawczości nieznajomego i nie spodziewać się żadnego współczucia. Jastrzębi dziób jego zainteresowania dziobał ją tak samo jak poprzednio tomik poezji.

Na Paddington mogli stracić się z oczu na zawsze.

Teraz to ona pochyliła się do przodu, a on rozparł w fotelu. Przyglądał jej się, mrużąc oczy, jakby próbował zobaczyć ją z większej odległości, na szerszym tle.

- Więc jest pani nauczycielką angielskiego. A czym zajmuje się pani mąż? – zapytał.
- Jest urzędnikiem. Dość wysokiego szczebla.
- O rany.
- Jest niezwykle moralnym, sumiennym człowiekiem i bardzo go kocham.
- Widzę to w pani twarzy – powiedział.

Przez moment, gotowa się oburzyć, myślała, że to z jego strony kiepska ironia, ale nie, mówił zupełnie poważnie.

- Naprawdę?
- Tak, widzę go w pani wyrazie twarzy, pewną stanowczość i stateczność.
- Nonsens. Nie mógłby pan tego wiedzieć, gdybym panu nie powiedziała. Mógłby pan pomyśleć, że jestem związana z rozchwianym psychicznie pijakiem. Albo z nauczycielem żonglerki. Nigdy nie można odgadnąć, jakiego kto ma partnera. To jest zawsze niespodzianka.

– Nigdy, przenigdy nie pomyślałem, że jest pani związana z nauczycielem żonglerki – zapewnił solennie.

- Ale z rozchwianym psychicznie pijakiem...
- Z rozchwianym psychicznie pijakiem to, powiedzmy, na upartego. Chociaż nie wytrzymałaby z nim pani zbyt długo. Nie wydaje się pani typem cierpiętnicy.

Cora nie zapytała go o żonę, matkę córeczek, światła jego życia. Pozwalało to zniwelować nierównowagę między nimi, dodatkowe obciążenie dziećmi po jego stronie.

Podszedł do bufetu i kupił im obojgu po kawie. Cora zauważyła, że to już jego drugi kubek, a on zgodził się, że to zapewne niezdrowe – do tego jeszcze pali, wyznał, a powinien rzucić. Ku jej uldze nie okazał specjalnego zainteresowania tymi tematami; niektórzy jej znajomi potrafili godzinami rozmawiać o swoich dietach i stanie zdrowia.

– Więc... jest pan poetą? – zapytała.

– A wyglądam?

– Co pan tak ciągle z tą fizjonomiką? „Knowań umysłu nie wyczytasz z twarzy”¹¹.

– Ja pierdołę! Zapomniałem, że mam do czynienia z nauczycielką angielskiego.

– A co pan ma przeciwko nam?

– Nic – odparł przesadnie ponurym tonem. – Ktoś musi to robić. Cytat na każdą okazję.

– Nie uważa pan, że to wspaniałe: otwierać umysły młodych ludzi na możliwości literatury?

– Ach, i naprawdę to pani robi?

– Bardzo rzadko – przyznała. – Pracuję z młodymi ludźmi, którzy mają problemy z czytaniem. Ale podoba mi się ta praca. I czytam im czasami dobre, trudne teksty. Byłby pan zaskoczony, jak dużo rozumieją. Widzi pan, oni dukają i zacinają się, bo nie radzą sobie z czytaniem, więc wszyscy błędnie sądzą, że treść książek ich nie interesuje. Ale sam fakt, że nie potrafią samodzielnie czytać, nie oznacza jeszcze, że nie są w stanie ogarnąć treści. Naprawdę rozumieją nawet skomplikowane teksty. Oczywiście nie wszystkie i nie wszyscy. Nie chcę popaść w przesadę. Nie będę twierdzić, że czytam im Henry'ego Jamesa.

– Nikt w naszych czasach nie czyta Henry'ego Jamesa, prawda? Robią to tylko studenci, których się do tego zmusza, ale potem rzucają go w kąt. Półki w księgarniach uginają się od jego książek, ale ludzie kupują je tylko z powodu tytułów i ładnych obrazków na okładkach; wydaje im się, że będą fajne jak dramaty kostiumowe w telewizji, ale ich tak naprawdę nie czytają, w każdym razie nie do gorzkiego końca, prawda?

– „Złota czara” jest moją ulubioną powieścią. Czytam ją co parę lat od nowa.

– No ale jest pani jedyna – odparł. – Jest pani rzadkością. Jest pani tym rzadkim, wyjątkowym czytelnikiem, którego ta książka szukała. I znalazła mimo dzielących was lat. Bo mnie raczej nie znalazła. Chyba nie chciałbym, żeby przyłapano mnie ze „Złotą czarą”.

Nie słuchał tak naprawdę tego, co powiedziała, obserwował ją: albo też postrzegał to, co mówiła, jako jej właściwość, jako jedną z jej cech, a nie jako coś pojmowanego oddzielnie. Poczuli się obnażona w rażącym świetle jego uwagi. Tym, co mu się podobało, zrozumiała, nie były jej liberalne poglądy na temat edukacji, lecz jej szorstkość, która przez ostatnie dwa lata zahartowała się i nabrała postaci skończonej i bezwzględnej. Nie starał się wykorzystać jej rozpaczy. Ona wychodziła mu naprzeciw, a on reagował. Oczywiście, pociągał go jej wygląd,

oboje nie mogli na to nic poradzić. Czują, jak obmywa ją ten ożywczy balsam erotyzmu; poruszała się płynniej, wiedziała, że jest coś połyskliwego i promiennego w tym, jak odwraca od niego głowę albo się uśmiecha. Doznanie jego cielesnej bliskości mieszało się z tym, jak sama się postrzegała, jakby do kawy, którą pili, dolano brandy. Dopatrzyła się w jego twarzy połączenia delikatności – policzków, cery i ust – z ostrością oczu o ciężkich powiekach i rozmyślnie powolną mimiką, jakby każda myśl, którą ona wypowiada, zapadała głęboko w jego wnętrze, rozświetlana dowcipem i ironią.

W przeszłości zawsze starała się odciągać uwagę od swojego wyglądu i kierować ją na coś innego, jakby sam w sobie był nieistotny. Upierała się, by kochano ją za umysł i charakter, teraz jednak gotowa była na chwilę odłożyć te pretensje na bok. Szumiało jej w głowie, nie była pewna, jakiego stanowiska powinna bronić; nie wiedzieć jak, zeszli na temat klasy społecznej. On stwierdził, że Marks był sentymentalny, pokładał w proletariacie złudne nadzieje. Kiedy musiała wstać, żeby skorzystać z toalety, lekko oszołomiona rozejrzała się po innych pasażerach, nagle skupiła się znowu na sobie i pomyślała ze wstydem o swoim zachowaniu – jak głośno rozmawiali? – jakby zamiast kawy rzeczywiście pili alkohol. Kiedy wracała na miejsce po denerwującej wizycie w rozchybotanej toalecie ze skomplikowanym zamknięciem, zobaczyła przesuwające się za oknami kominy elektrowni Didcot. Wydobywały się z nich obłoki pary jakby spłaszczone i przyduszone przez mżawkę. Odniosła wtedy wrażenie, że wynurzyła się z wody na powietrze znajomego, uregulowanego życia – za niecałą godzinę będą w Londynie, a przed powrotem do domu musiała jeszcze zrobić zakupy. Kiedy podeszła do ich stolika, mężczyzna czytał znowu książkę, jakby się do niej jednak przekonał. Ich rozmowa wytraciła impet i siedzieli teraz w milczeniu – znowu dwa odrębne byty. Cora pomyślała na zimno, że ich przelotna egzaltacja mogła być zupełnie niczym, słomianym ogniem.

Nawet niespecjalnie mi się podoba, pomyślała, gdy z ulgą zanurzyła się w pustce. Gdybym zauważyła, jak rozmawia z kimś innym, uznałabym go za zadufanego i skupionego na własnym życiu wewnętrznym, ślepego na innych ludzi. Fizycznie też nie jest w moim typie, z tą twarzą, która opuchnie i obwiśnie na starość jak u aktora z filmu Bergmana. Wolę mężczyzn o ostrzejszych rysach, szczuplejszych. Chociaż Robert też nie ma szczególnie ostrych rysów.

Wzgardziwszy „Vogiem”, wyjrzała przez okno, spoglądając na jakby zagubione eleganckie jachty na górnych rozlewiskach Tamizy, a później na rozległą stolicę. Błyszczący i mieniący się zwykle niczym mika krajobraz był przygaszony od deszczu, rozpościerając się na wszystkie strony na płaskiej równinie, upstrzony gdzieniegdzie zielenią i ruinami starych fabryk. Wjechali między tylne ściany biurowców, połknięci przez miasto. Kiedy wstali, żeby wysiąść na dworcu w Paddington, pożegnali się.

– Miło było z panią pogadać – powiedział.

– Tak, prawda? – odrzekła zupełnie idiotycznie, po czym oblała się rumieńcem, co oczywiście zauważył i poczytał – jakże niesprawiedliwie – za ostatnie słowo jej próżności i samozadowolenia.

W tłumie na peronie znalazł się przed nią, stawiając długie, beztroskie kroki. Niesieni z falą, oddzieleni w słończonej masie innych anonimowych pasażerów, szli w milczeniu, zachowując zdumiewająco równy rytm wybijany tupotem butów. Wielka hala dworcowa dudniła ich echem. Cora nie zapytała nawet, w jakim celu przyjechał do Londynu. Brudne gołębie pod wysokim sklepieniem łopotały szyderczo skrzydłami. Gdy tak szła za nim, widząc przed sobą jego plecy, dopadła ją nagła rozpacz na myśl, że pozwoli temu nieznanemu zniknąć w tłumie, gdzie nigdy nie uda jej się go odnaleźć. Wmówiła sobie, że może nie stanie się w pełni sobą, jeśli on jej nie pozna lepiej. Przyspieszyła kroku, pragnąc, żeby się do niej odwrócił. I za automatyczną bramką, gdzie kasowało się bilety, rzeczywiście to zrobił. Zatrzymał się.

Miał na sobie – zauważyła właściwie dopiero teraz – trochę idiotyczną marynarkę z szarego lnu w jaśniejsze prążki, jakby kupiła mu ją kobieta, ale z myślą, by nosił ją w słoneczne dni.

Cora o mało na niego nie wpadła.

– Och, to pani – powiedział. – Wydaje mi się, że byłoby szkoda, gdybyśmy się już więcej nie zobaczyli. W końcu tak dobrze nam się rozmawiało, prawda? Kiedy następnym razem będzie pani w Cardiff?

To był Paul, chociaż nie wiedziała jeszcze, jak ma na imię – zapomniał jej to powiedzieć, zapomniał też zapytać o jej imię. A może wcale nie zapomniał. Nie wymienili się też numerami telefonów. Na razie połączyła ich tylko najwęższa więź umówionego spotkania: godziny i miejsca (nie w domu jej rodziców, ale w kawiarni przy parku).

*

Kiedy nadszedł umówiony dzień i godzina, Cora malowała łazienkę na piętrze. Gdy udało jej się nałożyć na ramę okna pierwszą warstwę podkładówki, już była spóźniona. Kiedy przebrała się po pracy, zdała sobie sprawę, że śmierdzi rozpuszczalnikiem, a we włosach i pod paznokciami ma farbę. Wydawało się, że w tym rozpaczliwym stanie nie ma co liczyć na romans. W lustrze ujrzała karykaturę samej siebie, napuchnięte wargi, zaczerwienione oczy, a czarny tusz na rzęsach rozmazany. Defetystycznie o mało nie zrezygnowała ze spotkania, ale nie mogłaby znieść godzin, które by ją potem czekały. Przeszła przez park pod wytrzymującą napór wiatru i deszczu parasolką, ołowianym niebem i przemoczonymi, szumiącymi drzewami, jakby na tę karę zasłużyła i musiała ją znieść.

Wreszcie dotarła do pełnej gości i hałasu, dusznej kawiarni, złożyła parasolkę i strząsnęła z niej

za progiem wodę. On wstał od stolika, podszedł i gdy rozpięła mokry płaszcz, objął ją i pocałował – w prawy, potem w lewy policzek – jakby dobrze się znali. Myślami wciąż była w chaosie wiatru, ulewy i drzew. Oboje mieli zadyszkę. W kawiarni mogli być ludzie, którzy ją rozpoznali, znali jej rodziców; nie przejmowała się tym. Wszystkie sklepy i kawiarnie w Cardiff wywoływały w niej teraz nostalgię, zlewając się z miłym sercu pojęciem domu i przeszłości.

– No proszę – powiedział z ustami blisko jej szyi – myślałem już, że nie przyjdiesz.

– Przepraszam za spóźnienie. Malowałam.

– Obrazy?

– Nie, okno w łazience.

Kiedy kupili kawę i usiedli, wyciągnął notes i długopis. Ręce mu się trzęsły, ale przypomniała sobie, że w pociągu też drżały, jeszcze zanim ją zauważył.

– Słuchaj – powiedział. – Nie mogę cię drugi raz stracić, nauczycielko angielskiego, wielbicielko Henry'ego Jamesa, zamężna z urzędnikiem wysokiego szczebla. Jak masz na imię? Podaj mi numer telefonu.

Zapomniała o tym mężczyźnie wszystko; czuła się, jakby po raz drugi spotkała nieznajomego. Zdawał się jakby niższy, niż zapamiętała, bardziej zadbany, możliwe, że w międzyczasie obciął sobie włosy, mniej pasował do jej wyobrażeń poety. Oczy miał stalowoszare – nie pamiętała tego – i lekko wyłupiaste oraz senne powieki, które unosił, jakby nagle się obudził. Teraz słyszała ślady akcentu środkowoangielskiego w jego głosie opanowanym, mocnym, niewysilonym. Obserwował ją i chłonał z taką uwagą, że musiała spuścić wzrok na kawę. Później czasami myślała o mężczyźnie w pociągu, jakby był kimś innym, kogo już nigdy nie spotkała.

Nie miała przy sobie notesu. Paul zapisał numer komórki i swoje imię na zmiętym skrawku papieru, który znalazł w kieszeni, a ona włożyła go do torebki, wciąż myśląc, że może go później wyrzucić albo przepuścić w Londynie przez niszczarkę. Ujął w dłonie jej rękę, gorącą od ściskanej filiżanki kawy, po czym rozprostował ją i pocałował, a pod stołem mocno przycisnął nogi do jej kolan. Pomyślała: to działa, taki ma system, robił to z innymi kobietami. To nie żaden trik ani nic takiego, ale zrozumiał, że przy zbyt długim kluczeniu i owijaniu w bawełnę w pewnym momencie nie można już wrócić do tego, czego się rzeczywiście od drugiej osoby chce, i kończy się na skomplikowanych grach i korowodach, co jest dziecinne. Jeśli więc pragnie się seksu, można wcale się z tym nie kryć, korzystać z możliwości, gdy się tylko pojawi i zanim przeminie. To wszystko.

– Cora. Wymyślałem dla ciebie różne imiona, ale żadne nie było tak dobre jak to.

– To idiotyczne. Nawet się nie znamy.

– Nie chcę cię poznawać. Nie na tyle, żebyś była znajoma, obleczona powłoką znajomości, bo

wtedy zapomniałbym ten wstrząs, jaki teraz czuję.

– Może gdybyś mnie poznał, nie polubiłbyś mnie.

– Lubię cię. Ale to najmniej ważne.

Co by o nim pomyślała, zastanawiała się, gdyby obserwowała to z dystansu, gdyby nie była sobą? Jej nozdrza ścisnęły się z odrazą. Nie chciała być jedną z tych kobiet o surowych twarzach, które żartują o seksie, zapalając się na myśl o nim jak stare latarki po naciśnięciu włącznika, biegle w technikach i narzędziach.

Ale z drugiej strony, Paul – Paul, rozsmakowywała się teraz w tym imieniu, jakby zawsze miała je przygotowane niczym pusty domek, specjalnie dla niego – Paul nie zapragnąłby żadnej z tych kobiet.

Czy nie po to tu przyszłam? – pomyślała. Czy nie cieszę się, że jest bezwstydy? Nie odsunęła kolan.

– Dokąd możemy pójść? – zapytał Paul.

*

Dom pachniał farbą i wilgotnym gipsem, był zimny i nieprzyjazny. Robotnicy już sobie poszli – Mark, murarz, który kończył ściany w nowym salonie od frontu, i Alan, który montował sprzęt i meble w kuchni. Pod ścianami w przedpokoju stały drabiny, na podłogach leżały rozpostarte foliowe płachty, po pustych pokojach niosło się echo, kiedy chodzili po nich, stąpając uważnie w tym bałaganie. Gdyby Alan albo Mark wciąż tutaj byli, Cora zrobiłaby Paulowi herbaty, a potem wystawiła go za drzwi i zniszczyłaby karteczkę z jego telefonem. Wszystko, czego dotykali, pokrywała gruba warstwa gipsowego pyłu; Cora miała wrażenie, jakby oblepiał jej język.

– Jestem idiotką, że przyprowadziłam cię do domu. Jak jedna z tych zdesperowanych kobiet, które kończą zamordowane przez nieznanomych. Nic o tobie nie wiem.

– Nie przejmuj się, Coro – powiedział.

Ale musiał chyba myśleć to samo, nagle przestraszył się, że ona zanudzi go na śmierć albo się do niego przyssie. Teraz, gdy byli wreszcie całkiem sami, oboje musieli mieć wątpliwości. Cora zupełnie na zimno gotowa była go odprawić, ale jednocześnie gorączkowo się przed tym wzbraniała. Co by jej zostało, gdyby odszedł?

– Tutaj były dwa saloniki – tłumaczyła. – Połączyłam je w jeden duży.

Był rozpaczliwie znudzony, jego oczy ześlizgiwały się z tego, co mu pokazywała. Zaprowadziła go na piętro, ale tylko po to, by pokazać, jak pomalowała łazienkę. Musiał sobie wyobrazić, że jej miłość do poezji jest tylko powierzchowna albo pozorna, a w rzeczywistości potajemnie oddaje się kultowi remontów i urządzania wnętrz.

– Był tutaj okropny stary zestaw sanitarny. Pudroworóżowy!

Nie mogła się powstrzymać, urządzając mu wycieczkę po kolejnych pomieszczeniach, wyjaśniając rozkład starego domu, który zniknął pod wyłaniającą się formą nowego. Pokazała mu nawet szafę do suszenia pościeli i nowy bojler, wspominając o ciągłym dostępie do ciepłej wody, choć równocześnie zdawała sobie sprawę, że mówi jak wariatka. Otworzyli drzwi i weszli do sypialni jej rodziców. Cora wymontowała stąd szafy wnękowe, wycyklinowała podłogę i usunęła większość mebli. Pokój był teraz jasnym, białym pudełkiem, po szybach nieosłoniętego okna spływał deszcz.

– Moja matka tu umarła – powiedziała, zaskakując samą siebie. – W tym łóżku.

Kiedy otworzyła drzwi, ten moment stanął przed nią niczym żywy obraz, wstrząsnął nią do głębi. Zobaczyła wszystko z nowej perspektywy, siebie samą w pewnej odległości, schyloną nad matką, po drugiej stronie łóżka odwróconą plecami pielęgniarzkę przygotowującą zastrzyk. W pewnym momencie, bez ostrzeżenia, z ust matki wylało się coś jakby gęsta czarna krew, plamiąc koszulę nocną i pościel. Cora spojrzała wtedy matce w oczy, wydawało jej się, że wyczytała w nich pełną przytomność, niezgodę i wstyd, i trwogę. Po chwili pielęgniarzka odwróciła się i krzyknęła z zaskoczenia.

– Och, już po niej!

Cora zbiegła na parter i wymknęła się do ciemnego ogrodu. Nie mogła w to uwierzyć.

– Kiedy to było? – spytał Paul. – Byłaś przy niej?

Spojrzał tam, gdzie patrzyła, jakby mógł coś tam zobaczyć.

Pokój był pusty.

*

W pokoju Cory zamknął za nimi drzwi.

Tutaj też było prawie pusto; tylko łóżko i krzesło, żadnych zasłon w oknach i kilka książek. Sypiała tutaj, kiedy zostawała w Cardiff na noc.

– Wreszcie się zamknęłam – powiedziała, zadzierając głowę, żeby ją pocałował.

– Wreszcie się zamknęłaś.

– Było zabawnie, kiedy się uparłam, żeby pokazać ci bojler.

– Ciii...

Pamiętała, że w pociągu trzymał w dłoniach książkę tak, jakby miał ją rozerwać na pół. Teraz te same dłonie, silne i zręczne, wzięły ją w posiadanie – najpierw dłonie. Ich ruchy były stanowcze, Paul wiedział, co robi, nie szarpał się z guzikami ani suwakiem. Oddała się tym dłoniom, temu niebezpiecznemu doznaniu, że jest w jego mocy. Po rozpięciu zamka poprosił, żeby wysunęła nogi ze spódnicy, którą następnie powiesił na krześle. Na jej obnażone ciało w nieogrzewanym pokoju wystąpiła gęsia skórka; jej nagość się zmieniła, bo ten nieznajomy

widział ją nowymi oczyma. Oburącz sięgnął za jej plecy i bez patrzenia, z łatwością odpiął i zdjął stanik. Jej piersi wylały się na przód jego koszuli.

– Mm – mruknął i zachwiał się, tracąc dotychczasowe opanowanie.

Ona też się zachwiała i padli razem na łóżko. Zaczął się pośpiesznie rozbierać, ściągając w dół spodnie i bokserki i zrzucając je wierzgnięciem, zdejmując przez głowę na wpeł rozpiętą koszulę. Ich pierwszy akt miłosny był nieporadny, bo nie znali jeszcze swoich ciał, za bardzo byli siebie spragnieni. On przez cały czas miał na nogach skarpetki, z czego ludzie często żartują, uważając, że to nieromantyczne. Gwałtowność jej doznań – później leżała niezaspokojona, przytulona do niego, zbyt nieśmiała, żeby poprosić o więcej, z mokrym udem skrzyżowanym z jego nogą, i musiała dokończyć orgazm w łazience, uważając na świeżą farbę – była dla Cory czymś nowym. Przed Robertem kochała się z tylko jednym chłopakiem. Obaj kochankowie, przed Paulem, byli wobec niej pełni szacunku i wdzięczności, ostrożni, delikatni, gorliwi w sprawianiu jej przyjemności; zawsze czuła się adorowana. Nie wiedziała nawet, czy wierzyć temu bezceremonialnemu obmacywaniu, stękananiu i tarmoszeniu, temu seksowi bez opamiętania, jaki zdarzało jej się oglądać w kinie albo telewizji.

*

– Podoba mi się ten deszcz – powiedział Paul, kiedy burza seksu minęła.

Nie sprawiał wrażenia, jakby mu się śpieszyło; nie wiedziała, jak długo mógł zostać. Leżeli wsłuchani w odgłosy z zewnątrz: w szum wody spływającej rynnami i chlupoczącej na ulicy, szelest opon na jezdni, gdy guma przyciskała się i odklejała od mokrego asfaltu, tupot kroków rozbryzgujących kałuże na starym nierównym chodniku. Corze się zdawało, że jest gdzieś, gdzie nigdy wcześniej nie była, jakby przeszła na drugą stronę lustra i znalazła się w symetrycznym odbiciu dobrze znanego pokoju. Patrząc na rozproszoną szarą poświatę, na perłowe cienie rozkwitające i przesuwające się po ścianach, przypuszczała, że jest około siódmej wieczorem, ale wieczór zdawał się bezkresnym morzem, w którym można się pławić, a nie paroma krótkimi godzinami między popołudniem a nocą. Po powrocie z łazienki nie wiedziała, jak położyć się obok Paula, ponieważ nie wiedziała jeszcze, jak intymna więź ich właściwie łączy. Ułożyła się po swojej stronie, nie dotykając go. Leżał na plecach, paląc papierosa; przyniosła mu wieczko od puszki po farbie, by miał gdzie strącać popiół. Spojrzał na nią z ukosa, przesuwając wzrokiem po jej nagich ramionach, po ciężących na bok piersiach, po wybrzuszeniu koldry, gdzie znajdowało się biodro – z leniwą satysfakcją, która spływała po jej skórze niczym oliwa.

– Coro – powiedział, rozsmakowany w jej imieniu. – Coro. Czy to był twój pokój, kiedy byłaś dzieckiem?

Powiedziała, że tak, ale sama ledwie w to teraz wierzyła.

– To gdzie są twoje rzeczy?

Zanim zaczęła remont, wyjaśniła, zapakowała wszystkie stare zabawki i dziecięce książki do wiklinowego kosza. Oddała biurko, przy którym kiedyś odrabiała lekcje, i kłarnet.

– Remontuję dom, żeby go potem sprzedać. Musiałam pozbyć się wszystkich starych gratów.

– Chwalebny brak sentymentalizmu.

– Nie jestem sentymentalna.

– To dobrze. Dla nauczycielki angielskiego.

Pomyślała, że przejrzał ją na wylot. Te godziny w kurzu i brudzie spędzone na wynoszeniu z domu rzeczy po rodzicach były straszne jak sprzątanie w grobowcu. Robert starał się jej pomóc, Frankie zresztą też; próbowali ją przekonać, żeby nie pozbywała się tego, a ona chciała wyrzucić albo rozdać wszystko bez wyjątku.

– Jesteś jedynaczką? – spytał ją Paul.

– Skąd wiesz?

– Ja też. Dlatego się rozumiemy. Dwoje jedynaków. Chcemy od życia zbyt dużo.

Właściwie nie wiedziała, jak Paul zarabia na życie, nie wiedziała, gdzie się urodził. Kiedy rozmawiali, odnosiła wrażenie, jakby dostrzegała kontury jego charakteru zarysowane w powietrzu ostrą atramentową kreską. Był zainteresowany własnymi myślami, a niespecjalnie jej zdaniem, chociaż go nie lekceważył; przemawiał do jej inteligencji, więc mogła wybiegać myślą naprzód, jemu naprzeciw. Był pełnym złych obaw ponurakiem, zawiedzionym własnymi osiągnięciami (napisał parę książek literaturoznawczych, wykładał, miał kiedyś nadzieję, że napisze powieść, nawet zaczął, ale mu nie wyszło). A mimo to tryskał energią, głównie negatywną. Próbował streścić jej książkę, którą właśnie czytał i którą bardzo się przejął: o własności i osobliwości, o kontroli dostępu do wiedzy w gospodarce między narodami bogatymi i ubogimi. Nie ośmieliła się przyznać, że Robert zajmuje się imigrantami, mogła się domyślić, jak by to przyjął. Podobała jej się jego mocna klatka piersiowa, niezbyt umięśniona, ale też nie miękka od tłuszczu. Kiedy położyła mu rękę na sercu, poczuła niemal jego osobowość, kołącą się tam i gorącą.

– Nie zostawię córek – oznajmił. – Możesz mi to wybaczyć? Powinienem powiedzieć ci to od razu.

Biorąc pod uwagę moment, nie powiedział jej tego tak znowu od razu. Ale Cora potrząsnęła tylko głową, jakby natrętny owad zabrzęczał jej koło ucha. Nie była nawet pewna, czy Paul będzie chciał się z nią znowu zobaczyć, tym bardziej nie wyobrażała sobie przyszłości, w której mogłaby rościć sobie do niego pretensje. Zgodzili się za to, że napiliby się herbaty. Cora nie miała w domu żadnego jedzenia oprócz herbatników i chleba. Paul powiedział, że umiera z głodu

i zjadłby tost, lecz kiedy się ruszyła, żeby wstać z łóżka, objął ją ramieniem i powstrzymał.

– Nie idź. Nie mogę się z tobą jeszcze rozstać.

– Pójdę tylko na dół, wrócę.

– Ale nie taka sama. Nie będziesz już dokładnie taka, jaka jesteś teraz.

– Nie bądź śmieszny. – Roześmiała się, wtulając się w niego, czując smak papierosów na jego skórze, w jego ustach, mokry pot w zmierzwionych delikatnych włoskach na jego piersi.

– Oplakujesz śmierć matki. Oczywiście. Dobra dziewczyna.

– Twoja matka żyje?

– Tak, jest krucha, mieszka w domu, gdzie ma do dyspozycji opiekuna. Ale umysł zaczyna jej się mącić. Może trzeba będzie przenieść ją do ośrodka z opieką całodobową.

– Jesteście sobie bliscy?

– Dogadujemy się – powiedział. – Nie ma między nami scysji. Kiedyś byliśmy sobie bardzo bliscy, ale potem się zmieniłem. Dorastając, oddaliłem się od niej.

– Nie wiem, jak ludzie radzą sobie ze śmiercią matki. Nie wiem, jak udaje im się wstawać rano z łóżka.

– Ale przecież sobie radzisz.

– Nie. Właściwie nie – przyznała. – Wcale sobie nie radzę.

Pokiwał tylko głową, biorąc jej słowa poważnie. Zrzucił kołdrę na podłogę, przykląkł obok niej na łóżku, przyglądając jej się uważnie, gdy leżała na wznak nago na prześcieradle, jakby żał, z którego mu się zwierzyła, nie tkwił w duszy, lecz był rozproszony po całym jej ciele. Poddała się jego wzrokowi z poczuciem, że otworzyła się przed nim, przyciśnięta do białego tła, wyzwolona, nienależąca do samej siebie.

*

Zachowała świstek z imieniem i numerem telefonu Paula, chociaż wkrótce znała go na pamięć. Kartka zmiękła od ciągłego składania i rozkładania. Przechowywała ją w swoim notesie, gdzie Robert mógł ją z łatwością znaleźć i zapytać, co to za znajomy, ale mogło też do niczego takiego nie dojść.

– Robisz mocniejszy makijaż – zauważył raz i przemknęło jej przez myśl, że o wszystkim wie.

– Tak? Nie podoba ci się?

Zastanawiał się nad tym przez chwilę.

– Myślę, że to oznacza, że czujesz się silniejsza, a to akurat dobrze.

– Ale ci się nie podoba.

– Wolę twoją prawdziwą twarz.

Nie umiała mu odpowiedzieć. Jego słowa były niczym rozgrzane węgle, nie wiedziała, jak się z

nimi obchodzić. Czyżby wiedział o Paulu? Domyślił się? Nigdy nie dał tego po sobie poznać. Jak śmiał uważać, że ją zna, że potrafi ocenić, która jej twarz jest prawdziwa? Pogardzała jego szkolnym, niedojrzałym purytanizmem, dezaprobatą dla kobiet, które się malują. Pomyślała o słowach, jakich używał Paul, bezwstydnie nazywając części jej ciała i to, co razem robili. Robert nigdy się takimi słowami nie posługiwał, nawet gdy przeklinał. Ale to, co powiedział o jej makijażu, znowu ją zaskoczyło. To do niego niepodobne, pomyślała. Zwykle bardzo skrupulatnie wystrzegał się uwag o takim ładunku emocjonalnym, z bolesną jak nóż w brzuchu aluzją do miłości. Czy to oznaczało, że wie? Czy chciał ją w ten sposób zranić? Nigdy nie dał po sobie poznać, że wie, poza tym jednym komentarzem.

Kiedy malowała się w łazience w ich wspólnym mieszkaniu – mieli z Robertem osobne łazienki, jej była cała w białych kafelkach i lustrach – specjalnie jemu na przekór podmalowała mocniej oczy, nałożyła róż i szminek. A potem wszystko zmyła i zaczęła od nowa. Skompletowała sobie drugą kosmetyczkę do Cardiff, ale rzadko z niej korzystała. Paula nie obchodziło, jaki nosi makijaż. Zapytała – starannie dobierając ton i słowa, żeby nie sprawiać wrażenia nadmiernie przejętej – czy woli ją w makijażu czy bez, a on odparł, że podoba mu się w obu wersjach.

Kawałek papieru, gdzie Paul zapisał jej swój numer, miał nagłówek z nazwą i adresem „London Review of Books”. Cora zaczęła to czasopismo kupować, szukając napisanych przez niego artykułów, ale nigdy żadnego nie znalazła. Zapytała go o to. Opowiedział długą, skomplikowaną historię o tym, jak zaproponował redakcji, że coś zrecenzuje, a potem utknął i nie był w stanie się z tego wywiązać, więc teraz nie zlecają mu już żadnych tekstów, bo się obrazili. Miał wiele takich opowieści o swoich stosunkach z możliwymi tego świata, pełnych urazów i napsutej krwi; Cora nie była w stanie ocenić, na ile może wierzyć, a na ile ta wrogość jest wytworem jego wyobraźni. Był nieustępliwie krytyczny wobec wszelkiej władzy. Jego poglądy dotyczące polityki – wojny w Iraku, na przykład, albo boomu kredytowego – wiele rozjaśniały; potrafił przedrzeć się przez dziennikarską paplaninę i powtarzane w kółko banały i zawsze zdawał się mieć dostęp do faktów niebędących w powszechnym obiegu. Trudno jej było z nim polemizować. Czasami, myśląc o trudach codziennej pracy Roberta, miała ochotę go zapytać: Czy zrobiłbyś to lepiej, gdybyś był na ich miejscu?

– To nie takie proste – powiedziała – wszystko naprawić.

Odparł, że wszelkie dążenia do naprawy są skazane na niepowodzenie ze względu na skutki, których nie da się przewidzieć. Widziała w jego pesymizmie siłę nieskażoną przywilejami i obowiązkami. Pochodził z klasy robotniczej i uczył się ciężko, żeby dostać się do Cambridge, a potem był tam nieszczęśliwy; wyrwał się do Londynu, żeby zrobić tam doktorat, a później całe

lata spędził we Francji. Napomknął raz, że jego żona – ta druga, matka młodszych córeczek – uczyła się w szkole z internatem, i chociaż Cora udawała, że ledwie zwróciła na to uwagę, uchwyciła się tego faktu, jakby odróżniał ich oboje od małżonków i łączył poprzez wspólne skromne pochodzenie. Kiedy opowiedziała mu o swoim dziadku, o jego pracy w kopalni i wyjeździe na wojnę do Hiszpanii, Paul był tym wyraźnie poruszony, mimo że epizod hiszpański nie był szczególnie chwalebny: dziadek zaraz po przyjeździe rozchorował się na dyzenterię, a potem zranił się przypadkowo podczas szkolenia i musiał wracać do domu. Tata Cory zwykł opowiadać o tym, żeby rozbawić słuchaczy.

*

Nigdy, ale to nigdy nie wpisała nazwiska Paula w wyszukiwarce internetowej; przesądnie wierzyła, że wszystko by zepsuła, gdyby ich skrywany przed światem intymny związek zanieczyściła rozpasaną hałaśliwością wirtualnej rzeczywistości, przypadkowymi komentarzami i osądami na temat jego osoby. Może zresztą byłoby jeszcze gorzej, gdyby nie znalazła niczego poza listą jego książek. On sam przekonywał, że jest nikim, nie jest żadną osobą publiczną, nikogo nie obchodzą jego przemyślenia, ale na pewno mówił nieszczerze, bo przecież miał wydawcę, a więc chyba również czytelników? Słyszała go raz, kiedy w ramach przerywnika dawał w Programie 3 pogadankę – zupełnie przez przypadek, bo nie wspominał o tym słowem, a nie miała w zwyczaju czytać programu stacji radiowych. W domu przy Regent's Park słuchała jednym uchem koncertu fortepianowego, czytając przy tym gazetę, kiedy nagle w pokoju rozległ się mocny, wyraźny głos Paula, wprawiając ją w radość i niepokój. Opowiadał o George Sand i Chopinie. Na nagraniu lepiej było słyszeć ślady akcentu z Birmingham. Przez cały czas audycji Robert pracował przy swoim biurku, przy otwartych drzwiach gabinetu, tak że Cora widziała z drugiego pokoju, jak siedzi pochylony nad swoimi papierami, i słyszała od czasu do czasu pstryknięcie jego długopisu, kiedy coś notował. Gdyby tylko się odwrócił, pomyślała, musiałby wyczytać prawdę w jej nieruchomej udręczonej pozie. Nie umiała podnieść się z fotela i ściszyć albo wyłączyć radia ani zamknąć drzwi od gabinetu, póki pogadanka Paula nie dobiegła końca.

Kupiła jego książki, najpierw tę najnowszą, zamawiając ją sobie na adres w Cardiff; pochłonęła ją z wielkim zapałem, pełna podziwu i zainteresowania. Szło jej niełatwo, ale wiedza o autorze była niczym lampa oświetlająca każdą stronicę, tak że przeskakiwała myślą do przodu i rozumiała, do czego zmierza, zanim jeszcze to wyjaśnił. W niespodziewanych momentach jego idee przebiegały przez nią niczym jakaś tajemna moc. Tamtego lata często zostawała w Cardiff całymi dniami, nadzorując prace budowlane, powoli urządzając pokoje, jeżdżąc po potrzebne materiały i sprzęty do Ikei i sklepu z artykułami budowlanym. Pewnego dnia Robert spytał, kiedy zamierza wystawić dom na sprzedaż. Odpowiedziała, że remont jeszcze potrwa. Paul wpadał do niej

wieczorem, kiedy tylko mógł. Wytłumaczył, że mówi żonie, iż odwiedza przyjaciela, który mieszka niedaleko, po drugiej stronie parku.

– Czy ten przyjaciel wie, co naprawdę robisz?

– Mniej więcej. Nie wyjaśniałem mu sytuacji ze szczegółami.

– I co on na to? Ma coś przeciwko?

– Nie przejmuj się. Jemu to nie przeszkadza. To nic paskudnego. A on ma bujną wyobraźnię, więc w razie czego jesteśmy kryci.

Jakby światło odbiło się od jakiegoś ostrego odłamka szkła, Cora nagle odgadła: on już się kiedyś osłaniał. Niczego jednak nie powiedziała i nie pozwoliła sobie porządniej się nad tym zastanowić. Dobrze było przez cały dzień mieć zajęcie. Dogadywała się z Alanem i innymi robotnikami, którzy remontowali dom. Dopóki byli w pobliżu, mogła ze spokojem zatracić się w planowaniu wystroju każdego z pokoi. Miała wyraźną wizję, jak dom powinien wyglądać: czysto i przestronnie, bez niepotrzebnych gratów, ze śmiałymi romantycznymi akcentami (żeliwnymi kratami w oranżerii i jadalni, starym francuskim lustrem nad kominkiem w salonie; nocami w jej snach mały domek był walącym się, przysparzającym mnóstwa kłopotów pałacem). Często udawało jej się przedłużyć ten spokój aż do wczesnego wieczoru. Po wyjściu robotników brała kąpiel. W łazience nie położyli jeszcze kafelków, więc stawała bosymi stopami na szorstkich płytach, a potem suszyła włosy w swoim pokoju i robiła coś do jedzenia na swojej nowej kuchence. Pochłonięta oczekiwaniem na nadejście Paula, prawie o nim nie myślała, w każdym razie nie świadomie. A potem, gdy słyszała, jak klucz, który mu dała, obraca się w zamku, na ułamek sekundy potrafiła wpaść w panikę; przepojone radosnym spokojem godziny oczekiwania wyparowywały, zastąpione przez jego skomplikowaną rzeczywistą obecność, która prawie ją przytłaczała.

Raz czy drugi, kiedy się go spodziewała, Paul dzwonił w ostatniej chwili – czasami mówił monotonnym, ściszonego głosem, co oznaczało, że jest w miejscu, gdzie ktoś może go podsłuchać – i uprzedzał, że z jakiegoś powodu nie może przyjechać. Chociaż miała dość oleju w głowie, żeby odpowiedzieć do telefonu spokojnie: – „Trudno, będzie mi ciebie brakować” – jej późniejsza reakcja, w zaciszu pustego domu, była krańcowo nieopanowana i w niej samej budziła lęk. Nigdy nie zwierzała się Paulowi z tych godzin; kiedy mijały, sama wołała się nie zastanawiać, co znaczą. Sięgała w głąb siebie i odkrywała, że bez niego nie ma już nic, jest tylko ziejąca pustka. Raz po odłożeniu słuchawki siedziała na parterze w kucki chyba całymi godzinami przy telefonie w ciemności, a kiedy wreszcie spróbowała się ruszyć, była zbyt zziębnięta i zdrętwiała, żeby się wyprostować, musiała wdrapać się po schodach na czworakach. W domu nie było telewizora, a czytać nie mogła. Kładła się więc do łóżka przy włączonym radiu i próbowała

zasnąć, słuchając głosu spikera. Tak mijały kolejne godziny, aż nadchodził świt.

*

Zatrząskiwał za sobą drzwi, jego buty tupwały na nieprzykrytych dywanikiem schodach. Potem zjawiał się w jej pokoju, zrzucając z siebie płaszcz – zielony, nieprzemakalny, czasem ociekający wodą. Nigdy więcej nie widziała go już w szarej prążkowanej marynarce sportowej, którą zapamiętała z pierwszego spotkania w pociągu. Podchodził i spoglądał jej uważnie w oczy, kładąc dłonie na jej policzkach. Siadał na brzegu łóżka, żeby rozwiązać sznurowadła adidasów, narzekał na podróż do miasta albo skarżył się, że w pisaniu utknął w martwym punkcie. Ona też się rozbierała, bo nigdy nie zdobyła się na to, by czekać na niego w piżamie albo nago. Jakie by to było okropne, gdyby nadgorliwie się dla niego rozebrała, a on z jakiegoś powodu nie chciałby się z nią kochać. Niekiedy, w zależności od tego, ile mieli czasu, tulili się do siebie w ubraniach, całowali i rozmawiali; albo ona parzyła mu w kuchni kawę, albo przyrządzała drinki. Robiła manhattany, których, jak powiedział, nigdy wcześniej nie pił, chociaż trudno jej było w to uwierzyć. Przysięgał, że każdy manhattan, którego do końca życia wypije, będzie na jej cześć. Mimo że stało się ich prywatnym żartem to, jak pierwszego dnia próbowała go odtrącić, oprowadzając po całym domu, czasami pokazywała mu najnowsze postępy w remoncie, a on uprzejmie udawał, że go to interesuje. Jeżeli coś gotowała, czuła się, jakby odgrywała rolę gospodyni, i lubiła, jak ją obserwował. Raz naszła ich ochota na seks w kuchni, w samym środku gotowania tagliatelle, które później nadawało się tylko do wyrzucenia; potem musieli wziąć prysznic, bo nowo położona kamienna posadzka wciąż była mocno zakurzona, choćby nie wiadomo ile razy Cora ją myła. Oboje byli komicznie zatroskani, szcztokując jego ubranie, żeby nie podpadł żonie.

Paul przypominał jej czasami, ostrożnie i szarmancko, że nigdy nie opuści swoich córeczek – raz, kiedy siedziała na brzegu łóżka, a on całował ją po kolanach. W tamtym momencie ujrzała siebie jako małą postać w oddali, jak na iluminacji w średniowiecznym rękopisie: naga kobieta o bladych, patykowatych nogach, alegoria znikomości ziemskich rozkoszy. Wsunąwszy dłonie w jego włosy, pochyliła się nad nim, czując okrągłość jego czaszki pod palcami, jakby trzymała w rękach jego myśli.

– Wiem, wiem – powiedziała pocieszająco, zanurzając usta w jego włosach.

Jakby to było w porządku.

*

Czasami, kiedy byli razem w łóżku, na parterze dzwonił telefon. Cora nigdy go nie odbierała, ale musieli czekać w zawieszeniu, nie ruszając się i milcząc, gdy telefon dzwonił i dzwonił, czasami bardzo długo, bo nie miała poczty głosowej. Raz zapomniała wyłączyć komórkę, która

zaczęła dzwonić jej w torebce, w sypialni, gdzie się kochali. Innym razem w sobotę rano przyszedł Alan, żeby kontynuować remont kuchni, kiedy Cora zupełnie się go nie spodziewała (miał wyjechać z żoną na weekend, ale pogoda pokrzyżowała im plany). Musiała zbiec na dół w naciągniętym na piżamę swetrze i z nim negocjować, z udawanym żalem zmyślając jakąś nieprzekonującą historyjkę o gościach, którzy mają przyjść na lunch. Była pewna, że Alan czegoś się domyślił; nie powinna była zamykać drzwi sypialni tak starannie. W ich znajomości, wspólnej pracy nad domem panowało później napięcie.

Taki był rytm tej miłości – nazywała ten związek „miłością” dla siebie przed lustrem, nie w jego obecności. Każda godzina, jaką spędzała z Paulem, istniała w ciągłej terażniejszości, która w chwili, gdy się rozstawali, pierzchała bez ostrzeżenia, stając się nieodwołalnie przeszłością, do której nie ma powrotu, zamkniętą jak w kapsule. Cora pragnęła odzyskać chwile, gdy ją podrywał, jego desperację w kawiarni, kiedy trzęsły mu się ręce i zapisywał w notesie jej imię.

– Przeczytałam twoją książkę – powiedziała mu nieśmiało.

– Nie... serio? Którą? Kupiłaś ją? Mogłem ci dać.

Mimo sierpnia za oknem w pokoju było zimno. Paul zakrył jej barki kołdrą; zaczęła zwracać uwagę na każdą oznakę jego zainteresowania i troski poza samym seksem, ponieważ czasami nachodził ją lęk, że jego uczucia tracą intensywność, że pierwszą namiętność ma już za sobą. Próbując opisać mu swoje wrażenia z lektury, o przedstawieniu natury w literaturze dla dzieci, zrobiła się nerwowa w obawie, że zdradzi się z jakimś kompromitującym błędem interpretacyjnym, mimo że podczas czytania bez większego trudu śledziła całą argumentację.

Paul z ożywieniem wytknął luki w tym, jak przedstawił temat, i stwierdził, że gdyby mógł napisać tę książkę jeszcze raz, zrobiłby to zupełnie inaczej. Cora ukryła swój egzemplarz w torbie; obawiała się – naiwnie, jak się teraz okazało – że będzie zawstydzony tym, że poczuje się przytłoczony jej poświęceniem. Paul zasugerował, że powinien napisać jej dedykację. Zawahała się, zanim wręczyła mu książkę, lękając się ostateczności słów, jakie wybierze.

– A jeśli znajdzie to twój mąż?

– Powiem, że poprosiłam cię o autograf na spotkaniu autorskim.

Roześmiał się i pokazał jej, co napisał: „Dla Cory, dzikiej w dotyku”.

– To dopiero spotkanie autorskie – zauważył. – Lepiej trzymaj ją na wysokiej półce. Wiesz z czego to? Ten cytat?

Wiersz Wyatta należał do jej ulubionych, odkąd była nastolatką.

– Oczywiście, że wiem.

– Oczywiście. Jesteś w końcu nauczycielką angielskiego.

W innym życiu mogłaby uznać jego dedykację za przesłodzoną, chępliwie napuszoną. Czują

się nią przyszpilona. Miał nad nią taką władzę, że czasem robił się przez to niezdarny. Przez myśl przemknęła jej reszta wiersza – czy Anna Boleyn nie należała do Cezara i czy wszystko nie skończyło się źle^[21]?

Ale będę miała przynajmniej to jedno, pomyślała. Bez względu na zakończenie.

Wiedziała już, że jest w ciąży.

*

Paul wyjechał na weekend do Szkocji, zabierając na wycieczkę całą rodzinę (razem z nastoletnią córką z pierwszego małżeństwa). Chociaż na południu padało, na północy mieli ładną pogodę. Cora na długi weekend poleciała z Robertem do Paryża, ale później ledwie pamiętała, co robili, tak jakby istniała tylko w związku z Paulem. Kiedy wrócił, wzięła w dłonie jego ręce, zanurzając w nich twarz. Poczowała na palcach zgrubienia od wiosłowania, zapach soli, płynu do opalania, dzieci (jego najmłodsza córka miała tylko trzy latka). Nie mogła mu jeszcze powiedzieć o ciąży.

Tego samego wieczoru wyznała, że chciałyby spędzić z nim trochę czasu gdzieś indziej, poza tym na wpół wyremontowanym domem. Oparłszy się plecami o poduszki, przy kawie, z piersią przykrytą prześcieradłem, zaczął się zastanawiać nad wiarygodnym pretekstem, pod jakim mógłby się wyrwać na całą noc. Wymyślił, że powie żonie, że jedzie zbierać materiały do nowej książki, o ogrodach zoologicznych. W miarę jak przyzwyczajał się do Cory, odprężał się, pełen tolerancji i łagodnej dobroci, podczas gdy ona robiła się coraz bardziej sztywna, jakby oplatał ją i zaciskał się drut. Mówiła mniej, zalekniona, że mogłaby palnąć jakieś głupstwo, które wywołałoby u niego intelektualną odrazę. Trudno było uwierzyć, że przy pierwszym spotkaniu w pociągu nie bardzo jej się spodobał i uznała go za pretensjonalnego, a gdyby tylko spróbował okazać jej pogardę, gotowa była natychmiast odpłacić mu pięknym za nadobne; teraz te oceny kładła na karb własnych błędów w postrzeganiu rzeczywistości. Gdyby ktoś spojrział na nią z zewnątrz, uznałby, że się poniża, tak całkowicie ulegając jego autorytetowi. Zanim poznała Paula, sama nawet nie podejrzewała u siebie takich skłonności. Kiedy słyszała albo czytała o desperacji i upokorzeniach, na jakie inne kobiety godzą się z miłości, była zdumiona, pełna niesmaku i litości, zdając sobie mgliście sprawę, że coś jej w życiu umknęło.

Pod koniec sierpnia Paul zawiózł ją do zachodniego Somerset i zatrzymali się na jedną noc nad Kanałem Bristolskim w pensjonacie, który mieścił się w wysokim szarym domu przy głównej ulicy miasteczka z przystanią i papiernią. Cora była tym domem zachwycona właśnie dlatego, że nie grzeszył zbytnią urodą; panowała w nim czystość, ale meble i wystrój były utylitarystyczne, jeszcze z lat pięćdziesiątych, z brązowym linoleum na podłogach i wysokich schodach o mało solidnej konstrukcji. Stare, nierówne szyby w oknach zniekształcały widok. Ich pokój znajdował

się na górze, łóżko w nim było zasłane luźno tkanymi pledami przykrytymi pluszową kapą, a z okna widać było mokry bruk tylnego dziedzińca i wysoki mur zarośnięty paprociami i budleją. Było zimno i deszczowo. Kiedy wyszli na dwór, musiała poczekać na esplanadzie, a Paul oddalił się od niej, kuląc się na wietrze z telefonem przy uchu i zakrywając kurtką głowę, gdy rozmawiał z żoną; takielunek żaglówek brząkał i grzechotał. W kafejce na rogu zjedli smażoną rybę z frytkami. Zacinający deszcz bębnił o zaparowane szyby okien. Cora prawie nie wybiegała myślą w przód, w każdym razie nie dalej niż do następnego ranka. Kiedy wrócili do pokoju, zdawało się, że ogrzewanie jest wyłączone, więc zaczęli kręcić gałką kaloryfera, próbując ustawić odpowiednią temperaturę.

– Co za pierdolona dziura – rzekł posępnie Paul. – Tak mi przykro. Byłem tu wcześniej i wydawało mi się, że to sympatyczne małe miasteczko. Zdaje się, że świeciło wtedy słońce czy zdarzyło się coś równie nieprawdopodobnego.

– Nie przejmuj się, mnie się podoba.

I rzeczywiście była wdzięczna za kiepską pogodę, która zdawała się opatulać ich razem w pokoju; przez chwilę miała intensywną świadomość całej tej sceny, jakby oświetlonej błyskawicą albo przedstawionej na obrazie. Paul z rękami w kieszeniach stał poirytowany przy ciemnym oknie, podczas gdy woda spływała po szkło, a ona układała mokre kurtki na zimnym kaloryferze. W tym nieznanym otoczeniu odnosiła wrażenie, jakby przenieśli się do innego kraju i następny dzień będzie krokiem w nieznaną. W swoim nowym stanie – brzemiennym – czuła, że nie zna samej siebie. Nie wymiotowała, ale była pewna, że zaszła w ciążę, jeszcze zanim wykonała test; czuła ciągle lekkie nudności, nie tak znowu nieprzyjemne, i wrażenie płynności w pełnych, nabrzmiąłych piersiach. Jej sekret nie zdążył jeszcze obrosnąć obowiązkami i konsekwencjami: nie mogła go nikomu zdradzić i pielęgnowała tę tajemnicę niczym płomyk, który się w niej zapalił.

Kiedy Paul odwrócił się od okna, bała się, że ujrzy w jego twarzy żal, że z nią tutaj przyjechał, ale z ulgą stwierdziła, że pozbierał się wreszcie po rozmowie z żoną. Powinna była przewidzieć, że będzie potrafił wykorzystać okazję. Był ambitny. Nie zawodowo jak Robert, ale w stosunku do siebie, swoich przeżyć. Nie zmarnowałyby takiej nocy kwaśnym nastrojem. W rozproszonym świetle z lampki nocnej – w chromowanej obudowie z małym bolcem włącznika, pergaminowym abazurem i starodawnym kręconym kablem – jego smukła niczym świeca męska sylwetka o wąskich barkach i konturach rozszerzających się lekko ku środkowi ciężkości w szczupłych biodrach sprawiała, że Cora wprost się roztapiała. Nigdy wcześniej nie wiedziała, co to znaczy kochać mężczyznę, którego ciało się ubóstwia; miało to tajemniczy, ale konieczny związek z jego arogancją i jakimś zimnym rdzeniem jego wolności. Podziwiając ją, wyjął ręce z kieszeni – kupiła

w Paryżu nową bieliznę. Czują jego spojrzenie niczym fizyczną siłę na skórze, siłę, której towarzyszyło doznanie wyznaczanych przez jej ciało granic. Ich stosunki były asymetryczne. Ona była dla niego bytem w pełni skończonym, którego pragnął i który posiadał – zobaczył ją całą już tamtego pierwszego razu w pociągu, odcisnięte na jej twarzy silne piętno osobowości czytelne dla niego niczym piktogram, podczas gdy ona zanurzała się w jego życiu niczym w wartkim, rwącym strumieniu, zatracona w nim i zagubiona, tak że nie mogła wiedzieć o nim wszystkiego. Przedtem nawet nie wyobrażała sobie przyjemności, jaką może sprawiać takie obezwładnienie.

– Jesteś śliczna – zapewnił ją.

Seks za każdym razem miał inny smak i charakter. W różowej jaskini pod pluszową narzutą (było im zimno, więc się nią owinęli) czuła się trochę oszołomiona i zdezorientowana z powodu tego zabawnie staroświeckiego pokoju i deszczu, z wyobrażeniami ponurej surowości, jakby ich ciała były chudsze i ostrzejsze, a doznania bardziej przenikliwe i dojmujące. Byli ukrywającymi się kochankami z czarno-białego filmu, romansu z lat pięćdziesiątych, w obskurnych pensjonatach, w wymiętej pościeli.

*

W nocy śniła o matce. Coś banalnego – jakieś nerwowe zamieszanie organizacyjne, spotkanie z Rhian, na które nie mogła mimo starań dotrzeć, powstrzymywana przez prozaiczne zaprzatające uwagę sytuacje, autobus z trudem wtaczający się na szczyt wysokiego wzniesienia, uczniów czekających na nią w klasie. Boleśnie usiłowała skupić się na wyznaczonym spotkaniu, ale jego wizja oddalała się i rozplywała; we śnie brakowało nastroju żalu, była tylko panika i daremne oburzenie.

Moment, gdy obudziła się z tym wspomnieniem, był okropny. Przebijała się przez jakąś krępującą ruchy powłokę; ogarnięta żalem dochodziła do siebie przytulona do pleców Paula, z nosem i ustami przyciśniętymi do wystających kręgow i skóry wilgotnej od jej oddechu, z kolanami wpasowanymi w zgięcie jego nóg. Wygramoliwszy się z łóżka ostrożnie, żeby go nie obudzić, włożyła przez głowę jego koszulę i wykradła się do łazienki, która znajdowała się po przeciwnej stronie korytarza, dostępna także dla gości drugiego pokoju na piętrze. Byli przekonani, że ten drugi pokój jest pusty, ale teraz zobaczyła przez szparę pod drzwiami, że tam pali się światło, i zawstydzila się, że może ich łóżko za głośno skrzypiało albo objało się o ścianę. Dom wciąż był spowity kokonem szumiącego deszczu.

Łazienka mieściła się w dawnej kanciapie pod skosem dachu; był tam świetlik, linoleum na podłodze i prysznic z czarnym grzybem porastającym narożniki. Cora z obrzydzeniem stąpała po niej na bosaka. Przed klozetem leżał różowy dywanik stanowiący komplet z narzutą łóżka; kiedy odkręciła zimną wodę, żeby obmyć twarz, wszystkie rury zadudniły i zajęczały tak głośno, że

czym prędzej zakręciła kurek. W środku nocy staroświecko surowy dom nie wydawał się już uroczy, lecz wrogi, jakby stanowił scenerię zbliżającej się katastrofy. Usiadła na sedesie i zgięła się w pół, obejmując ramionami kolana. Z żalu nad sobą chciało jej się płakać, ale była sztywna ze wstydu i przerażenia. Rodzice ją uwielbiali i rozpieszczali, była ich ukochaną księżniczką, ich cudowną gwiazdką. Jak paskudna się sobie teraz wydawała, jak proch i zgniły fałsz. Ból tęsknoty za nimi był tak ostry, że gdy podcierała się papierem toaletowym, półświadomie spodziewała się, że zobaczy krew, ale nie było ani kropli, wszystko działo się tylko w jej głowie.

Załoskotała klamka – ktoś próbował wejść. Paul? Gdyby to był on, na pewno zawołałby ją po imieniu. Potem usłyszała niecierpliwy, burkliwy odgłos, niewątpliwie mężczyzny stojącego pod drzwiami. Znieruchomiła, mimo że rozsądniej by zrobiła, gdyby spuściła wodę albo zawołała, że zaraz wyjdzie. Tamten mężczyzna czekał jeszcze przez jakiś czas, po czym podreptał do pokoju. Nie zatrasnął drzwi, ale zamknął na tyle głośno, by w środku nocy wyrazić swój słuszny gniew i potępienie. Bez wątpienia nagana dotyczyła nie tylko zajęcia łazienki, ale i wcześniejszego skrzywienia sprężyn w materacu. Cora skuliła się płochliwie, kalkulując po dziecinnemu, że póki nikt jej nie zobaczy i nie usłyszy, może uda jej się pozostać niewidzialną.

A gdyby naprawdę coś się ze mną działo? – usprawiedliwiała się w duchu. Miałabym prawo siedzieć tu dłużej.

Zresztą w pensjonacie musi być jeszcze inna łazienka, z której tamten mężczyzna mógłby skorzystać, piętro niżej.

Ostatecznie nieznajomy znowu wyszedł i zaczął mocować się z drzwiami, szarpiąc za klamkę; potem czekał na korytarzu tak długo, aż Cora zmuszona była spuścić wodę i otworzyć. Na szczęście korytarz nie był oświetlony, bo zdała sobie sprawę, że koszula Paula ledwo zakrywa jej tyłek. Ujrawszy ją, mężczyzna znów wydał z siebie pomruk odrazy – gulgoczący i gardłowy. Ich spotkanie o tej porze i w tych okolicznościach zdawało się ogołocone ze wszelkich wymogów uprzejmości czy choćby obopólnego uznania. Cora nie spojrzała w jego stronę, nie wymamrotała żadnych przeprosin, tylko uciekła do pokoju; w świetle zza otwartych drzwi zobaczyła wysokiego siwowłosego mężczyznę, bardzo wyprostowanego, z szeroką twarzą choleryka, nalaną i obwisłą jak maska. Miał na sobie piżamę i szlafrok frotté w prążki, który zdawał się doskonale dopasowany do staromodnego wystroju całego pensjonatu, przewiązany sznurkiem wysoko na pękatym brzuchu.

Rano poprosiła Paula, żeby zjedli śniadanie na mieście, a on się zgodził, myśląc, że obawia się po prostu, że podano by im coś okropnego. Zapłacił za nocleg i wyszli z pensjonatu, nie napotkawszy innych gości. Spędzili razem radosny dzień. Paul nigdy wcześniej jej nie woził samochodem. Nie znała dobrze tej części kraju. Słońce było po deszczu nieśmiałe i łagodne,

niosło w sobie pierwszą zapowiedź jesieni. Szli wąską ścieżką uczęszczaną tak rzadko, że porośla ciemnym mchem, płoszyli bladokrzydłe motyle, które wzbijały się niczym kurz nad wysokie żywopłoty, które jak powiedział Paul, były starożytnymi granicami pól. Powiedział też, że gleba jest tu czerwona, bo pod spodem znajduje się czerwony piaskowiec. Bukowe żywopłoty były dla Cory objawieniem. Paul wyjaśnił, że w zimie nie zrzucają liści, które choć martwe i zasuszone, utrzymują się aż do wiosny, kiedy roślina znowu się zazielenia. Dzięki temu stanowią świetną barierę przeciw wiatrom. Liście były teraz metalicznie zielone, prawie jak z brązu. W regularnych odstępach pozwolono wyrosnąć pojedynczym drzewom bez przycinania, ich szare i gładkie konary znikwały w gęstych koronach, które górowały nad resztą żywopłotu i w ukośnych promieniach słońca rzucały cień na pola gęsto obsiane pszenicą.

*

Po tygodniu wszystko dobiegło dramatycznie końca.

Żona Paula, Elise, dowiedziała się, co się dzieje. Pewnego ranka, kiedy Cora była w Londynie w pracy, w środku rekrutacji na kursy na nowy rok, zadzwoniła jej komórka i kobiecy głos zapytał: „Halo? Kto tam?”.

Natychmiast się zorientowała, co to znaczy, i bez słowa wyłączyła telefon. Dokończyła rozmowę rekrutacyjną. Więc to już. Cała jej świadomość zadrżała jak od trzęsienia ziemi i zgasła na jedną, niedostrzegalną z zewnątrz chwilę – ale jednocześnie Cora poczuła ulgę, jak euforyczny świst wiatru w uszach, kiedy się spada z wysoka. Obdarzona ponadmysłową intuicją miała wrażenie, że dowiedziała się o Elise wszystkiego na podstawie tego głosu – niskiego z lekką chrypką, mocnego, pogardliwego, opanowanego. Żona Paula nie była subtelna ani błyskotliwa, ale za to silna. W porównaniu z nią delikatność zdawała się mdłym mazgajstwem. Cora wierzyła nawet, że potrafi rozpoznać po głosie, jak Elise wygląda: krępa, atrakcyjna, energiczna blondynka; a może Paulowi wypsnęły się kiedyś te szczegóły w rozmowie? W drodze do domu wyrzuciła komórkę do ulicznego kosza na śmieci i później udawała, że ją zgubiła. Wszystko, co robiła w tamtych dniach, było gorsze od tchórzostwa, a na dodatek niedojrzałe i głupie; wstydziła się za siebie. Powinna była coś Elise odpowiedzieć, choćby do wszystkiego się przyznać. Ale przy pierwszej oznace kłopotów uciekła.

Z telefonu stacjonarnego zadzwoniła do Paula. Palce miała tak niezdarne, że dwukrotnie źle wystukała numer. Historia wyglądała tak, że Elise nabrała jakichś podejrzeń, znalazła numer Cory w pamięci komórki męża i doprowadziła do konfrontacji. Cora nigdy nie uwierzyła, że to już cała prawda: opowieść ta brzmiała w ustach Paula niekompletnie. Musiało być coś jeszcze, część historii, którą przemilczał, a w niej przypuszczalnie znacznie więcej wyznań i ustępstw z jego strony, okraszonych solennymi zapewnieniami, że chce być z Elise i dziećmi. Nigdy jednak nie

zdołała się tego dowiedzieć, ponieważ drzwi do jego życia szybko się przed nią zamknęły. Paul zapewnił, że Elise nie zna jej imienia i niczego o niej nie wie. Musiało to znaczyć, że zdołał przekonać żonę, że Cora tak naprawdę wcale się nie liczy.

Zresztą zawsze ją ostrzegał, że jeśli będzie musiał, to właśnie takiego dokona wyboru.

Nie powiedziała mu o dziecku. Powstrzymała się, sądząc, że może nadejść do tego odpowiedniejszy moment. Spędzili wspólnie jeszcze jedną okropną godzinę – w domu w Cardiff, dość kulturalnie, bez uchybień w dobrych obyczajach. Cora marzyła, że będą się kochać po raz ostatni, a potem powie mu o ciąży, ale gdy tylko Paul wszedł, przekonała się, że to nie wchodzi w rachubę. Przez jakiś czas był rozproszony i zawstydzony, siedzieli przy kuchennym stole, a rozmowa się nie kleiła. Cora żałowała, że brak jej sił, by go po prostu odprawić, ale uczepliła się tych ostatnich minut z nim, choćby miały być upokarzające. Całe jej pożądanie skupiało się na tym jednym cieple, na przygarbionej sylwetce przy stole, na tym, jak marszczył czoło, gdy wypalił dwa papierosy i namiętnie wgniótł je w spodek, który mu podała. Nawet jego cierpienie było wyjątkowe i olśniewające, ponieważ było jego.

Elise powiedziała: jedna godzina!

Kiedy nadeszła pora rozstania, Cora uchwyciła się rękawa jego marynarki i płakała mu w mankiet, błagając o odroczenie wyroku jeszcze na chwilę. Pochylił się, gładził ją po włosach.

– To moja wina – powiedział – to naprawdę wszystko moja wina. Nie wiedziałem, że będzie tak źle.

– Uwolnisz się ode mnie z ulgą, jestem pewna.

– Tak myślisz? Nie uwolnię się od ciebie. W tym cały kłopot. To nie takie proste.

Był szczerze nieszczęśliwy, przytulił ją do serca. Wiedziała, co to znaczy, i że to musi jej wystarczyć. Gdyby jej pragnął, mógł poprosić, żeby z nim została. Rzuciłaby dla niego wszystko. Ale nie poprosił.

*

Jak coś, co wypełniało życie tak całkowicie, po same brzegi, a zostało usunięte, może nie zostawić śladu? Później Cora czuła się czasami, jakby huk tej olbrzymiej eksplozji ją ogłuszył, wysysając hałas ze spokojnych, pozornie zwyczajnych dni jej życia. Gdyby teraz umarła, byłoby zupełnie tak, jakby cała sprawa nigdy nie zaistniała. Ciało zatonełoby w jeziorze albo ruchomych piaskach, woda zamknęłaby się nad nim, dziura w lodzie by się zasklepiła.

Nikommu o Paulu nie powiedziała. Może zwierzyłaby się Frankie, ale ona była jednocześnie jej najlepszą przyjaciółką i siostrą Roberta; w tych okolicznościach było to wykluczone. Nie istniały żadne zwyczajne związki między jej życiem a życiem Paula, nie było mowy, by jego imię albo wiadomości o nim pojawiły się w rozmowie wśród jej znajomych. Tylko Paul wiedział, co się

stało – i Elise, jego żona, w takiej postaci, w jakiej jej tę historię strawestował – ale teraz drzwi zamknęły się za nim nieodwołalnie, więc równie dobrze mógłby nie istnieć w jej terażniejszości. To prawda, z początku miała halucynacje, że wszędzie go spotyka. Przy każdym kroku, czy to ubierając się rano, czy też prowadząc lekcje, roiła sobie, że odgrywa to wszystko dla niego, na jego oczach. Najtrudniejsze były szarpiące nerwy ciągłe zakłócenia między złudzeniem jego obecności a świadomością, że w rzeczywistości go przy niej nie ma. Wiedziona ostatnim wątkiem instynktu obrony przed szaleństwem, trzymała się zabobonnego postanowienia, że nie będzie szukać go w Internecie. Kupiła zeszyt, żeby spisać to, co się stało, aby cała historia nabrała realnych rysów poza jej umysłem; ale kiedy się do tego zabrała, stwierdziła, że nigdy nie uda jej się znaleźć właściwych słów.

Zresztą zeszyt mógł być zbyt niebezpieczny, spisane wspomnienia mogłyby mieć swoje skutki: na przykład gdyby umarła i trafiłyby w ręce Roberta. A przez te pierwsze tygodnie wydawało jej się całkiem prawdopodobne, że może umrzeć w każdej chwili. Infantylnie myślała, że pragnie śmierci, chciała spotkać się znowu z rodzicami, choćby w nicości. Na powierzchni utrzymywało ją niespodziewanie to, że jej kryzys nie odbił się żadnymi skutkami na jej życiu codziennym. Mogło się to wiązać częściowo z jej tchórzostwem (gotowa była myśleć o sobie jak najgorzej). Możliwe, że za bardzo bała się drastycznej zmiany w wyrazie twarzy Roberta, gdyby się o niej dowiedział, nagłego kresu jego sympatii i troski. W swojej słabości polegała na jego dobroci, wykorzystywała ją. Inaczej niż na początku, kiedy była silna, nie pozwalała już sobie na przypuszczenia, że Robert się czegoś domyśla; jeżeli nawet coś podejrzewał, musiał to głęboko ukrywać. Tak było najlepiej: wszystko pogrzebać. Życzliwa przyzwoitość i powierzchowność w codziennych kontaktach sprawdzała się najlepiej. Cora poddawała się życiu z bladą wdzięcznością i wycofaniem, jakie w jej wyobrażeniu odczuwać musi osoba cierpiąca na jakąś wyniszczającą, odbierającą sprawność chorobę. Chociaż nikczemne było porównywanie jej cierpień z jakąkolwiek rzeczywistą chorobą. Nie stało jej się nic, co w choćby najmniejszym stopniu zaważyło na świecie zewnętrznym. Było to tylko rozwydrzenie i udawane męki wybujałego egoizmu.

Jedynym wyraźnym punktem zaczepienia w terażniejszości okazało się dziecko. Przejęła się myślą, że skoro wyrośnie z tego kataklizmu, stanie się kluczem do innego życia; czuła tę nadzieję w swoim ciele. Mimo że było wynikiem związku z Paulem, istniało teraz pomimo jego zakończenia i będzie wymagało od Cory miłości i odpowiedzialności na nowych, własnych warunkach; już zaczynała to dostrzegać. Jeśli się urodzi i będzie wyglądało jak Paul, nikt tego nie zauważy. Dla całego świata będzie dzieckiem jej i Roberta. Kiedy się urodzi, zamierzała wyrzucić kartkę z numerem telefonu Paula i wszystkie jego książki, także tę z dedykacją, by żaden trop nie

mógł już do niego zaprowadzić. Miała nadzieję, że będzie to chłopak, bo Paul miał na razie same córki. Często widziała te dziewczynki w wyobraźni, maleńkie, jakby patrzyła na nie przez lunetę z odwrotnej strony, więc ich buzie były niewyraźne: jedna miała ciemne włosy, a druga była blondynką.

Raz w chwili spazmatycznej tęsknoty zadzwoniła na jego numer, ale usłyszała tylko nagraną wiadomość, że abonent jest niedostępny; zmienił telefon, Elise musiała go do tego zmusić. Wydawało się teraz niezwykle, że nigdy nie zapytała go o domowy adres ani o e-mail; przypuszczała, że gdyby naprawdę chciała, udałoby jej się je zdobyć. Paul napisał jej jeden list już po zakończeniu romansu, zaadresował go do domu w Cardiff, a jeden z robotników budowlanych musiał go pewnie odebrać i położyć na kaloryferze w przedpokoju, bo tam właśnie go znalazła, kiedy pewnego weekendu przyjechała, żeby oprowadzić po domu agenta nieruchomości. Przedtem podświadomie spodziewała się listu i usiłowała stłumić swoje oczekiwania. Kiedy go wreszcie dostała, rozerwała kopertę ze ślepą niecierpliwością, serce w niej trzepotało, objając się boleśnie o żebra, i czuła, że trzyma w rękach swój los. List był wspaniały. Paul pisał o niej niezwykle rzeczy, słowami, które nie były zbyt gładkie, przymilne czy dowcipne; usiłował przekazać jej szczerze, co czuje. Napisał, że wszyscy w domu się przeziębili, że życie rodzinne dalekie jest od sielanki i że kiedy gorączkował, śniły mu się koszmary, w których występowała; jej skóra była twarda i zimna albo spotykali się w zanieczyszczonych ruinach fabryki, albo szydziła z niego w jakimś obcym języku, którego nie rozpoznawał (może śnił po walijsku?). Opowiedział jej, co teraz czyta, i że pisanie idzie mu jak po grudzie i wychodzi fatalnie. Cora nie mogła mu tego listu wybaczyć. Łkając, podała go na strzępy, wrzuciła do zlewu i podpaliła, a na koniec splukała wilgotny popiół. Nigdy Paulowi nie odpisała. Nie miała dokąd wysłać odpowiedzi.

Agent nieruchomości uważał, że z łatwością uda jej się sprzedać dom za dobrą cenę, ale uznała, że nie jest gotowa się z nim rozstać, przynajmniej na razie. Nie przyznała się nikomu, że jest w ciąży, nawet lekarzowi. Aż pewnego dnia, mniej więcej w piętnastym tygodniu (według jej rachunków), zaczęła krwawić, kiedy była w pracy; jej koleżanki wezwały karetkę i wyprowadziły uczniów na parking, kiedy sanitariusze wynieśli ją owiniętą czerwonym kocem. Po raz pierwszy zrozumiała wtedy, dlaczego koc musi być czerwony.

– To pocieszający znak – powiedział Robert w szpitalu, gdy było już po wszystkim i wróciła z rutynowego łyżeczkowania. W ciemnym garniturze siedział na plastikowym krześle przy jej łóżku, z poluzowanym krawatem i dłońmi splecionymi między kolanami, przygarbiony i małomówny, przybity, zaniepokojony i współczujący. – Wskazuje, że coś jest możliwe.

III

Przebierała książki w bibliotece. Polegało to na tym, że zdejmowała z półek egzemplarze, które miały więcej niż siedem lat, albo takie, których nikt nie wypożyczył przez rok albo dłużej. Kiedy wybrała już książki do usunięcia, musiała wczytać ich kody kreskowe i wprowadzić stosowną notatkę w katalogu komputerowym; czasami obok danego tytułu widniała chorągiewka, która ostrzegała, że to ostatni egzemplarz we wszystkich bibliotekach w Cardiff. Przebierało się książki, gdy nie było do zrobienia nic pilniejszego. Na początku Cora uważała, że to skandal, i spierała się ostro z Annette i Brianem, że nie wolno im pozbywać się Penelope Fitzgerald czy Colma Tóibína. Ale potem się z tym oswoiła. Wszystko miało swój moment blasku i chwały, a potem musiało ustąpić miejsca innym. Każdy naprawdę zainteresowany dawniejszą twórczością tych autorów mógł znaleźć to, co chciał, w Internecie. Pozycje usunięte z katalogu były wykładane na sprzedaż po 10 pensów na półce obok stanowiska bibliotekarskiego i Cora sama niektóre z nich kupowała. Kiedy przywiozła swoje książki z Londynu, bezwzględnie pozbyła się ponad połowy z nich, ale teraz jej półki znowu się zapełniały.

Zawsze w pracy wyłączała swój telefon, ale dzisiaj zerkała na niego od czasu do czasu, sprawdzając, czy nie ma nowych esemesów. Zaprzyjaźniła się z pewną kobietą z chóru, Valerie, która starała się kupić dla niej bilety na „Orfeusza” do Walijskiej Opery Narodowej. Valerie udzielała się w lokalnym oddziale Amnesty International i próbowała włączyć w tę działalność także Corę, zapewniając ją, że to fajna grupa ludzi. Cora myślała, że kiedyś tam wstąpi, ale jeszcze nie teraz. Powoli jej dawne sumienie zaczęło się znowu odzywać, jakby budziło się z długiego letargu; żyła ostrożnie i bez fantazji, niczym zwierzę w norze. Jej umysł potrzebował teraz czasem większych wyzwania, jakiejś gimnastyki. Czy praca w bibliotece wystarczy, jako wyraz jej przynależności do świata i społeczeństwa? Trzeba się było jednak liczyć z rozbieżnością między chęcią zrobienia czegoś pożytecznego a rzeczywistymi możliwościami. Wolała nie czynić wielkich gestów i nie angażować się tylko po to, by później utracić wiarę i zawieść ludzi, przed którymi się do czegoś nieopatrznie zobowiązała. Ta nieufność do siebie, wobec swoich umiejętności działania, była w jej osobowości czymś nowym. Dawniej nie kwestionowała tego, w co wierzy, i bez namysłu rzucała się w wir zajęć.

Zobaczyła, że Frankie zostawiła jej pilną wiadomość z prośbą o telefon. Wyszła z budynku, żeby zadzwonić z ogródka przed biblioteką. Ładna pogoda, którą wszyscy cieszyli się z pewnym poczuciem winy, na wypadek gdyby był to początek katastrofy ekologicznej w postaci globalnego ocieplenia, niedawno się załamała. Teraz nie padał wprawdzie deszcz, ale dzień był

duszny i ciemny pod wełnianą warstwą chmur. Atmosfera gorączkowej radości i zabawy, jaką sprowadziło słońce, minęła, a piesi i kierowcy sprawiali wrażenie poważnych i zapracowanych.

– Coro, on zniknął – powiedziała Frankie, gdy tylko odebrała telefon. – Jest może z tobą?

– Kto zniknął?

Upłynął ułamek sekundy, zanim Frankie zorientowała się, że Cora nic nie rozumie; jak wtedy, gdy moneta wpada do głębokiej studni... plusk!

– Robert.

– Robert zniknął? Jak to?

– Więc nie jest z tobą?

– Oczywiście że nie.

Frankie wyjaśniła, że był u niej i Druma na niedzielnym obiedzie, a potem w poniedziałek najwyraźniej jak zwykle poszedł do pracy. We wtorek jego sekretarka – Elizabeth – zadzwoniła do Frankie z pytaniem, czy wie, gdzie go szukać. Tamtego ranka miał przewodniczyć zebraniu, ale się na nim nie zjawił. Nigdy wcześniej nie opuścił takiego spotkania, nawet jeśli był ciężko chory. No dobrze, nie był jeszcze nigdy w tak złym stanie, ale od poniedziałku wszelki słuch o nim zaginął. Przestał odbierać telefony i odpisywać na e-maile. Koledzy z pracy taktownie i ostrożnie dawali do zrozumienia, że są tym zaniepokojeni. Frankie pojechała do jego mieszkania (miała klucz), ale i tam nie było po nim śladu. Wszystkie rzeczy zdawały się leżeć na swoim miejscu, wyglądało na to, że tak jak zwykle we wtorek przed południem była sprzątaczką i od tamtej pory nikt niczego nie tknął. Frankie właśnie stamtąd teraz dzwoniła.

W jej głosie słychać było wyższe tony i nerwowo spłycony oddech, chociaż starała się opanować, zachować swój normalny, pełen humoru i trzeźwy punkt widzenia. Zaniepokojona o brata musiała chyba odczuwać pokusę, by obarczyć winą Corę, bo tylko Cora potrafiła do tej pory zburzyć jego spokój. Ale też musiała tłumić w sobie odruch obwiniania kogokolwiek, ponieważ zamierzała zostać pastorem.

– I to było we wtorek?

Teraz był czwartek.

Skontaktował się z nią także jakiś straszny człowiek, powiedziała Frankie, jakiś doradca czy ktoś taki, kto chciał pożyczyć od niej telefon, bo Robert mógł na ten numer zadzwonić. Chciał też zabrać jego komputer.

– To pewnie doradca specjalny. Polityczna wtyka w ministerstwie.

– Niczego mu nie dam. Robert ma prawo dzwonić, do kogo chce. Ale facet domagał się tego dosyć ostro.

– Słuchaj, Frank, może do ciebie przyjadę? Mogłabym być na miejscu za parę godzin. Za trzy.

Może jakoś pomogę. Będę czekać na niego w mieszkaniu.

– Nie wiem, dlaczego wszyscy tak się gorączkują. Może po prostu pomyślał sobie, no wiesz: pieprzyć to, muszę się od tego wszystkiego oderwać. Przypuszczam, że tak się właśnie stało. Bo niby co innego? Robert nigdy nie miał skłonności samobójczych. On by się nie załamał. W niedzielę czuł się całkiem dobrze. No dobra, jak zwykle nie był zbyt rozmowny. A my jesteśmy gadatliwi, pewnie go zagłuszyliśmy. Spróbujesz do niego zadzwonić? Wiem, że to niezręczna sytuacja.

– Oczywiście, spróbuję. I przyjadę – powiedziała Cora. – Wszystko będzie dobrze.

– Straszny tu kociokwik. Mam ze sobą dzieci, jest przerwa półsemestralna. Musiałam przywieźć je metrem, bo Drum wziął samochód, a ja swój sprzedałam, żeby zmniejszyć ślad węglowy. Dziwne tylko, że Bobs do nas nie zadzwonił. Nie sądzisz, że raczej by zadzwonił?

Cora powiedziała Annette, że musi wyjść, bo w Londynie coś stało się z jej mężem.

– Przypuszczam, że poradzimy sobie bez ciebie – odrzekła Annette. – Jakim mężem? Myślałam, że jesteś rozwiedziona.

W sytuacjach kryzysowych Cora przejawiała naturalną sprawność organizacyjną, natychmiast dostrzegając najlepszy tryb działania bez zwracania na siebie nadmiernej uwagi. Zamówiła taksówkę na dworzec, poprosiła kierowcę, żeby zaczekał przed domem, i wrzuciła trochę najpotrzebniejszych rzeczy do niedużej torby. Spróbowała dodzwonić się do Roberta na komórkę, ale nie odebrał.

*

Pociąg się spóźnił, a potem przekierowano ich do Waterloo. Był jakiś wypadek na torach – ktoś powiedział, że samobójstwo – gdzieś za Reading. Kiedy Frankie zadzwoniła, Cora nie martwiła się specjalnie o Roberta; jej wyobrażenie o nim jako racjonalnym ośrodku, wokół którego chaotycznie wirują inni ludzie, niełatwo było podważyć. Kiedy jednak czekała beczynn timer na bocznicę, a później musiała przejść na inny peron do nowego pociągu, który włókł się w ślimaczym tempie okrężną trasą, objeżdżając wszystkie pipydowy w Surrey, zaczęły się u niej pojawiać oznaki paniki: serce jej łomotało, myśli krążyły wokół nieobecnego Roberta. Nosiło ją, wstała z fotela i ruszyła na czoło pociągu, łudząc się, że w ten sposób zbliży się do celu podróży. Wystawiała głowę przez okno, żeby się rozejrzeć, i dzwoniła do Frankie z pytaniami o najświeższe wiadomości. Inni pasażerowie nie mieli na co patrzeć, więc patrzyli na nią: wysoką, władczą, ładną kobietę o gęstych prostych brwiach, kształtnych kościach policzkowych i bystrych szarych oczach, z niespokojnym skupieniem wypisanym na twarzy. Mężczyźni myśleli, że jest lekarką albo prawniczką. Próbowali wciągnąć ją do wspólnego narzekania na pracowników kolei, ktoś zażartował niesmacznie o zwłokach na torach.

Ilekcroć jechała pociągiem do Londynu, nie mogła się powstrzymać przed myśleniem o Paulu, chociaż nauczyła się zamykać wspomnienia o nim w wyimaginowanej skrzyni i natychmiast gdy się pojawiały, przekręcać klucz w zamku. Wyobrażała sobie te skrzynie jako rekwizyty w jakiejś niebezpiecznej, starodawnej grze, jak szkatuły ze złota, srebra i ołowiu w „Kupcu weneckim” z ich banalnym ludowym przesłaniem o miłości. Widziała go tylko raz, odkąd się rozstali: nie w pociągu, ale gdy przejeżdżał samochodem niedaleko jej domu w Cardiff. Nie zauważył jej, bo się za nią nie rozglądał; wiedziała, że w pobliżu mieszka jego przyjaciel. Kiedy go zobaczyła – zamkniętego w skończonej pełni swego życia na torze równoległym do jej własnego – poczuła bezsilną rozpacz. Fantazjowała, że spotyka go w pociągu i po prostu przechodzi obok, nie zwracając na niego najmniejszej uwagi. W pierwszym roku po ich rozstaniu wydawało się bardzo prawdopodobne, że natknie się na niego, podróżując między Cardiff a Londynem. Teraz, napatrzywszy się na setki nieznanomych, którzy pokonują tę samą trasę dzień po dniu, pojęła, że takie spotkanie jest prawie niemożliwe – co przyjmowała z ulgą, ale i żalem.

*

Nikt nie obserwował jej z okien, kiedy przed swoim starym domem opłaciła taksówkę, ale i tak czuła, że jej powrót rzuca się w oczy. Na ulicy panowała wciąż ta sama atmosfera uprzywilejowanego spokoju i wyciszenia, za balustradami było jak zwykle czysto, wysłużone kamienne schodki wciąż prowadziły do szerokich frontowych drzwi z czasów regencji. Z przyzwyczajenia zerknęła na ukochane drzewa w parku na końcu drogi; widywała je rozkołysane wichrem, ale dzisiaj stały bez ruchu pod otuliną chmur. Jej mieszkanie – mieszkanie Roberta – znajdowało się na pierwszym, najlepszym, piętrze, z balkonem, z którego nigdy nie korzystali, ponieważ byłoby to zbyt ostentacyjne na ulicy, gdzie ceniono sobie dyskrecję. Cora czasami wyobrażała sobie, jak siedzą na nim książę i Charlotte ze „Złotej czary”, patrząc, jak Maggie wraca z dzieckiem z parku, chociaż zdawała sobie sprawę, że ich dom nie zbliża się nawet do elegancji i przepychu, jaki odpowiadałby tym postaciom. Nie była tu od miesięcy. Poczowała się dziwnie, kiedy nacisnęła dzwonek; gdzieś w Cardiff miała klucz, ale nie chciała tracić czasu na jego szukanie. Z początku Frankie była przez domofon bardzo podejrzliwa.

– Bogu dzięki, że to ty! Ten doradca zagroził, że przyjedzie. Chce obejrzeć komputer Roberta. Powiedziałam mu, że nie ma mowy, to własność prywatna.

Objęły się z większą czułością niż przy ostatnim pożegnaniu w Cardiff. Kiedy uwolniły się z objęć, obie miały łzy w oczach, ale i ulgę w sercach – jeszcze przed chwilą obawiały się wzajemnych pretensji.

– Frankie, nie myśl, proszę, że to moja wina.

– Nie bądź głupia. Bobs jest dorosły. Nigdy by mi nie wybaczył, gdybym cię obwiniła. Ale to

po prostu okropne, że nie wiem, czy jest się czym naprawdę martwić.

Frankie z satysfakcją zauważyła niepokój na twarzy przyjaciółki. Chodząc po pokojach, Cora dostrzegała zmiany, jakie zaszły w domu, odkąd przestała tu mieszkać. Robert nie wymienił żadnych mebli, ale wszystko było ustawione trochę inaczej, prawdopodobnie nie na skutek celowych działań, lecz mimowolnego dryfowania. Wyglądało na to, że nigdy nie podzielał jej wizji wystroju – albo też po jej odejściu przestał go obchodzić. Corze też na nim nie zależało już od miesięcy przed wyprowadzką. To ona wyszukała to mieszkanie przy pierwszym zachłyśnięciu się dużymi pieniędzmi (nie tylko z pensji Roberta, ale i z jego spadku – nie było ich wprawdzie tyle, by kupić taki lokal od ręki, lecz wystarczało, by opłacić kredyt hipoteczny). Elegancki, widny i nowoczesny apartament wewnątrz skorupy zabytkowych murów po dwunastu latach wyglądał na zużyty i stary. Krzesła, odsunięte od stołu i nietworzące już towarzyskich grup, w które kiedyś ustawiała je Cora, były zasłane gazetami i papierami z pracy, których sprzątaczką nie tknęła. Poduchy były ułożone na sofie równiutko jak od linijki, a wszystkie bibeloty na marmurowej półce nad kominkiem zostały zepchnięte na bok, żeby ułatwić odkurzanie: zdjęcia, żółte pióra z Adirondack i pasiaste kamyki z plaży w Angus, grajek z miśnieńskiej porcelany, który należał do matki Roberta, srebrny imbryk z Bangladeszu, który Cora kupiła w sklepiku ze starociami. Na klamce otwartych drzwi od kuchni wciąż wisiała torba z garniturem odebranych z pralni. Otwarty, ale wyłączony laptop leżał na szklanym blacie jadalnego stołu, przy którym Johnny i Lulu kolorowali obrazki. Szczoteczka do zębów i maszynka do golenia nie zniknęły z łazienki Roberta. Magnus drzemał w sypialni w wózku spacerowym.

– Próbowałam się do niego dodzwonić, ale nie odbierał – oznajmiła Cora. – Dobrze, że wszyscy tu jesteście. Inaczej byłoby tu bardzo pusto. Może kiedy przebywa tu sam, też ma wrażenie pustki.

– Tylko się nie rozklejmy – powiedziała Frankie. – Robię zupę.

– Zupę?

– Będziemy musieli coś zjeść. Dzieciaki to właściwie takie silniczki, w które rodzice wlewają z jednej strony paliwo. Po drodze tutaj kupiłam warzywa, masło i chleb w tym ekologicznym sklepiku za rogiem. Sprzedawca jest uroczy i ma dobre pieczywo, ale czy wiedziałaś, że wszystko kosztuje trzy razy drożej niż w supermarkecie?

– Bo to taka okolica. Wszyscy mają trzy razy więcej pieniędzy.

– Dziesięć razy więcej.

– Niektórzy prawdopodobnie ze sto razy więcej.

– Niektórzy z nich kąpią się w oślim mleku. Prawdopodobnie można je kupić w tym sklepie.

Johnny i Lulu ledwie podnieśli wzrok, kiedy Cora weszła. Frankie wytłumaczyła, że urządziła

im konkurs na najładniej pokolorowany obrazek, żeby nie ganił się po pokojach, bo może zabrania tego regulamin domu. Potem będzie musiała wybrać zwycięski obrazek, co ze względów taktycznych na pewno okaże się trudne. Lulu, która wybrała flamastry, ssała kosmyk swoich kasztanowych włosów pogrążona w głębokiej medytacji; Johnny, przytłoczony ciężarem swojego starszeństwa i świadomością, że powinien okazać się lepszy, wstał z krzesła i pracował, nerwowo przestępując z nogi na nogę i krzywiąc się groteskowo.

Kobiety ostrożnie dotknęły klawiatury laptopa.

– Myślisz, że powinniśmy go włączyć? – zapytała Cora. – Może jest tam jakiś trop? Ale nie wiedziałybyśmy czego właściwie szukać.

– Tak czy siak, to nie nasza sprawa. I nie znamy hasła.

– Musimy mu zaufać.

– Może wejść tutaj w każdej chwili. Albo zadzwonić.

Frankie powiedziała, że telefonowała do ich siostry, Oony, i informuje ją na bieżąco, ale obie postanowiły nie zawiadamiać jeszcze o niczym brata w Toronto. Zupa gotowała się w garnku na nieskazitelnie czystej kuchence. Kiedy Cora zajrzała do szafki, przekonała się, że blender stoi wciąż w tym samym miejscu. Obie kobiety usiadły przy kuchennym „barku śniadaniowym” – okropna nazwa, jaką posługiwał się agent nieruchomości, kiedy pokazywał im mieszkanie, mimo wszystko przyłgnęła, bo Cora nie знаła bardziej odpowiedniej. Wszystkie blaty w kuchni były z litego dębu. Frankie naląła wina z jednej z butelek Roberta; między kieliszkami leżał jej telefon komórkowy, milcząc złowróźnie. Zwierzyła się, że chciała w środę zadzwonić na policję, ale współpracownicy Roberta w urzędzie powiedzieli, że rozmawiali już ze starszym funkcjonariuszem policji miejskiej i uważają, że dalsze nagłaśnianie sprawy nie jest wskazane. Tak więc nie wiedziała, co jeszcze zrobić. Obdzwoiła już chyba wszystkich, którzy przyszli jej na myśl.

– Naprawdę bardzo zależy im na tym, aby to nie wyciekło do prasy. Tyle przynajmniej zrozumiałam. Chyba jest im wstyd, że zgubili jednego ze swoich najwyższych postawionych urzędników.

– Nie sądzisz, że mógł pojechać do Bar? – podsunęła Cora.

– Do Bar? Boże, nie. Szczerze mówiąc, ani na moment o niej nie pomyślałam. Skąd w ogóle przyszło ci to do głowy...?

– To pewnie nic takiego. Tylko że rozmawialiśmy o niej przez chwilę, kiedy się ostatnio spotkaliśmy.

– Bar była straszna. Nie ten typ osoby, z którą można się związać dwukrotnie. Zresztą na pewno wyszła już dawno za mąż.

– On też tak mówił. Jeżeli po prostu urwał się dokądś sam, bo miał taki kaprys, to nic tylko się cieszyć.

– Też tak myślę.

– Bo kto nie miałby ochoty uciec od tego wszystkiego, jako normalny człowiek? Przecież to tak jakby nie należał do samego siebie.

– Chociaż musimy pamiętać, że zazwyczaj to lubił. Ta praca mu pasowała.

*

Doradca specjalny, kiedy się w końcu zjawiał, okazał się nieprawdopodobnie przystojny, istny młodzieniec z obrazu Caravaggia: pociągła twarz, smukła sylwetka, trupio blady, o kruczoczarnych kędziorach opadających na kołnierzyk, smugi zmęczenia pod oczami, wklęsły brzuch pod częściowo wypuszczoną spod dzinsów koszulą i długie palce o wyraźnie zarysowanych stawach. Był beztrąsko czarujący i sprawiał wrażenie, jakby łaskawie obdarzał je swoją obecnością, żałując, że nie znalazł się w bardziej interesującym towarzystwie. Cora poczuła, że się starzeje i niedługo piękno stanie się dla niej niedostępne. Dopiero na ich wyraźne żądanie zdradził, że nazywa się Damon.

– Pastuszek^[3] – zauważyła Frankie.

Damon zgodził się obojętnie. Jego wzrok szybko powędrował w głąb mieszkania.

– Jakież wieści?

– Jestem żoną Roberta – wyjaśniła Cora.

Popatrzył na nią.

– Ma pani jakowes pojęcie, gdzie sztary drań czmychnął?

Z początku myślała, że naprawdę jest Irlandczykiem, i zorientowała się dopiero po chwili, że tylko parodiuje akcent. Robił wrażenie zniecierpliwionego kłopotami, jakie sprawia mu jakiś wysoki urzędnik w średnim wieku. Właśnie tak to jest, kiedy ktoś traci władzę, pomyślała Cora, chociaż było za wcześnie, by stwierdzić, czy Robert stracił cokolwiek. Taki kolos spada z wielkim hukiem, a potem wszyscy depczą po nim, upokarzają go za to, kim sami są, za to, że w przeszłości byli mu ulegli.

Frankie powiedziała, że nie miały żadnych nowych wiadomości.

– Zaczynamy panikować. Co się dzieje? Czy to ma związek z dochodzeniem w sprawie tego pożaru?

– A co pani o tym wie?

– Nic.

– Nie zrobi chyba jakiejś sceny czy czegoś takiego? Sprawa nie wygląda dla niego dobrze. Powinien był zostać i przyjąć to na klatę.

– Co? O jakiej scenie mowa?

Nie odpowiedział. Magnus rozplakał się w wózku i Frankie wzięła go do kuchni na karmienie; Damon starał się zignorować fakt, że obnażyła pierś, która w zestawieniu z nim samym wyglądała na ogromną. Cała Frankie – zaokrąglona i krzepka – zdawała się zrobiona z innej gliny niż on.

Zapytał Corę, czy się domyśla, gdzie Robert mógł się zaszyć, a ona odparła, że nie ma pojęcia. Spytał, czy próbowała się do niego dodzwonić, i potaknęła, ale wyjaśniła, że nie odebrał. Miała świadomość, jak nieporadnie wygląda w mieszkaniu Roberta, nie chcąc udawać, że jest tu u siebie; doradca prawdopodobnie wiedział o rozpadzie jej małżeństwa. Frankie czuła się w mieszkaniu dużo bardziej zadomowiona. Jej przychówek wniósł hałaśliwą energię i życie, którego dom potrzebował. Kiedy Cora mieszkała tu z Robertem, oboje pracowali do późna i często wieczorami wychodzili na miasto, a dom jakby rozplątywał się i ulatniał pod ich nieobecność. Lulu i Johnny wbiegli do kuchni ze swoimi obrazkami: Damon łaskawie je osądził ze świadomością tego, jak dobre wywarł wrażenie, kiedy wybrał pracę Lulu.

– Hej, znieś to jak mężczyzna... – Zmierzwił Johnny'emu rudą czuprynę. Frankie w duchu dziękowała Bogu, że Lulu nie ma jeszcze szesnastu lat. Mała i tak przytuliła się do Damona z zachwytem.

– Mogę się rozejrzeć? – zapytał.

– Raczej nie.

– Nie może pan też wziąć laptopa – oświadczyła Cora.

– Obawiam się, że mogę – powiedział z żalem. – Jest nasz.

Frankie zakrywała bluzką głowę ssącego dziecka. Obok na stole leżała jej komórka. Co jakiś czas Magnus odwracał się i wpatrywał w interesującego intruza, puszczaćc sutek, z którego tryskała cienka strużka mleka. Kiedy telefon zabrzczał, zerknęła na niego szybko, ale powiedziała, że to tylko Drum pyta, gdzie są. Damon zapakował laptopa do torby i zabrał go, wychodząc. Najpierw jednak, za niechętną zgodą Cory, która podążała za nim krok w krok z pokoju do pokoju, rozejrzał się pobieżnie po całym mieszkaniu. Zwrócił uwagę na drugi komputer w gabinecie, ale nie mógł go wynieść, nawet gdyby mu na to pozwoliła.

– To tak naprawdę drobnostka – powiedział, nie tyle pocieszając, ile raczej lekceważąc obie kobiety. – Nie przejmujemy się tym za bardzo.

*

– To był Robert – oznajmiła Frankie podekscytowana, gdy tylko Damon wyszedł. – Esemes od Roberta.

– Co napisał?

– Że u niego wszystko dobrze. Tylko tyle. Ale przynajmniej wiemy, że nie został porwany,

żyje i nie doznał amnezji. Napisz do niego wiadomość ze swojej komórki, zapytaj, gdzie jest.

Kiedy Cora wysłała swojego esemesa, zaczęły czekać na jakąś odpowiedź, ale żadna nie nadeszła. Odetchnęły z ulgą i trochę się odprężyły. Skoro Robertowi nic się nie stało, kryzys okazał się mniej poważny. Zjadły ugotowaną przez Frankie zupę, pogryzając drogi chleb z ekologicznego sklepiku. Cora znalazła kawę i nastawiła czajnik. Oprócz kawy oraz mleka i masła, które kupiła Frankie, w lodówce nie było prawie nic – tylko tubka koncentratu pomidorowego, kawałek wyschniętego cheddara, stare słoiki musztardy i ogórków konserwowych, które pamiętały jeszcze czasy, kiedy to była jej kuchnia. Frankie powiedziała, że wezwie taksówkę i po kolacji zawiezie dzieci do domu, bo nie ma sensu dłużej tutaj siedzieć. Cora stwierdziła, że na wszelki wypadek przenocuje jednak w mieszkaniu.

– Na jaki wypadek? Pojedź z nami. Nie podoba mi się pomysł, żebyś została tu całkiem sama. Chociaż prawdopodobnie tutaj lepiej się wyśpisz.

Jednak Cora chciała mieć w mieszkaniu trochę czasu dla siebie. Sama mogłaby odszukać ślady, które Robert po sobie zostawił. Mogła przespać się w pokoju gościnnym. Frankie karmiła siedzącego w wózku Magnusa łyżeczką, a Cora, na kolanach, zmiatała okruszki spod stołu.

– Modliłaś się, żeby Robertowi nic się nie stało? – zapytała przyjaciółkę, siadając na podłodze ze zmiotką i szufelką w dłoni. – Mam na myśli prawdziwą modlitwę do Boga.

Otwierając usta i wydając dziecinne odgłosy, żeby zachęcić Magnusa do jedzenia, Frankie zareagowała ostrożnie:

– Nie podoba ci się to?

– Nie, nie w tym rzecz. Nie podobałoby mi się, gdybym to ja się modliła, bo byłoby to udawane. Ale przypuszczam, że skoro wierzysz, modlitwa jest dla ciebie czymś naturalnym.

– Nie w sensie proszenia o przysługę, jak o rower pod choinkę. Bo tak wierni wygrywaliby wszystkie mecze piłkarskie. Wiara byłaby czymś w rodzaju oszustwa.

Słyszac te komiksowe przykłady – rowery i mecze piłkarskie – Cora pomyślała, że Frankie już mówi jak pastor, wymijając i z ciepłym, zachęcającym humorem.

– Więc nie wolno prosić Boga o sprowadzenie Roberta do domu?

– Można poprosić Boga, żeby miał go w opiece. To nie to samo. Bo wiesz, że Robertowi i tak może się coś stać.

– To po co w ogóle to robić? – zapytał rozsądnie Johnny.

– Wiara nie załatwia wszystkich problemów. Dopełnia tylko nasz świat, wyraża nasze pragnienia i tęsknoty.

Frankie wydało się, że dostrzegła jakąś upartą niezgodę w minie Cory, gdy przyjaciółka uklękła z szufelką i zaczęła łaskotać Magnusa zmiotką w stopy. Malec z zachwytem wierzgał

nogami, tracąc zainteresowanie zupełną. A ona traciła swój dawny olśniewający blask – była nerwowa i wychudzona. Miała mocniejszy makijaż niż dawniej.

Cora stwierdziła, że po prostu nie czuje tego, co Frankie. Kiedyś jej się to zdarzało, ale teraz już nie. Chociaż powiedziała to tak, jakby tego żałowała, Frankie dosłuchała się w jej słowach także nutki triumfu – kto by pragnął fałszywego pocieszenia, skoro przejrzało się je na wskroś?

Potem nieoczekiwanie Cora położyła głowę na jej kolanach. Moment był dziwny i niezręczny, a gest enigmatyczny. Frankie zarzucała sobie później, że powinna była jakoś zareagować, i szukała ukrytych powodów, dla których tego nie uczyniła. Była wprawdzie zaskoczona, ale mogła chociaż pogłaskać Corę po włosach. Oczywiście, karmiła wtedy Magnusa, w jednej ręce trzymała miskę, a w drugiej łyżeczkę. W efekcie, zbита z tropu, tylko się roześmiała. Bez względu na to, jak dużo rozmyślała o miłości bliźniego i jej okazywaniu w różnych hipotetycznych sytuacjach, wtedy gdy rzeczywiście należało to zrobić, nie była w stanie zareagować, a wręcz się wzdrygnęła. Chwilę później, jakby był to tylko żart, Cora podniosła się i znowu zabrała do zamiatania.

*

Zeszła na dół, żeby odprowadzić ich do taksówki. Gdy tylko samochód zniknął za rogiem i została na ulicy sama, zaczęła żałować, że jednak nie pojechała. Niechętnie wróciła do środka. Nieobecność Roberta zdawała się wypełniać całe mieszkanie. Cora zdjęła buty, żeby nie hałasować, gdy chodziła z pokoju do pokoju, jakby obawiała się, że coś spłoszy. Przez dłuższy czas nie włączała światła. Z okna pokoju, w którym kiedyś sypiali, skąd rozciągał się widok na ogródki i park, obserwowała, jak ostatnia błyskawica burzy rozjaśnia niebo i gaśnie za majestatycznym kasztanowcem. Kiedy na dworze zrobiło się ciemno, odwróciła się z powrotem do mroku w mieszkaniu, zastanawiając się, co tu właściwie robi. Teraz, gdy wiedziała, że Robert jest cały i zdrowy, nie miała powodu go szukać. Właściwie nic ich już nie łączyło. Było zupełnie normalne, że skontaktował się z Frankie, ale nie zechciał odpowiedzieć na esemesa od Cory. Z wahaniem obeszła pokoje, zapalając lampy – jej dłonie pamiętały, gdzie są włączniki, robiła to odruchowo. Rozejrzała się po rozświetlonych wnętrzach, poustawiała bibeloty i krzesła. W ostatnich miesiącach swojego życia z Robertem pod jednym dachem nie uważała, by te pamiątki po eleganckim starszym Londynie mogły jeszcze budzić szacunek czy nostalgię, przypominały jej raczej centrum dowodzenia sklerotycznego i zdemoralizowanego imperium. Ale Robert nie był zdemoralizowany.

Włączyła komputer w gabinecie i wygooglała jego nazwisko, ale wyszukiwarka podała tylko link do jego departamentu w Home Office. Wszędzie dookoła leżała otwarta i nieotwarta korespondencja, ale nie było w niej nic osobistego ani nawet interesującego, tylko rachunki,

wyciągi bankowe i reklamy. Wsuwając ręce do kieszeni marynarek w szafie, nie wiedziała nawet, czego szuka; niczego nie znalazła. Pootwierała szuflady, przeglądając ich zawartość. Robert oddawał teraz ubrania do pralni, koszule były pięknie wyprasowane. Nie umiała stwierdzić, czy czegokolwiek brakuje. Na dnie jednej z szuflad, pod skarpetami, leżała czarna paczuszka z sygnetami po jego zmarłym ojcu i siatka z supermarketu, w której były listy od niej – te napisane z Leeds tyle lat temu, z taką dziecinną pewnością siebie. Nawet widok własnego charakteru pisma na kopertach ją odrzucał. Wepchnęła wszystkie z powrotem do torebki. Chętnie by je po prostu wywaliła do kosza albo podała na strzępy, ale czuła, że nie ma do tego prawa, że nie są już jej, a poza tym nic nie łączyło jej z dziewczyną, która je napisała.

Zaczęła się naturalnie zastanawiać, czy Robert nie zniknął dlatego, że jakimś sposobem dowiedział się o Paulu, ale sama myśl od razu ją zawstydziła. On nie załamałby się z powodu seksu, tak jak nie płakał w restauracjach. Zresztą kiedy się nad tym teraz zastanowiła, doszła do wniosku, że i tak od dawna coś wiedział; nie znał może szczegółów, lecz zdawał sobie sprawę, że coś było. Może nawet zorientował się, że miała kochankę, kiedy poroniła. Taki już mam charakter, pomyślała, besztając się w duchu. Od razu uznałam, że cokolwiek stało się z Robertem, musi mieć jakiś związek ze mną. Oczywiście bzdura. Nie powinnam tu nawet być, nie powinnam grzebać w jego prywatnych rzeczach.

Zadzwoił jej telefon i odebrała czym prędzej, ale to była tylko Frankie z pytaniem, czy wszystko w porządku.

- Wciąż możesz do nas przyjechać – ponowiła zaproszenie.
- Nie, naprawdę nic mi nie jest. Rozmyślałam.
- Właśnie to mnie martwi.
- Staram się myśleć konstruktywnie. Ale na razie na nic nie wpadłam.

Cora powiedziała, że skoro nic złego się nie stało, rano prawdopodobnie wróci do Cardiff, a Frankie się zgodziła, że nie ma sensu, by zostawała w Londynie na dłużej. Podczas rozmowy Cora stała przy stole jadalnym i wertowała stary, oprawiony w skórę pękaty notes. Był tak wysłużony, że wypadały z niego kartki, więc nic dziwnego, że Robert nie zabrał go ze sobą. Jeżeli potrzebował z niego jakichś adresów, po prostu je przepisał – pamiętała, że tak właśnie robił. Bezrefleksyjnie przerzucając strony, znalazła Bar, Barbarę. Pierwotny adres w Norfolk został nie wiadomo kiedy przekreślony i zastąpiony nowym, w Tiverton w Devon. Cora pożegnała się z Frankie, po czym wpisała adres i numer telefonu Bar do własnej komórki, choć nie wiedziała do końca po co. Potem naląła sobie szklankę należącej do Roberta whisky i zwinęła się w kłębek na jego fotelu, żeby obejrzeć wiadomości. Na tapicerce czuć było zapach jego włosów.

Pod koniec programu pojawił się materiał o raporcie w sprawie pożaru w ośrodku dla imigrantów; ktoś z Komitetu Obrony Uchodźców został poproszony o komentarz. Czy zawartość raportu jest dla rządu wstydliva? Powinna być, odparła kobieta, gdyby ludzie umieli czytać między wierszami, gdyby widzieli, jak te ośrodki wyglądają od wewnątrz, gdyby zobaczyli na własne oczy, w jakich warunkach zmuszeni są tam żyć ludzie w kraju bogactwa i obfitości, pozbawieni wszelkiej nadziei. To powinno zawstydząć nas wszystkich. Potem mówiła o zmarłym Irańczyku i pokazano nieostre czarno-białe zdjęcie kogoś stanowczo za młodego, przystojnego mężczyzny, którego czarna broda i oczy, zwłaszcza na uwydatniającej kontrasty fotografii, zarysowywały się wyraźnie na tle bladej cery. Cora przypomniała sobie, że ten człowiek był w średnim wieku; według Roberta przez ostatnie lata dużo pił i niedomagał na zdrowiu, zapuścił się. A to mogło się zdarzyć wszędzie. Wszędzie ludzie się starzeli i umierali.

Kiedy poszła sprawdzić, czy łóżko w pokoju gościnnym jest pościelone, zobaczyła to samo zdjęcie, wydrukowane na tylnej stronie okładki książki, która leżała otwarta na nocnej szafce. Łóżko było posłane, przykryta kapą pościel pomięta, a poduszka wgnieciona. Kiedy zajrzała tu wcześniej, przeszukując mieszkanie, nie zauważyła, że pokój był używany; zawsze była to przestrzeń, gdzie najmniej odciskała się ich obecność, wydzielona z salonu i umeblowana tylko na użytek ewentualnych gości, neutralna jak dobry hotel. Robert musiał tu teraz sypiać, a do tego czytał zbiór opowiadań zmarłego Irańczyka. Mógł znaleźć książkę w Internecie, w Abe Books, gdzie Cora zapomniała jej poszukać; po raz pierwszy uchwyciła, jak autor się nazywał, gdy zobaczyła nazwisko na piśmie. Nic dziwnego, że na zdjęciu w telewizji wyglądał za młodo; przecież te opowiadania były z lat osiemdziesiątych, prawda? Biorąc książkę do ręki, siadła na brzegu łóżka i zaczęła czytać na stronie, na której Robert najwyraźniej przerwał lekturę. W połowie opowiadania trudno się było zorientować, o co chodzi, ale nie takiej literatury Cora się spodziewała. Nie był to namiętny protest przeciwko życiu w okowach tyranii (zresztą której? – musiała pośpiesznie uporządkować sobie w myślach daty), ale historia mężczyzny, który się kłócił z żoną o jej matkę. Autor podejmował sprawy życia prywatnego, jego absurdy i komizm. Styl był dosyć suchy i szorstki, bez atmosfery czy bardziej rozbudowanych opisów ludzi i miejsc. Corze ulżyło; spodziewała się aktu oskarżenia przeciwko swojemu życiu, przeciwko zachodniemu zubożeniu i pławieniu się w dobrobycie. Po przeczytaniu paru stron odłożyła książkę na później.

Czy mogła przespać się w pościeli Roberta, czy też powinna ją zmienić? Na próbę ułożyła głowę na poduszce. Z miejsca, w którym teraz leżała, widać było przez okno poruszane wiatrem gałęzie lipy rozpraszające zimne światło latarni. Robert też mógł się w nie wpatrywać. Tak jak ona wolał spać przy odsłoniętym i otwartym oknie. Byłoby na swój sposób kojące, gdyby zasnęła w

kształcie po nim, w odcisku, jaki zostawił w pościeli, a on nigdy by się o tym nie dowiedział. Pewnie schronił się w tym pokoju przed ich dawniejszym życiem, które naznaczyło resztę mieszkania; nie chciał spać w ich małżeńskim łóżu. Cora to rozumiała. Jej telefon zabrzączał i ruszyła się, żeby go odebrać, ale był to tylko esemes od jej koleżanki, Valerie, z wiadomością, że zdobyła bilety na „Orfeusza”.

*

Cora nigdy nie poznała Bar. Przed laty, kiedy pierwszy raz zwróciła na Roberta uwagę, wypytała Frankie i usłyszała, że brat ma jakąś dziewczynę, z którą to się rozstaje, to znowu schodzi, ale według jej opinii nie jest dla niego odpowiednia. Frankie powiedziała to, zanim się dowiedziała, że Cora go pragnie. Bar była po trosze takim rodzinnym żartem, wyjaśniła Frankie: córką przyjaciół ich rodziców, w typie bardzo wiejskim. Startowała w gonitwach przełajowych, piła z mężczyznami, ale nie mogła ścierpieć feministek. Czasami nosiła kaszkiet jak dżokej. Podobno kiedy byli dziećmi, zawsze łączono ich w parę, bo byli silni, trzeźwo myślący i wiedzieli, na czym świat stoi.

– Obawiam się, że on zostanie z Bar na stałe – powiedziała wtedy Frankie – z czystej dobroci.

Na uroczystości rozdania dyplomów Robert był cierpliwie znużony i z początku Cora obserwowała go zdziwiona. Nie spodziewała się kogoś takiego z niezdarnym, niedźwiedzim chodem i uprzejmą, nieprzeniknioną rezerwą. Frankie i jej siostra, Oona, były w przeciwieństwie do niego hałaśliwe, dowcipne i pełne werwy. Robert zachowywał dystans, ale gdy coś go rozbawiło, w tej mrocznej jaskini rozbłyskiwało światło. Chyba nawet nie zauważył, że Cora się nim zainteresowała; jego natura nie była dla nikogo na pokaz. Kiedy po uroczystości zaprowadził obie dziewczyny z grupką koleżanek na kolację i za wszystko zapłacił, był uosobieniem niewzruszonej powagi w ich piszczącym, rozgadany, płaczącym i snującym plany towarzystwie. Mówił niewiele, oprócz tego, że przez chwilę rozmawiał z Corą o swoim dyplomie z antropologii i o tym, że nie wyobraża sobie lepszego przygotowania do polityki.

Cora zapytała, jak Bar wygląda, i Frankie próbowała jej wyjaśnić, że nie jest ładna, ale mimo wszystko seksowna.

– Widać, dlaczego podoba się facetom.

– W kaszkiecie.

– Jest szkapowata. Nie, nie „szkapowata”, to niesprawiedliwe. Jest jak jelen. Osaczony jelen: koścista głowa, okrągłe oczy, cofa się, jeżeli zanadto się zbliżysz. Chociaż oczywiście nie widziałam nigdy osaczonego jelenia, tylko na obrazach. Bar wygląda jak łania na takim obrazie.

Cora napisała do Roberta nazajutrz po tym, jak go poznała, i zapytała, czy mogłaby go odwiedzić w Whitehall, udając, że interesuje ją służba cywilna. Odpisał jej, oferując pomoc i

zapraszając na lunch. Później widziała zdjęcia Bar. Nieliczne, bo Robert nie przywiązywał wagi do takich pamiątek. Nie zadał sobie trudu, żeby się ich pozbyć, tylko z przyzwyczajenia schował je do szuflady, kiedy z nią zerwał. Był tam też stary, oprawiony w ramki portret studyjny, który prawdopodobnie sama mu dała. Cora nie czuła się zazdrosna z powodu tych fotografii, ale pod nieobecność Roberta wyciągała je czasami i oglądała, próbując zrozumieć związek męża z tą kobietą. Jeśli pytała o to Roberta, odpowiadał wymijająco („była przyjaciółką rodziny”). Bar była na fotografiach rozmyta, jasnowłosa, o pociągłej twarzy, długich chudych nogach i z lekkim zezem, niebrzydka – na jachcie, na koniu, pod ramię z Robertem w nieprawdopodobnie połyskliwej balowej sukni z wycięciem do uda, w której, o dziwo, wyglądała elegancko, a nie wyzywająco. Gdyby Frankie tego nie zasugerowała, Cora nigdy nie pomyślałaby o łani. Bar zapewne była impulsywna. Tylko na portrecie jawiła się w postaci wręcz mitycznej: ujęta z profilu, namiętna i rozmarzona wpatrywała się w czerń tła w studiu fotograficznym. Ta fotografia wywoływała w Corze głęboki smutek, jakby Bar już nie żyła.

*

W gościnnym łóżku nie spało jej się dobrze, mimo że materac był drogi, lepszy niż ten w Cardiff. Z płytkiego snu kilkakrotnie wyrywały ją światła przesuwane się po suficie, gdy za oknem przejeżdżały samochody. Potem z dziwnym uczuciem uświadamiała sobie, gdzie jest i dlaczego. W ciemności zaginięcie Roberta wydawało się mniej wytłumaczalne, bardziej złowróżbne; w głowie kłębiły jej się okropne domysły i scenariusze, które zmieniały się znowu w sny. Poczowała ulgę, kiedy nadszedł wreszcie ranek i mogła wstać. Wykąpała się pod prysznicem, wylała mleko do zlewu i posprzątała wszelkie ślady swojej obecności w mieszkaniu, wyrzucając śmieci do pojemnika na dworze. Potem zamówiła śniadanie w kawiarni w Paddington i zadzwoniła do Annette, by powiedzieć, że będzie z powrotem w pracy w poniedziałek rano.

Miała w głowie tylko jedną myśl: wrócić następnym pociągiem do Cardiff. Pokornie odczekała pod wyrocznią tablic z odjazdami, a kiedy nadeszła pora, okazała bilet i zajęła miejsce w wagonie. Deszcz siekł w okna pociągu i nie mogła się skupić na „Guardianie”. Miała też przy sobie zbiór irańskich opowiadań. Włożyła go do torby w ostatniej chwili, nie chciała, żeby padł łupem Damona. Ale opowiadań też nie mogła czytać. Podróż z Londynu w piątek zawsze naznaczona była nieodwołalnością prawa ciężenia, jakby cała maszyna nieruchomiała na weekend; każdy jej nerw zdawał się temu opierać. Wyobrażała sobie książkę Irańczyka, o znaczeniu wykraczającym poza nią samą, jak leży w ciemności razem z jej piżamą, kosmetyczką z przyborami toaletowymi i wczorajszą bielizną. Pociąg wjechał na Bristol Parkway. Nagle wstała, zdjęła torbę i parasolkę z półki i wybiegła na dworzec, pytając w informacji o najbliższe połączenie do Tiverton.

Do jej nastroju pasował fakt, że stacja Parkway jest prawie nierzeczywista, prawie nie jest budynkiem, lecz skleconą ze stali i nitów konstrukcją w miejscu pokazanym przez planistów na mapie, poza miastem. Czas mijał Corze w anonimowej poczekalni albo na spacerowaniu tam i z powrotem po peronie. Z jakiegoś powodu wbiła sobie do głowy, że Robert jest z Bar, chociaż, powtarzała sobie, tak czy siak to już nie jej sprawa. Kiedy dotarła do Tiverton, było popołudnie. Akurat przestało padać. Stacyjka znajdowała się za miastem. Cora myślała, że powinna zadzwonić do Bar, by uprzedzić ją o swojej wizycie, ale ostatecznie zmieniła zdanie. Taksówkarz spojrzął na adres i wyjaśnił, że to wcale nie w Tiverton, ale pół godziny drogi dalej; Cora powiedziała, że pieniądze nie mają znaczenia, i wypłaciła z bankomatu więcej gotówki. Podczas jazdy ze szczerym współczuciem przejęła się konfliktem między taksówkarzem a jego zięciem o wnuki, ich skrzywdzoną matkę, zazdrość zięcia nie do obrony po jego własnej zdradzie. Taksówka sunęła przez zieloną wieś z zamożnymi gospodarstwami. Rozległe pola ustąpiły miejsca lasom porastającym zaokrąglone pagórki. Kilkakrotnie musieli się zatrzymywać, żeby spojrzeć na mapę, a potem spytali o drogę w pubie.

Nadszedł czas, żeby zapłacić i się pożegnać na wysypanym żwirem podjeździe. Dom okazał się zapuszczonym wczesnowiktoriańskim pudłem, ciemnym pod koronami drzew i charakterystycznym tylko poprzez swoją nijakość, z połową okien zakrytych okiennicami, błotnistym betonowym dziedzińcem zawalonym złomem: starą ramą od łóżka, rowerami, zardzewiałą broną. Nagle poczuli, że spoufalili się nadmiernie i nie mogli spojrzeć sobie w oczy. Cora pogubiła się w obliczeniach procentów, dając napiwek, który wydawał jej się duży i hojny, a ponieważ zorientowała się, że był zbyt mały. Była tak zaaferowana, że zapomniała poprosić kierowcę, by na nią zaczekał, na wypadek gdyby nikogo nie zastała w domu. Gdy tylko ucichł silnik oddalającego się samochodu, straciła wszelki optymizm i poczuła się głupio. Dom wyglądał na zupełnie opuszczony. Wcześniej wyobrażała sobie, że będą tu stajnie pełne koni albo farma. Zjawiała się tutaj niepotrzebnie. Jej wysiłki były zupełnie chybione. Robert i Bar nie kontaktowali się od lat, więc dlaczego w ogóle pomyślała, że mógł mieć w notesie jej aktualny adres?

Skoro jednak już się tu znalazła, podeszła do drzwi – szerokich, pomalowanych czarną łuszczącą się farbą, na szczycie kilku kamiennych schodków z metalową wycieraczką brudną od błota, między parą wilgotnych filarów. Pociągnięcie sznurka od dzwonka nic nie dało, więc skorzystała z kołatki. Czekaając przy wejściu, zauważyła starego vauxhalla kombi zaparkowanego pod przerośniętym żywopłotem z cisów, poplamionego i obryzganego jagodami, ale nie kompletnie zdezelowanego, chociaż też nie lśniącego dżipa z napędem na cztery koła, jakiego się spodziewała. Właśnie kiedy się poddała – i przygotowała do poniesienia idiotycznych

konsekwencji swojego nieprzemyślanego przyjazdu – usłyszała kroki i po chwili drzwi się otworzyły. Wyjrzała zza nich nieprzyjemna kobieca twarz, na końcu mrocznego holu w lustrze w połączanej ramie odbijał się prostokąt światła dnia. Jarząca się słabo goła żarówka energooszczędna dyndała na końcu kabla. Do drzwi podreptał sędziwy, wyrwany ze snu pies.

– Barbara?

– Tak.

– Jestem Cora. Żona Roberta. Przepraszam. Wiem, to okropne, że nachodzę cię tak bez uprzedzenia. Mogę z tobą porozmawiać?

Cora nie dopatrzyła się w twarzy Bar żadnej reakcji.

Gdyby zresztą nie była przygotowana, że ją zobaczy, w ogóle by jej nie rozpoznała. Bar nie wyglądała wcale tak jak na starych fotografiach. Roztyła się, przez co sprawiała wrażenie niższej, a jej długie włosy posiwiały. Na dodatek miała zupełnie niestosowne dziecięce uczesanie: kosmyki znad skroni zebrane do tyłu i związane dużą kokardą na szczycie głowy jak u Alicji w Krainie Czarów. Z tamtej dawnej dziewczyny pozostał tylko długi prosty nos i pogardliwy lekki zez, reszta twarzy obwisła i pomarszczyła się w fałdy o niejasnym wyrazie. Skóra pod powiekami poszarzała – Bar wyglądała na ponad pięćdziesiąt lat. Miała na sobie pobrudzoną lnianą bluzkę i dzinsy. W jednej ręce, z dala od psa, trzymała grzanekę z marmoladą. Cora nie spodziewała się podstarzałej ekscentryczki. Zaczynała tracić nadzieję i zastanawiała się, czy ma dość sił, żeby użerać się z Bar. Wcześniej wyobrażała sobie, że przyjdzie jej naginać wolę oporną, dowcipną i niewzruszoną.

Bar ani drgnęła, stojąc uparcie w drzwiach.

– Nie zabrałam się jeszcze nawet do roboty. A bardzo swoich godzin pracy pilnuję.

– Powinnam była zadzwonić ze stacji. Przepraszam, to był głupi pomysł. To wszystko moja wina. A teraz jeszcze pozwołam odjechać taksówce. Jestem skończoną idiotką. Jeżeli dasz mi numer do lokalnej korporacji taksówek, wezwę następną. – Pomyślała, że gdyby udało jej się dostać do domu, zorientowałyby się, czy Robert jest gdzieś w pobliżu.

Bar, marszcząc brwi, westchnęła z afektacją i ugryzła tost.

– Skoro już tu jesteś, równie dobrze możesz to sobie obejrzyć, jak przypuszczam. Kawy? Właśnie sobie zaparzyłam. Ale ostrzegam, jest bardzo mocna.

Co obejrzyć? – zastanawiała się Cora.

Idąc za Bar i psem przez dom – kilka pokoi, a potem korytarz do zimnej kuchni – zdołała się tylko zorientować, że panujące tu zapuszczenie i chaos mają iście gargantuiczne rozmiary. Elementy wystroju były równie osobliwe: rzeźbiona komoda wielkości okrętu, szklana gablota z wypchanymi kolibrami, szafa grająca („mojego męża, na chodzie”), wystawny kominek,

kamienny posąg anioła, strzępy zbutwiałej flagi brytyjskiej zwisające z sufitu. Były tu też rowery w lepszym stanie niż te na podwórzu, duży telewizor, konsola gier wideo, dziecięce rysunki. Na ścianach i półkach roilo się od dzieł sztuki: ciemne jak noc wiktoriańskie oleje (krowy? konie?) obok płócien ekspresjonistów, kolaże, popiersie w stroju fetyszysty. W zestawieniu z nimi Corze jej własna kolekcja dzieł sztuki wydała się mieszczańska i nudna, taka była w rzeczywistości. Wszędzie śmierdziało psią sierścią. Na stole w kuchni stała otwarta butelka brandy, a obok otwarte opakowanie krojonego pieczywa i dzbanek z kawą.

– Nie jest tak źle, jak by wyglądało – powiedziała Barbara. – Dolewam sobie tylko trochę do kawy, na rozruszanie. Chcesz? Powinnam pracować o normalnych porach, ale w ciągu dnia jestem straszliwie zmęczona i rozkręcam się naprawdę dopiero wtedy, gdy wszyscy położą się już spać. Popołudniami w pracowni raczej sobie dłubię, sprzątam i decyduję, czy zeskrobać wszystko, co zrobiłam poprzedniej nocy, czy nie. Aż do powrotu syna do domu.

Zachowywała się ekscentrycznie, mówiła podniesionym głosem, wyrzucając słowa z gwałtownością ujadającego psa, ale była przy tym bezpretensjonalna i śmiała, jakby często wymagano od niej odgrywania roli kobiety z charakterem, nawet z pewną przesadą. Cora przyjęła zaproponowaną brandy. Dłonie Bar były zaróżowione, palce grube, paznokcie niepomalowane. Kawa okazała się gęsta i gorzka, więc Cora dosypała sobie cukru.

– Masz syna? To fajnie. Ile ma lat? Masz jeszcze inne dzieci?

– Tylko Nygusa... tak go przezywamy, tak naprawdę to Noah. Ma dziewięć lat. Nie, dziesięć lat, oczywiście. Chryste Panie, jeżeli popełni się taki błąd przy bramie szkolnej, personel zawiadamia opiekę społeczną. Dlatego zwykle po odbiór dziecka posyłam męża.

– Jesteś malarką?

Zdziwiona Barbara przyjrzała jej się uważniej, chrupiąc resztę grzanki.

– Jeżeli nie wiesz tego na pewno, to co tu robisz?

– Jestem żoną Roberta. Szukam go.

– Cóż za zawód! Myślałam, że kupisz ode mnie obraz. Moja agentka wspomniała mi przez telefon, że kogoś przysyła, więc uznałam, że to ty. Jakiego Roberta? Nie jesteś chyba skrzywdzoną żoną, co? – Parsknęła śmiechem. – Już od lat nie miałam w domu takiej wizyty. Ostrzegam cię, Gummo gryzie, jeśli zrobi się draka. Mieliśmy całą serię psów z imionami po braciach Marx.

– Nie jestem skrzywdzona – powiedziała Cora i wyjaśniła, o którego Roberta chodzi.

– Boże wszechmogący, tego Roberta! Nie widziałam go od lat. Więc ty jesteś Cora! Chyba od niego zwiłałaś? Ktoś mi coś takiego mówił.

– Jesteśmy w separacji – stwierdziła Cora. To słowo wydało jej się pretensjonalne i

pedantyczne. – Ale ponieważ zaginął, zaangażowałam się w poszukiwania. Nie wiem, dlaczego pomyślałam, że mógłby być tutaj.

– Ja też nie. Jak to „zaginął”?

Cora jej wyjaśniła. Na kuchennym stole leżał „Telegraph”, wciąż w foliowym opakowaniu. Kiedy Cora opowiadała, Barbara rozerwała je i rozłożyła gazetę, smarując sobie dżemem zimną grzanekę i hałaśliwie wertując kartki.

– O patrz, jest tutaj. Biedny Bingo.

– Bingo?

– Robert, Bobby, Bobby Bingo. Jest nawet fotografia. Domagają się jego rezygnacji. „Niechlujne porządki”, piszą. Co za bzdury. To cud, że te ośrodki nie idą z dymem części, skoro tak roi się w nich od terrorystów. Nie ma nic o tym, że zwiął.

Była też fotografia zmarłego Irańczyka, ta sama co zwykle. Robert został uchwycony, gdy wchodził na rozprawę, więc zdjęcie musiało być zrobione w ciągu ostatnich paru tygodni. Cora przyglądała się mu w poszukiwaniu oznak stresu, ale był tylko zdystansowany, kompetentny, zasklepiony w odgrywaniu swojej publicznej roli i tylko przypadkowo zerknął z ukosa w stronę obiektywu. Uśmiechał się, wymieniał jakieś uwagi z kolegą – sprawiał przez to wrażenie beztrąsko obojętnego na powagę sprawy.

– Zachował więcej włosów niż inni moi dawni faceci – zauważyła Barbara. – Myślałam kiedyś, że strasznie zawężą mu się horyzonty, jeśli zostanie w służbie cywilnej zbyt długo. Rzeczywiście tak się stało? Czy dlatego jesteście w separacji?

– Nie – odparła sztywno Cora. – Nic podobnego. Robert ma bardzo żywy, niezależny umysł. Nie mogę sobie wyobrazić, dlaczego zniknął. To do niego niepodobne, nawet jeśli dochodzenie rozdmuchano ponad wszelkie miary. Po Robercie takie rzeczy spływają jak po kaczce. Czego miałyby się bać? Nigdy nie uchylał się od odpowiedzialności.

– W każdym razie tutaj go nie ma.

– Głupi błąd z mojej strony.

Bar zaproponowała, żeby Cora i tak obejrzała obrazy, skoro już przyjechała. Może miała nadzieję, że mimo wszystko coś sprzeda. Powiedziała, że jest kompletnie, dokumentnie splukana – groziło im, że stracą dom. Jej mąż projektował tereny zielone – obecnie pracował na wyspie Fair przy budowie drogi na grobli. Fotografie rzędu pali w płytkiej wodzie, ścieżki z białych kamieni biegnącej za wzgórze musiały być jego dziełem. Pracownia Bar znajdowała się na piętrze, na długim, przebudowanym do tego celu poddaszu, gdzie było widniej i czystiej niż w innych częściach domu. Cora nastawiła się do obrazów na „nie”, ale okazały się inne, niż się spodziewała, mniej dosłowne, z większą fantazją: spódniczki i halki z prawdziwych tkanin były zanurzane w

różowawo-żółtym gipsie, a potem przyklejane do ciemnych powierzchni farby, gdzie wysychały, tworząc sztywną masę. Wreszcie Bar domalowywała na nich jakby koronki albo rdzawe plamy krwi. Zaskakujące, że ta obcesowa kobieta uprawiała sztukę poświęconą kobiecości. Chyba zapomniała, że Cora zjawiała się w jej domu, tylko szukając Roberta, i opowiadała o procesie tworzenia obrazów, jakby miała do czynienia z zafascynowaną wielbicieleką sztuki.

Cora przyznała, że nie zdawała sobie sprawy, że Bar jest artystką, Robert nigdy o tym nie wspomniał.

– Przez całe lata obijałam się, nie robiłam nic na poważnie. A potem, nie uwierzysz, w tym samym miesiącu, kiedy podpisałam umowę z firmą Hyman's, odkryłam, że jestem w ciąży. Jasna cholera! To się nazywa późny start.

Cora cierpiała, była zdruzgotana. Do tego świata Robert tak naprawdę należał; tu, gdzie wszyscy mieli przezwiska – Bingo i Bobs, i Bar. Wszystko, co robili, jakimś sposobem okazywało się doniosłe, nawet jeśli na początku chodziło im w życiu tylko o końskie gonitwy i bale towarzystw łowieckich. Bar wypowiadała się dość mgliście o cenach, ale znalazła listę ze starej wystawy – jej prace były tak drogie, że Cory nie byłoby na nie stać. Gdyby Barbara zapytała, czym Cora się zajmuje, uznała, że nie wspomni o bibliotece, tylko że uczy angielskiego.

Z nagłym okrzykiem przypominającym psi skowyt Bar przypomniała sobie o Nygusie.

– Czy jedzie ode mnie brandy? W szkole myślą, że jestem matką z piekła rodem. Prawdopodobnie już mają na oku odpowiednią rodzinę zastępczą.

Zaproponowała, że podwiezie Corę na stację, jeżeli nie ma nic przeciwko podjechaniu wcześniej pod szkołę, która znajdowała się w sąsiedniej wsi. Cora skwapliwie przyjęła ofertę, pragnąc jak najszybciej stąd uciec. Gummo położył się za przednim fotelem pasażerskim, wydzielając w dusznym samochodzie silny smród, jakby starych gotowanych warzyw. Bar jechała szybko, hamując gwałtownie, ilekroć ktoś nadjeżdżał z naprzeciwka na jednopasmowych drózkach, i klęła siarczyście, kiedy z wprawą zawracała wóz. Cora musiała otworzyć okno. Po tym wszystkim dotarły pod szkołę przed czasem i musiały czekać w rzędzie zaparkowanych samochodów przed budynkiem, ponieważ Bar nie chciała się pokazywać na szkolnym boisku.

– Okropny jest ten świat, prawda?

Cora powiedziała, że nie wie, bo nie ma dzieci.

– I całe szczęście. Inni rodzice tylko filują, czy przypadkiem nie używasz złego proszku do prania albo nie dajesz swoim dzieciom laudanum na sen. Gdybym tylko mogła zdobyć choć trochę tego laudanum! Nygus świruje, bo taty nie ma w domu. Broi na potęgę. Mam szczęście, jeśli uda mu się zasnąć przed północą. A nie mogę skupić się na pracy, póki go nie spacyfikuję.

Szkoła była wiktoriańska, z bliźniaczymi drzwiami wejściowymi dla dziewcząt i chłopców, za

starym, czcigodnym kościołem. „To były czasy!” – powiedziała Bar. Potem opadła na oparcie fotela i zamknęła oczy, dając do zrozumienia, że jest wyczerpana odgrywaniem roli samej siebie. Kiedy je znowu otworzyła, zaczęła mówić o Robercie, jakby ani przez chwilę nie przestały o nim rozmawiać.

– Właściwie to, że tak po prostu odszedł, nie jest takie nietypowe. Z tego, co pamiętam. Jest raczej typem olimpijskim, rozumiesz? Cóż, przypuszczam, że wiesz doskonale. Czasami nie liczy się z innymi. Jak wtedy, gdy uparł się po ukończeniu szkoły wstąpić do wojska, co uznałam za szaleństwo. Na wczesnym etapie szkolenia stało się coś, przez co zmienił zdanie i wtedy po prostu odszedł.

Cora siedziała jak skamieniała i wpatrywała się prosto przed siebie, zazdrosna, że Bar знаła Roberta wcześniej niż ona. Nie wiedziała, że chciał być żołnierzem.

– Dosłownie odszedł. Wyruszył w drogę i wrócił do domu. No, przypuszczam, że wszedł do jakiegoś autobusu czy coś takiego. Ale prosto do domu. Tylko że nie mieli wtedy prawdziwego domu, rzecz jasna, po wypadku rodziców. Więc wrócił do domu moich rodziców w Devon, który kiedyś bardzo lubił. Miał ogromne problemy przez to, że uciekł, różni ludzie musieli zabiegać i pociągać za sznurki, by uszło mu to na sucho. Nie pamiętam szczegółów. W każdym razie kiedy z czymś kończy, po prostu to rzuca i zaczyna coś innego. Sama powinnam wiedzieć to najlepiej. Bingo był najdroższym, najlepszym przyjacielem, kiedy byliśmy dziećmi. Jaka szkoda. Nigdy nie powinniśmy byli wylądować w łóżku. Od tego wszystko się rozpiędała, zawsze. Unikaj łóżka. Dla ciebie, oczywiście, już na to za późno. Ale dobra rada. I do tego nie najlepszy w te klocki. Nie masz nic przeciwko temu, że to mówię, prawda? W końcu jesteście w separacji.

Nygus, kiedy się pojawił, niesiony z falą innych dzieci, okazał się drobny i blady, z oczami podkrążonymi jak matka. Wcisnąwszy jej z obojętną miną parę rysunków („ależ Nygusie, są absolutnie wspaniałe!”), rzucił tornister na tylne siedzenie i oświadczył niczym posepny mały książkę, że zrobi mu się niedobrze, jeśli nie będzie siedział z przodu. Cora nie zaoferowała zamiany miejsc. Trudno było sobie wyobrazić go jako rozrabiakę.

– Gummo zasmrodził cały samochód – poskarżył się.

Barbara wysadziła Corę na stacji.

– Próbowalaś go szukać w naszym starym domu przy Ilfracombe? – zasugerowała w ostatniej chwili, wychyliwszy się przez okno auta. – Jak mówiłam, kiedyś bardzo go lubił. Mieszkali tam często, jeszcze zanim ich rodzice zginęli. Mój brat i ja wciąż go utrzymujemy... nie stać nas, ale wiesz, to nasze dzieciństwo. Bingo spędził tam mnóstwo szczęśliwych wakacji.

– Gdzie to jest?

Bar wyjaśniła jej, jak znaleźć posiadłość, i wtedy Cora przypomniała sobie, że raz spędziła tam kilka dni na początku znajomości z Robertem.

– Nie wiedziałam, że to wasz dom.

– Nie dziwię się, że ci nie powiedział. To w jego stylu.

Ale Cora postanowiła nie jechać do Ilfracombe. Jeżeli Robert tam był, na pewno nie chciał, by go znalazła.

*

W pociągu, kiedy otworzyła dodatek do „Guardiana”, znalazła tekst Paula. Dwustronicowy, o jego dziecięcych lekturach. Uwięziona w fotelu przy oknie – kobieta obok niezmordowanie klepała w klawiaturę laptopa – przez chwilę próbowała złapać oddech, gniotąc kartki czasopisma na kolanach, próbując znaleźć ukojenie w chłodnym i spokojnym krajobrazie za szybą – zielonym pagórku, skupisku brzoź. Kiedy tak niespodziewanie zobaczyła jego zdjęcie, był to dla niej cios. Nigdy nie miała żadnych jego fotografii oprócz jednej sprzed lat, którą drukowano z tyłu okładek jego książek. Spojrzała jeszcze raz. Uchwycono go z półprofilu, miał poważne czarno-białe spojrzenie, a za plecami regał z książkami. Z bólem serca Cora musiała wyobrazić sobie jego gabinet w domu gdzieś w dolinie Monnow. Nie była w stanie odczytać rozmytych tytułów na grzbietach książek. Miał rozczochrane włosy i pomyślała, że wyraz jego twarzy, uduchowiony, strapiony i skupiony, jest sztuczny, przybrany wyłącznie do zdjęcia. Już stał się kimś trochę innym od człowieka, którego znała, zmieniony tym, co przeżył po ich rozstaniu. Pełne, blade wargi zaciskały się bardziej stanowczo, cera zrobiła się bardziej porowata, szczęka się nieco zaokrągliła.

W gazecie było też jego zdjęcie z dzieciństwa, które jeszcze bardziej ją zraniło – skarpetki podciągnięte wysoko na łydki, chudy tułów wypięty do przodu, jakby Paul stał na baczność, pozując z promiennym uśmiechem specjalnie dla matki albo kogoś innego, kto trzymał aparat. Cora nie wiedziała, czy zdoła przeczytać artykuł – lecz w końcu go przeczytała. Paul wspominał, że jako chłopiec wypożyczał książki przyrodnicze z głównej biblioteki w Birmingham. Jego pojęcie natury w tamtym okresie, pisał, było bliskie platońskiej intuicji rzeczywistości bardziej realnej, ukrytej za ścianami jaskini, jaką było miasto, w którym się wychowywał. Nazwy ptaków i ilustracje przedstawiające odchody różnych gatunków zwierząt były symbolami transcendentnego „gdzie indziej”. Gmach biblioteki zastąpił dawną wiktoriańską czytelnię, a potem został wyburzony w latach sześćdziesiątych. Paul napisał, że od śmierci matki ostatnia więź z jego przeszłością w tym starym mieście została zerwana.

Więc jego matka umarła.

A najstarsza córka musiała urodzić dziecko; był dziadkiem, co zdawało się niezwykle. Ta córka

pewnie teraz mieszkała razem z nimi albo gdzieś w pobliżu, bo dał w artykule do zrozumienia, że widuje wnuczkę codziennie.

Cora czytała o tym wszystkim, jakby chodziło o kogoś nieznanego.

Kiedyś wierzyła, że życie polega na kumulacji wspomnień, które w miarę upływu czasu nakładają się na siebie, gęstnieją i nabierają głębi, tworząc barierę ochronną przed pustką. Ceniła pamiątki z każdego z minionych okresów życia, jakby były świętymi relikwiami. Teraz zdawało jej się, że jest to ułomny, bo fałszywie pocieszający model doświadczenia. Najważniejsze jest zawsze teraz, które pcha człowieka w przyszłość. Bez względu na to, jakie historie człowiek opowiada w kółko sobie i innym, w rzeczywistości zawsze jest nagi, wydany na pastwę teraźniejszości, niczym dziób łodzi tnący wciąż nowe wody; przeszłość zostaje z tyłu, nieistotna, odrywa się od życia, jej formy zmieniają się w puste skorupy. Problem w tym, że zawsze i tak się żyje, aż do końca. I trzeba coś robić.

*

Robert nawet bez wyglądania na zewnątrz wyczuwał, jakie jest popołudnie – łagodnie szare i nieważne. Delikatne, rozproszone światło sprawiało, że wszystko wydawało się nieruchome; wiosna się skończyła, liście nie były już niczym cudownym, tylko zwyczajnym faktem. Odgłosy zbliżających się, a potem oddalających kroków nie budziły w nim emocji. Był w domu Cory w Cardiff, siedział w salonie, plecami do ulicy, przy drewnianym stole, którego używała jako biurka (ale rzadko), i pisał list na jej laptopie, wytrwale wystukując litery prawą ręką, ponieważ lewą (a był mańkutem) miał zabandażowaną i na temblaku. Powietrze w domu było trochę stęchłe – czekał tu na nią już dwa dni, a nie otworzył żadnego okna i nie zabrał się do zmywania użytych przez siebie naczyń, które leżały w zlewie, chociaż jak najbardziej zamierzał się w najbliższym czasie do tego wziąć (miał wymówkę, że utrudnia mu to bandaż na rękę). Odkąd przybył, ani razu nie wyszedł z domu, w obawie że minąłby się z Corą, ale w zamrażarce znalazł jedzenie domowej roboty i starannie oznaczone jej dużym, wyraźnym charakterem pisma. Rozmrażając i odgrzewając zupę i zapiekankę pasterską w mikrofalówce, czuł się połączony z nią rodzajem komicznej, wątlej więzi, chociaż tylko poprzez swoją kradzież; kiedy jednak jadł te potrawy w samotności, złudzenie ich związku go opuszczało. Nie wiedział, co Cora pomyśli o jego wtargnięciu, o tym, że zadomowił się wśród jej rzeczy. Tego ranka skończyło mu się mleko, więc pił kawę i herbatę bez niego.

Celowo ani razu nie włączył telewizora. Nie chciał wiedzieć, czy robią z jego powodu szum – czy raczej nie, co było bardziej prawdopodobne (nie pochlebiał sobie, że jest kimś szczególnie ważnym). Zanim usiadł do napisania listu, nie otwierał komputera. Nie rozmawiał też przez telefon, póki dwadzieścia minut temu na jego komórkę nie zadzwoniła Frankie. Ledwo zdawał

sobie sprawę z tego, jak spędził wszystkie te godziny, odkąd się tutaj zjawił. Z początku, oczywiście, spodziewał się powrotu Cory lada moment. Kiedy przyjechał, bynajmniej nie zamierzał wchodzić do domu bez jej pozwolenia; gdy jednak stanął na chodniku przed domem, od razu spostrzegł, że w zamku drzwi tkwią jej klucze. Dzwonił i pukał, ale nikt nie podszedł do drzwi; Cora musiała pewnie otworzyć je, gdy wchodziła w pośpiechu do domu, a potem wybiegła i zapomniała o kluczach. Przy breloczku z ozdobnym węzłem z paciorków i wstążki, poprzecieranym trochę od ciągłego obijania się o dno jej torebki, oprócz tkwiącego w zamku klucza Yale wisiały inne, włącznie z tym od ich londyńskiego mieszkania. Na szczęście Robert się zjawił, zanim je zauważył ktokolwiek inny. Zawahał się, zanim zdecydował się wejść do środka. Ostatecznie uznał, że czekanie na dworze, aż zjawi się Cora, i wręczenie jej kluczy, aby mogła sama otworzyć drzwi, byłoby zbyt ostentacyjnie taktowne. Miał nadzieję, że nie będzie sobie wyobrażała, że zaopiekował się nimi, by jej jakoś dopiec.

Na początku obszedł pokoje, zbierając stare gazety, i zabrał się do lektury, chociaż żadnego z artykułów nie doczytał do końca. Podjął świadomy wysiłek, aby niczego nie zauważać. Nie powinien być tutaj, więc nie wolno mu było wykorzystywać tego faktu do badania, jak ukształtowało się jej życie, ani interpretowania śladów, które pozostawiła, jakby ją szpiegował. Jednak żadnych śladów nie było; to niezwykle, pomyślał, w jak niewielkim stopniu tumult naszych wewnętrznych przeżyć odbija się na zewnętrznej skorupie, którą zamieszkujemy. Nie umiał stwierdzić, czy te czyste, jasne pokoje z radosnymi, tchnącymi nadzieją ozdobami znaczą, że jest w swoim nowym życiu bez niego szczęśliwa, czy wręcz przeciwnie. Pozwolił sobie tylko dostrzec, bo miało to związek z jego misją, że w domu nie widać żadnych śladów mężczyzny – ani jako mieszkańca, ani nawet gościa. W każdym razie był tak dostrojony do jej wrażliwości – również dlatego, że była tak łatwa do rozszyfrowania, tak niezdolna do ukrycia czegokolwiek, nawet gdy bardzo się starała – że na podstawie kilku ich ostatnich spotkań nabrał przekonania, że nie ma teraz w jej życiu żadnego mężczyzny; wcześniej czuł wyraźnie coś przeciwnego. Kiedy jednak mijały kolejne godziny, a Cora nie wracała, zaczął tracić pewność siebie. Nie mogłoby się zdarzyć nic gorszego, myślał, niż gdyby wróciła z objęć jakiegoś nowego kochanka i zastała tutaj jego.

Mimo wszystko uparcie, wbrew własnym kalkulacjom czekał dalej.

Czuł dziwną ulgę, zamieszkując przestrzeń Cory, jakby to oznaczało, że może przestać o niej myśleć. Miał mnóstwo innych spraw do przemyślenia. Musiał ułożyć sobie plan. W czwartek wieczorem miał wrażenie radosnej lekkości i ekscytacji w obliczu komicznego załamania swojej kariery. Tonacja tej sytuacji była zdecydowanie farsowa, a nie tragiczna. Do pewnego stopnia był nawet zadowolony, że Cora jeszcze się nie zjawiła. Kiedy indziej w całym życiu zdarzyło mu się

natrafić na taką oazę wolnego czasu, na jaką natknął się przypadkowo tutaj? Puste godziny, bez zewnętrznych ograniczeń, bez żadnych wymagań... Pozbywszy się zahamowań, poszperał w szafkach Cory i najpierw znalazł jej whisky, a później postanowił poczęstować się jej jedzeniem. Włączył swoją komórkę tylko na parę chwil, żeby przejrzeć esemesy i zobaczyć, kto próbował się do niego dodzwonić. Wysłał siostrze wiadomość, że nic mu się nie stało, ale nie napisał, gdzie jest. Potem rozejrzał się po półkach Cory w poszukiwaniu czegoś do czytania i wziął „Targowisko próżności”, które jako piętnastoletni chłopak uwielbiał za opis bitwy pod Waterloo.

Długo po północy, kiedy uznał, że Cora nie wróci już przed ranem, wszedł na piętro, żeby się przespać. Gościnne łóżka były niezasłane, więc położył się w jej pościeli, zawahawszy się tylko przez moment na widok jej ładnych białych poszewek na poduszki i kołdry. Nagle ogarnęło go takie zmęczenie, że naprawdę przestało mu zależeć, czy coś w ten sposób zbecześci. Nie kapał się od paru dni, wciąż miał na sobie pognieciony garnitur, który włożył w poniedziałek rano, chociaż przynajmniej kupił sobie czystą bieliznę i koszulę w drodze na Paddington. Przebrał się w nie – jeszcze jeden element farsy – w toalecie wagonu pierwszej klasy. Teraz rozebrał się do tej właśnie bielizny, wgramolił się do łóżka Cory – zimnego tylko na początku – i przespał całą noc spokojniej niż w ciągu ostatnich tygodni, miesięcy albo i lat. Zapadł w sen tak głęboki, że jeśli coś mu się przyśniło, to nic nie zapamiętał, a kiedy wynurzył się na jawę, zdawało mu się tylko, jakby spędził ten czas w grubiej warstwie osadów na dnie oceanu. Gdy się obudził, wiedział, że jest piątek, nie miał pojęcia, która godzina. Spał przy uniesionych żaluzjach. Szarawe światło za oknem nie pozwalało się zorientować, czy jest rano czy po południu. Co jakiś czas słyszał warkot samochodów przejeżdżających ulicą, kroki pieszych były powolne i niezdecydowane w porównaniu z londyńskimi. Słyszał drapiące się psy i szuranie ich pazurów o chodnik.

Według zegara w kuchni było już po pierwszej. Robert nie spał do tak późna, odkąd był nastolatkiem. Nie zdarzało mu się to, nawet kiedy chorował (bardzo rzadko) albo był zmęczony po długim rejsie samolotowym. Jakaś mocno naciągnięta sprężyna, która nakręcała się w nim przez całe lata, teraz w dramatycznym tempie się rozwijała. Wpatrując się w pogniecione papiery w koszu na śmieci, ledwie pamiętał plany, które układał wczoraj wieczorem. Przygotował sobie kąpiel i umył włosy – przyjemność w to popołudnie wydała mu się luksusem. W szafeczce znalazł nową, nierozpakowaną szczoteczkę do zębów. Obtłuczenia bolały go już mniej i rozwinął bandaż, żeby obejrzeć skręcony nadgarstek i szramę na dłoni. Po kąpieli musiał ubrać się znowu w te same rzeczy i nie mógł się ogolić. Cora wciąż nie wróciła. Nie było powodu sądzić, że wróci dzisiaj. Prawdopodobnie wyjechała gdzieś na cały weekend. Jego oczekiwanie przekształciło się w coś wykraczającego poza swój jawny cel, ciężąc mu niczym osad ze snu.

Pręgowany kot nie dawał za wygraną i wciąż próbował nawiązać z nim kontakt wzrokowy

przez kuchenną szybę; w końcu wpuścił go i nakarmił resztkami zapiekanki. Potem nastawił sobie muzykę. Przy separacji Cora zabrała większość płyt CD z ich kolekcji i teraz niektóre z nich rozpoznał jako swoje, jeszcze z czasów zanim ją poznał: Amadeusa wykonującego późne kwartety Beethovena, Salomona grającego Mozarta. To były ulubione nagrania jego matki, lubił je ze względu na nią, mimo że z nią samą nie czuł się nigdy zbyt blisko związany. Obawiał się scen, które robiła. Prawdopodobnie był strasznie upierdliwy w swojej świętoszkowatości, pomyślał teraz. Na pewno potrafiła go przejrzyć, kiedy jako chłopiec i młody mężczyzna stawiał się jej uparcie i pryncypialnie, udając jedyne trzeźwego i rozsądnego w rodzinie, stosując się do jakiegoś niewzruszonego wzorca obyczajności i przyzwoitości, podczas gdy w rzeczywistości pałał takim samym gniewem jak ona, tylko że zwróconym do wewnątrz. Teraz, w leniwym i sennym nastroju, w którym nic go nie rozpraszało, czuł, jak muzyka dociera do niego w stanie czystym i nieskażonym.

*

List, który napisał w piątek późnym popołudniem na laptopie Cory, nie był do niej. To, co chciał jej powiedzieć – o co chciał spytać – można było przekazać tylko osobiście, twarzą w twarz. Na to właśnie czekał. Pisał swoją rezygnację. Wyjaśniał sekretarzowi stanu całą sekwencję zdarzeń, która doprowadziła do jego nieobecności we wtorek i dniach następnych. Kiedy tak jak zwykle wyszedł we wtorek rano do pracy, padł ofiarą wypadku na mokrych schodach prowadzących na stację metra, w wyniku czego doznał poważnych potłuczeń prawej strony ciała, skręcił nadgarstek i zranił rękę na tyle głęboko, że zaczął obficie krwawić. Zaniepokojony przechodzień wezwał karetkę. Sanitariusze nalegali, by zawieźć go do szpitala, gdzie założono mu szwy, prześwietlono nadgarstek, zrobiono zastrzyk przeciwężcowy i zatrzymano go na obserwację, ponieważ miał objawy lekkiej amnezji. Nie pamiętał ani gdzie mieszka, ani gdzie pracuje. Na skutek tej tymczasowej utraty pamięci nie powiadomił biura, gdzie jest, i teraz przeprasza za wszelkie związane z tym niedogodności. Ten niespodziewany wypadek i rekonwalescencja dały mu jednak czas na skupienie uwagi na tym, jak głęboko nie zadowala go obecna praca i życiowe dokonania – wina, oczywiście, leżała tu wyłącznie po jego stronie – w rezultacie postanowił zrezygnować ze stanowiska i zakończyć pracę w służbie cywilnej.

Wszystko to brzmiało zupełnie nieprzekonująco, mimo że oprócz utraty pamięci było mniej więcej prawdziwe. Kiedy leżał na brudnej posadzce – został zupełnie przypadkiem popchnięty przez chłopaka, który potknął się o parasolkę jakiejś starszej pani i wpadł na niego całym ciężarem ciała – nie doznał amnezji, lecz ogarnęło go coś dziwniejszego, jakaś ciemna fala niemocy, przecucie katastrofy. Wszyscy wokół byli nadzwyczaj zaniepokojeni i mili. Chciał ich zapewnić, że nic się nie stało, ale leżał milczący, jakby upadek odebrał mu mowę albo jakaś stara

zardzewiała maszyna w jego piersi zacięła się od wstrząsu i odmówiła dalszej pracy. Prawdopodobnie jego milczenie wystraszyło ludzi bardziej niż krew. W szpitalu też się nie odzywał – wypisywał tylko na kartce niezbędne lekarzom informacje i wreszcie, po dwóch nocach płytkiego, zakłócanego majakami półsnu, wypisał się ze szpitala; po prostu z niego wyszedł. Wciąż od chwili wypadku nie odezwał się bodaj do nikogo, może z wyjątkiem kota. Na Paddington kupił bilet z automatu.

Były też inne aspekty i okoliczności, na które nie znalazł w liście miejsca. Na przykład stacją metra, na której schodach upadł, było King's Cross, a nie ta, z której zwykle jeździł. Poza tym poniedziałkowej nocy nie spędził w domu, tylko przespał się samotnie w hotelu Travelodge przy Gray's Inn Road, po wieczorze spędzonym z miłą kobietą, swoją dawną znajomą. Prawdopodobnie oboje pragnęli czegoś więcej, ale do niczego nie doszło. Robert oczywiście nie zamierzał zabrać jej do Travelodge – nie był może specjalnie romantyczny, lecz tak nisko jeszcze nie upadł. Liczył natomiast na to, że po kolacji w restauracji pójdą do niej do domu – miała przytulne mieszkanie przy Upper Street; od rozstania z Corą spędził tam wcześniej parę nocy. Tym razem jednak zmienił zdanie – mimo że przyjaciółka dała mu wyraźnie do zrozumienia, że jest mile widziany – ale też nie miał ochoty wracać do domu. Zaczynał odczuwać coraz większy wstręt do tego mieszkania, dziwny u człowieka racjonalnego. Wyprowadził się już z sypialni, którą dzielił z Corą, do pokoju gościnnego, bo mniej w nim straszono od wspomnień.

Zanim się zabrał do pisania, włączył swoją komórkę, symbolicznie przywracając kontakty ze światem zewnętrznym. Kiedy był w połowie listu, zadzwoniła Frankie. Robert odchrząknął i mówienie okazało się jednak łatwe.

– Bobs! Nie mogę uwierzyć, że to rzeczywiście ty. Gdzie ty się, u licha, podziewasz? Wszyscy odchodzimy od zmysłów.

– Nie martw się o mnie, nic mi nie jest. Nie dostałaś mojego esemesa?

– A ty nie dostałaś naszych? Cora wysłała ci wiadomość zaraz po twojej.

– Nie sprawdzałem skrzynki. Gdzie jest Cora?

– A wiesz, dziwna sprawa. Przyjechała tutaj, bo zaginałeś, a ja urządziłam sztab w twoim mieszkaniu. Tak przy okazji, Damon zabrał twój laptop.

– Jaki Damon? Laptop mnie nie obchodzi.

– Taki okropny doradca specjalny. Czy w tym wszystkim chodzi o to dochodzenie?

– Postanowiłem po prostu przemyśleć swoją pracę... swój bilans życiowy.

– Nie mogę uwierzyć, że coś takiego powiedziałaś. Takie rzeczy to ja wygaduję, a ty się wtedy śmiejesz.

– Więc Cora jest nadal w naszym mieszkaniu?

– Nie, właśnie w tym rzecz. Przenocowała tam wczoraj, na wypadek gdybyś wrócił, lecz rano miała wrócić do siebie do Cardiff. W każdym razie tak mi mówiła. Ale wyobraź sobie, że właśnie odebrałam dziwny telefon. Od Bar we własnej osobie.

– Od Bar?

– Właśnie. I skąd wzięła mój numer? Musiała chyba skontaktować się z Elizabeth i ona jej dała. Jestem przekonana, że była pijana, w środku dnia! Nie Elizabeth. Wiedziałeś, że ma syna... i wystawia swoje obrazy w galerii na Savile Row?

– O obrazach wiedziałem. Są całkiem niezłe.

Frankie wyjaśniła, że Cora najwyraźniej zjawiała się u Bar w domu, gdzieś w głębokim, zabitym dechami Devon. Znalazła adres w jego notesie i zdawała się przekonana, że Barbara mogła go u siebie przetrzymywać.

– Prawdopodobnie nie powinnam ci tego mówić – powiedziała Frankie. – Ale to wszystko jest dość niezwykle.

– Jesteś pewna, że Bar nie zrozumiała czegoś opacznie?

– Była stanowczo narąbana.

*

Cora stała na chodniku i szukała w torebce kluczy. Moment był okropny, domy obróciły się do niej swym kamiennym obliczem, obojętne i niewzruszone w mdłym świetle popołudniowego słońca. Powinna była zostawić zapasowe klucze u sąsiadów, ale często wyjeżdżali. Zresztą chyba nie zwróciła ich ostatnim razem – wciąż mogły być w kieszeni jej drugiego płaszcza. Padała ze zmęczenia i zbierało jej się na łzy. Ale co by to dało? Wzięła się w garść i przyjęła nowo wypracowany punkt widzenia: liczy się terazniejszość wychylona ku przyszłości. Trzeba pójść po ślusarza.

Właśnie wtedy, jakby pod naciskiem jej siły woli, drzwi same się otworzyły i stanął w nich, zupełnie niespodziewanie, Robert. Wyglądał okropnie, nieogolony i w skarpetkach.

– Zostawiłaś klucze w zamku.

Irracjonalnie wpadła w gniew, albo też tak zabrzmiała jej rozpacz.

– Gdzieś ty był?! – wykrzyknęła. – Wszędzie cię szukałam!

*

Godzinę później, pod prysznicem pomyślała, że wszystko mu wyzna. Powie mu, że przez długi, ponury i pełen cierpień czas jej serce było przykute ciężkimi łańcuchami do innego mężczyzny, ale teraz już nie jest. Przyzna mu się do tego, zanim skonsumują swoje pojednanie w łóżku. Pokaże mu artykuł Paula – mało brakowało, a zostawiłaby gazetę w pociągu, w ostatniej chwili włożyła ją do torby – wyciągnie wszystkie jego książki i pokaże Robertowi, a później

wyrzuci. Przypomniała sobie dawną siebie, szczerą i odważną, bez obaw otwierającą wszystkie drzwi do pokojów swojego życia. Powiesiła na podgrzewanym drążku świeże ręczniki, a spływające po jej ciele gorące strumienie wody były rozkoszne. Zapomniała już, że takie szczęście jest możliwe. W ogródku za otwartym oknem łazienki śpiewał kos; dzień był piękniejszy, ukryty pod szarym muślinem zmierzchu. Robert wyszedł kupić przybory do golenia, więcej czystej bielizny i ubrań – nie wiadomo, z czym wróci. Roześmiała się na myśl o tym, że będzie musiał skorzystać z okolicznego Peacocksa, bo zanim wyprawiliby się na zakupy do miasta, wszystkie sklepy byłyby już zamknięte.

– Jakiego Peacocksa?

– Na jakim ty świecie żyjesz? – zadrwiła z niego. – Nie wiesz, jak żyją zwyczajni ludzie? To musisz się dowiedzieć. Peacocks to taki bardzo, bardzo tani sklep odzieżowy.

Nie mieli pojęcia, co będą robić później.

Nie zamierzali wracać – ani do Londynu, ani do pracy w urzędzie. Na razie nie musieli podejmować decyzji. Nic ich nie krępowało, mogli robić wszystko, pojechać dokądkolwiek. Mieli pieniądze; mogli sprzedać jej dom albo mieszkanie, albo jedno i drugie. Mogli polecieć do Indii, do Ameryki albo do Szkocji. Na razie pewna była tylko dzisiejsza kolacja; oboje wprost umierali z głodu. Cora zarezerwowała stolik we włoskiej knajpcie, gdzie kiedyś chodziła z rodzicami, ale ostrzegła go, że to nic wspaniałego. Po kąpieli ubrała się szybko i wysuszyła włosy przed lustrem w sypialni, a na koniec wyperfumowała się za uszami i na nadgarstkach. Światło za oknem uległo zmianie, popołudnie przechodziło w wieczór – powietrze, które zdawało się banalne i przezroczyste, nabrało niebieskiego odcienia, a smuga ciemności kładąca się na podłodze była niemal dotykalna, ożywiająca i napominająca. Cora poddała się urokowi chwili.

Nie bała się Roberta, tylko samej siebie – że wszystko zepsuje.

Jakie słowa mogły opisać to, co się stało, kiedy nie byli razem?

Nie powie nic, chyba że Robert zapyta. Będzie go obserwować i zobaczy, czego chce. Nadchodzący wieczór był talerzem wypełnionym po brzegi, musiała go przenieść tak, żeby niczego nie uronić.

[1] William Shakespeare, Makbet, przeł. S. Barańczak, akt I, sc. 4 (wszystkie przypisy tłumacza).

[2] Dedykacja nawiązuje do wiersza Thomasa Wyatta „Whoso List to Hunt, I Know Where Is an Hind” (Chce kto polować, wiem, gdzie znaleźć łanię). Choć utwór jest parafrazą sonetu Petrarcki, podobno ową łanią była Anna Boleyn, z którą Wyatt miał romansować, zanim zainteresował się nią Henryk VIII. W puencie wiersza okazuje się, że na łanię nie wolno polować, ponieważ, jak głosi napis na jej obroży, należy ona do Cezara.

[3] Postać z sielanki Andrew Marvella „Clorinda and Damon”.

Tytuł oryginału

THE LONDON TRAIN

Copyright © 2011 by Tessa Hadley

All rights reserved

Projekt okładki

Izabela Surdykowska-Jurek, Magdalena Muszyńska/Czartart

Zdjęcie na okładce

© Robert Dowling/Corbis/FotoChannels

Redaktor prowadzący

Paweł Ziemkiewicz

Redakcja

Agnieszka Roslan

Korekta

Katarzyna Szajowska

Agnieszka Ujma

ISBN 978-83-7839-196-8

Warszawa 2012

Wydawca

Prószyński Media Sp. z o.o.

02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7

www.proszynski.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink

www.woblink.com